

No 1014

ŚWIAT ANTYCZNY A MY

*INNE PRACE TEGOŻ AUTORA
WYDANE PO POLSKU:*

1. Starożytność antyczna a wykształcenie klasyczne. Warszawa 1909. Wydanie II. Zamość 1920.
2. Idea Polski w dziełach Sienkiewicza. Zamość 1920. Wydanie II 1921.
3. Rzym i jego religja. Zamość 1920.
4. Piękna Helena. Zamość 1920. Wydanie II 1921.
5. Hermes Trzykróćielki. Zamość 1920. Wydanie II 1921.
6. Chrześcijaństwo starożytne a filozofja rzymska. Zamość 1921.
7. Religja Grecji Starożytnej. Warszawa 1921.
8. Trzy Studja: 1) Poezja filarecka Mickiewicza, 2) Uwagi nad Grażyną, 3) Idea Polski w dziełach Sienkiewicza. Zamość 1922.
9. Wygasła umiejętność. Zamość 1922.
10. Z życia idej. Studja i szkice (w przygotowaniu u Pomarańskiego w Zamościu).
11. Dzieje kultury antycznej (w przygotowaniu u Mordkowicza w Warszawie).
12. Dzieje literatury Rzymskiej (w przygotowaniu u Mordkowicza w Warszawie).

Winięte okładkową wykonał Jan Rembowski.

D-r T A D E U S Z Z I E L I Ń S K I

Profesor Uniwersytetu Warszawskiego

Ś W I A T
A N T Y C Z N Y A M Y

*(Osiem wykładów, wygłoszonych na uniwersytecie
w Petersburgu w roku 1901)*



Z A M O Ś Ć
Z Y G M U N T P O M A R A Ń S K I I S P Ó Ł K A

PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY D-r TADEUSZ ZIELIŃSKI
NINETEEN HUNDRED TWENTY TWO

Tłocznia
WŁ. ŁAZARSKIEGO
w Warszawie

30274

2



1 9 2 2

WYKŁAD I.

Zadanie moje polega na tem, ażeby, o ile na to czas i siły mi pozwolą, wyłożyć wam, panowie, znaczenie tej dziedziny wiedzy, której jestem przedstawicielem na tutejszej wszechnicy, a która, dla krótkości, nazywać będę po prostu *światem antycznym*. Zadanie to rozwiązać można w sposób trojaki, odpowiednio do potrójnego znaczenia samego świata starożytnego. Świat ów, nasamprzód, stanowi przedmiot nauki, którą przyjęto—acz niezupełnie słusznie—nazywać filologią klasyczną; po-wtóre, stanowi on pierwiastek współczesnej kultury umysłowej i moralnej społeczeństwa europejskiego; po-trzecie,—i to jego znaczenie najbliżej was dotyka—wchodzi on w skład przedmiotów uprzywilejowanego typu szkoły średniej, tak zwanego gimnazjum klasycznego. Każde z tych trzech stanowisk odsłania nam inną stronę świata antycznego; wszelako wobec każdego z nich znawca tego świata zmuszony bywa bronić zdania biegunowo przeciwnego temu, które stało się monetą zdawkową, krążącą w środowisku inteligencji współczesnej.

Istotnie, społeczeństwo współczesne żyło się z myślą, że filologia klasyczna jest nauką, przetrząśniętą wzdłuż

i wszecz; nauką, która żadnych już ciekawych zagadnień nie stawia przed pracą twórczą; znawca sprawy, natomiast, powie wam, że w chwili obecnej jest ona ciekawsza, niż kiedykolwiek; że wszystka praca pokoleń minionych była pracą jeno przygotowawczą, była tylko podwaliną, na której dziś dopiero zaczynamy właściwy gmach wiedzy naszej budować; że nowe zagadnienia, nęcące ku dociekaniom i poszukiwaniom rozwiązania, na każdym następczą się kroku naszego badawczego pola. Następnie, zakorzeniło się w społeczeństwie mniemanie, że starożytność, jako pierwiastek kultury współczesnej, pozbawiona jest wszelkiego znaczenia, gdyż zdawien dawna prześcignęły ją postępy myśli nowoczesnej; znawca sprawy, natomiast, powie wam, że nasza kultura umysłowa i moralna nigdy tak blisko świata antycznego nie stała, nigdy go tak bardzo nie potrzebowała, a i my też nigdy tak do jego zrozumienia i przyjęcia nie byliśmy przygotowani, jak właśnie w dobie obecnej. Nakoniec, co się tyczy świata antycznego, jako pierwiastka wykształcenia, większość społeczeństwa przechyla się ku zdaniu, że jest to jakiś dziwny przeżytek, niewiadomo po co i niewiadomo jak, w szkole współczesnej zachowany; przeżytek, który należałoby jak najrychlej i raz na zawsze usunąć; człowiek, natomiast, znający się na rzeczy, znów powie wam, że starożytność, z samej istoty swej, mocą warunków zarówno dziejowych, jak psychologicznych, stanowi organiczny pierwiastek w wykształceniu społeczności europejskiej, i przekreślona może być nie inaczej, jak tylko wraz z przekreśleniem całej współczesnej kultury europejskiej.

Tak przedstawiają się nasze trzy antytezy; musicie przyznać, że antytez ostrzej zarysowanych niepodobna byłoby sobie wyobrazić. I obawiam się, że obecność

tych właśnie antytez może was stropić i obudzić nieufność ku temu, co mam wam powiedzieć. Ponieważ zaś powzięta z góry nieufność do prelegenta niweczy wszelką możność działania jego słów, tedy pozwólcie mi pokusić się o jej uchylenie, o ile wogóle daje się ona uchylić w drodze rozumowania. W istocie, wyobrażam sobie z waszej strony zarzut tego pokroju: „Alboż z samego zestawienia stron walczących nie widać jasno, kto ma słusność, a kto jej nie ma? Czyliż może mieć słusność, wbrew zjednoczonej opinii ogółu, ten jedyny „znawca sprawy“, na którego pan się powołujesz, i w którym, zapewne, szanowny prelegencie, widzisz samego siebie? Pomińmy filologję klasyczną: dla ogółu nie jest ona rzeczą interesującą, i ogół przeto ma prawo jej nie znać; ale świat antyczny, jako pierwiastek kultury, świat antyczny, jako czynnik wykształcenia, — czyż można przypuścić, ażeby ogół mylił się w rozwiązywaniu tak powszednich, tak blisko obchodzących go zagadnień? Wszak niedarmo głosi przysłowie: „*Vox populi, vox dei!*“

Tu mógłbym zrobić zastrzeżenie, — i to dość istotne — co do owego „ogółu“, o którym tak nam dużo mówią; lecz nie jest to rzecz tak bardzo ważna. Gdyby nawet tak było, jak mówicie, to i wtenczas zgodzić się nie mogę, ażeby przysłowie o *vox populi* stosować do tego rzeczywistego czy też rzekomego ogółu, gdyż przeciw takiemu zastosowaniu gromowym głosem świadczy historia wszech czasów. Przypomnijcie sobie, jak ogół rzymski pędził na arenę pierwszych chrześcijan; przypomnijcie sobie o rozwścieczeniu ogółu przeciwko heretykom w Hiszpanji, albo przeciwko czarownicom w Niemczech; przypomnijcie to jednomyślne poparcie, jakim przez długi czas cieszyły się wśród ogółu tego rodzaju instytucji, jak niewola murzynów w Ameryce lub prawo

pańszczyźniane w Rosji,—a zgodzicie się ze mną, że częstokroć *vox populi* bywa, zaiste, *vox diaboli*, nie zaś *dei*. W dobie obecnej nietylko potępiamy tego rodzaju przejawy woli ogółu, ale również—co nie jest rzeczą naganą — bezstronnie je wyjaśniamy, dociekając przyczyn, które we wszystkich wypadkach nadmienionych kazały ogółowi mylnie zapatrywać się na swoje własne potrzeby. I tu zachodzić może podobna pomyłka, i tutaj też możemy — jeśli starczy czasu będzie to treścią mego ostatniego wykładu—dotrzeć do pobudek nieżyczliwego wobec starożytności stosunku ogółu współczesnego, wyodrębnić rolę, jaką odegrała w nim mimowolna i w dobrej wierze popełniona pomyłka, od roli, w której uznać wypada przejaw rozmyślnego fałszu. Tymczasem jednak cel mój jest inny: ja chciałem tylko zachwiać waszem przeświadczeniem — jeśli takie jest wasze przeświadczenie — co do nieomylności opinii powszechnej, chciałem zaprotestować przeciwko nadużywaniom przysłowia: *vox populi — vox dei*.

Na czem polega istotna treść tego przysłowia, rozwinię wam natychmiast. Nie w ogłuszającym krzyku, który tak często bywa wyrazem wzburzonych namiętności, szukać należy głosu bożego, ale w cichym i beznamiętnie władczym głosie woli tajemniczej, wskazującym ludności drogi rozwoju kulturalnego. W odległych czasach, gdy o fizjologii trawienia i chemji organicznej nawet mowy jeszcze nie było, głos ten wskazał człowiekowi chleb, jako pokarm, przy którego spożywaniu może on osiągnąć najwyższej, dostępnej dla siebie, doskonałości. W głosie tym Grecy starożytni, posiadający w sobie jeszcze zmysł dla rzeczy godnych podziwu, rozpoznali prawdziwie głos boży—głos bogini swej Demetry; biologja współczesna, nie uznająca metafizyki... a ra-

czej, zamiast metafizyki dawnej, teologicznej, wprowadzająca swoją własną, biologiczną, upatruje w nim działanie wykrytego przez się prawa *doboru*, zupełnie analogicznego z tem, które i każdemu też bydlęciu wskazało najwłaściwsze dlań pożywienie. Tak, panowie, prawo doboru—doboru naturalnego, który tam, gdzie podmiotem jego bywa społeczeństwo ludzkie, nosi miano doboru socjologicznego — oto wcielenie przysłowia *vox populi — vox dei*.

Teraz postawmy sobie pytanie: w jakim stosunku stoi dobór do poruszonego przez nas pytania — pytania co do roli świata antycznego w kształceniu młodzieży?— Otóż, stosunek ów przedstawia się w ten sposób, że dziś jeszcze, w półtora tysiąca lat po upadku Rzymu, w dwa z górą tysiące lat po upadku Grecji wciąż toczymy spór o to, czy języki ich powinny, czy też nie powinny zajmować naczelne miejsca w kształceniu młodzieży. Zgodzicie się, panowie, z tem, że to jednomyślne świadectwo wieków stanowi fakt o wiele znamiennejszy, niżli jednodniowy wyrok współczesnego nam społeczeństwa, choćby nawet jednomyślność tego wyroku mniej była fikcyjna, niż jest. Wspomnijcie obraz, jaki przedstawia Nawa, gdy dmie złowrogi dla mieszkańców Petersburga wiatr południowo-zachodni: fale rzeki najzupełniej wyraźnie zawracają na wschód; rzeka, zda się, wraca ku Ładodze, a jednak, mimo to, każdy z was wie, że każda kropla tego jeziora, mocą niewidzialnego, lecz bardzo realnego, naturalnego prądu, przeleje się do zatoki Fińskiej, i że jedynym wynikiem tego prądu przeciwnego, spowodowanego przez wiatr, będzie krótkotrwała powódź w przystani rzecznej.

Coś podobnego dzieje się też w społeczeństwie i w opinii społecznej: i tu bywa nie jeden prąd, ale dwa

Jeden—ten, z którego ogół zdaje sobie sprawę: burzliwy, gromki, kapryśny, sprawiający wszelkiego rodzaju powodzie oraz inne klęski; drugi — ten, którego istnienia ogół się nie domyśla: cichy, milczący i władczy. Dwa prądy, a raczej, rzekłbym, dwie dusze, dwie jaźnie. Na całe społeczeństwo rozszerzyć można to rozgraniczenie, które Fryderyk Nietzsche trafnie ustanowił dla jego oddzielnych jednostek, rozróżniając ich „Ja małe“, świadome i względnie nieważkie, od „Ja dużego“, podświadomego, lecz władnie rządzącego ich rozwojem. Ów nieprzychylny dla wykształcenia klasycznego wyrok społeczności współczesnej, który skłonni jesteście przeciwstawić mojemu, pozornie odosobnionemu, zdaniu, przypisać należy nie owej społeczności, lecz tylko jej „Ja małemu“; oczywiście, to „Ja małe“ może wyrządzać mnie, jako jednostce, i wyrządza istotnie sporo nieprzyjemności; ale dla mnie, jako myśliciela, jako historyka, żadnej powagi nie posiada. Jako myśliciel, obowiązany jestem słuchać nie jego głosu, ale głosu owej tajemniczej jaźni wielkiej, która losem społeczeństwa rządzi. I oto tutaj słyszę coś wręcz przeciwnego. „Ja małe“ współczesnego ogółu powtarza na wszelkie sposoby: „Precz z wykształceniem klasycznym!“ „Ja duże“, natomiast, powiada nam: „Strzeżcie go, jak żrenicy oka!“ A raczej, wcale nam tego nawet nie mówi: ono strzeże jego samo, strzeże już przez 15—20 stułeci, nie bacząc na ustawiczne protesty swego własnego „Ja małego“, i strzec go będzie, bądźcie o tem przekonani, i nadal.

Ten, zresztą, przychylny dla świata antycznego rezultat osiągnęliśmy tylko mimochodem; ściślej wypadnie uzasadnić go dopiero w dalszym ciągu; nie nadawajcie mu tymczasem znaczenia, i zauważcie jedynie to, co powiedziałem wam o dwóch prądach życia społecznego

i o ich względnej wartości. A teraz przystąpimy do tematu.

Na samym wstępie postawiłem tezę co do potrójnego znaczenia starożytności: czysto naukowego, kulturalnego i kształcącego. W naszych atoli wykładach porządek ten odwrócimy: zaczniemy od rzeczy, dotyczącej was wszystkich, a skończymy na tem, co bezpośrednio obchodzi, lub raczej, obchodzić będzie jedynie niewielu z pośród was. A zatem: *na czym polega kształcące znaczenie świata antycznego?*

Dajmy na to, naprzód, że na pytanie to wypadłoby mi odpowiedzieć: „Nie wiem“ — albo też, że odpowiedź moja was nie zadowoli; cóżby stąd wynikło?

Wyżej, rozwijając treść prawa doboru socjologicznego, wskazałem, jako na przykład, rzecz tę ilustrujący, na ów szczególny prawa tego przejaw, który sprawił, że chleb stał się podstawowym pokarmem człowieka kulturalnego; pozwólcie mi teraz ilustracją tą się posłużyć dla pewnego obrazu albo przypowieści, która raz już, zresztą, wyświadczyła mi w podobnym wypadku usługę. Wyobraźmy sobie, że w owych czasach, gdy na organizm ludzki uczeni skłonni byli patrzeć, jako na mechanizm, w okresie Helwecjusza i Lamettrie, zwołana była komisja, mająca dokonać reformy fizycznego żywienia się ludzi. Mowy przeciwników tradycyjnego systemu odżywiania przedstawiłyby, przedewszystkiem, nader posępny obraz fizycznego stanu człowieka współczesnego: człowiek ten żyje, co najwyżej, lat 60—70, gdy tymczasem przyroda przewidziała dlań okres życia conajmniej 200-letni (taka była też później opinja Hufelanda), a i tę nawet niepokazną liczbę lat—jakże to je przeżywa? Bywa słaby, cherlawy, szpetny, szybko się starzeje; a iluż bywa chorych, owych „pasierbów“ życia fizycznego! i t. d.

Skąd to wszystko? Stąd, że człowiek nieracjonalnie się odżywia. Pokarm powinien ciało ludzkie odnawiać; a tymczasem, do składu pokarmu naszego należą przeważnie jestestwa, zbędne dla organizmu, a przeto, jako zupełnie bezpożyteczne, bywają przez organizm z powrotem wydalone. Organizm potrzebuje: mięsa, krwi, żył, kości, mózgu i t. d.; my tymczasem dostarczamy mu prawie wyłącznie pokarmu roślinnego, w którym główną rolę gra chleb. Szkodliwość chleba polega już na tem, że usuwa on na plan dalszy inne pokarmy, prawdziwie odżywcze. Aby o szkodliwości jego się przekonać, wystarczy spojrzeć na ciało ludzkie. Alboż ręce nasze, nogi, głowa, płuca i t. d. utworzone są z ciasta? Nie. A z czegoż? Z krwi, mięsa, żył, kości i t. d. A więc dajcie nam odżywianie realne, odpowiadające składowi naszego organizmu; dajcie nam jednolity wszechodżywczy pokarm, zawierający w harmonijnej, zrównoważonej mieszaninie wszystko, co jest niezbędne dla odnawiania naszej jaźni fizycznej,—krew, mięso, kości, żyły i t. d. Wtenczas znikną „pasierby“ życia fizycznego; wtenczas człowiek żyć będzie dwieście lat, a młodość jego będzie trwała dłużej, niż dzisiaj trwa całe jego życie, i t. d.

Cóż mógłby wobec mowy takiej odeprzeć obrońca tradycyjnego systemu odżywiania? Cóż mógłby on odrzec, gdyby odeń zażądano, ażeby dowiódł wartości odżywczej chleba? W dobie teraźniejszej, rzecz jasna, możliwa jest odpowiedź, w sposób dostateczny rozstrzygająca wszelkie trudności: z jednej strony, fizjologia wyjaśniła przebieg trawienia we wszelkich jego szczegółach; z drugiej—chemja organiczna dokonała analizy spożywanych przez nas pokarmów we wszystkich ich częściach składowych. Dzięki chemji, możemy dziś dowieść, że chleb zawiera w sobie wszystkie lub prawie wszystkie

pierwiastki, potrzebne dla odnowy naszego organizmu; dzięki fizjologii, możemy pokazać, w jaki sposób organizm nasz pierwiastki te przyswaja. Lecz my, w swej przypowieści, przenieśliśmy się w epokę, gdy przebieg trawienia znany był bardzo powierzchownie, chemja zaś organiczna wcale nie była znana; cóż tedy, powtarzam, mógłby odrzec obrońca systemu tradycyjnego odżywiania na zarzuty dyetetycznego awanturnictwa? — Mojem zdaniem, odpowiedziałby on tak: „Zapytujecie, na czem polega wartość odżywcza chleba, wogóle pokarmu roślinnego; tego nie wiem. Faktem jest atoli, że narody, które przyjęły nasz system odżywiania, są przodownikami cywilizacji, gdy tymczasem wedle waszej teorii odżywiają się tylko najsurowsi z dzikusów; faktem jest, dalej, że narody ucywilizowane rozmnażają się coraz bardziej i rozszerzają swe posiadłości, gdy tymczasem dzicy, żyjący strawą mięsną, liczebnie ubożeją i cofają się; faktem jest, następnie, że człowiek ucywilizowany, zmuszony warunkami zewnętrznymi do wyrzeczenia się chleba i owoców, oraz do poprzestania na pokarmie wyłącznie mięsnym, zapada na zdrowiu i ginie; faktem jest, nakoniec, że, przedstawivszy naogół słusznie niedobory naszego życia fizycznego, nie dowiedliście bynajmniej, że wynikają one z systemu odżywiania, i nie chcecie nawet wziąć pod uwagę tej okoliczności, iż ludzie, żywiący się wedle waszego trybu, nie dochodzą do lat późniejszych, nie bywają ani zdrowsi, ani silniejsi, ani piękniejsi od nas, co zakrawa już poprostu na drwiny z metody empirycznej“.

Tak, zapewne, odpowiedziałby obrońca tradycyjnego systemu odżywiania, i wywody jego byłyby, oczywiście, nie do obalenia; teraz wracam do swojej sprawy. Żądacie, ażebym wskazał wam, na czem polega znacze-

nie kształcające świata antycznego: ja zaś, pierwiej, odpowiem pytaniem, czy psychologia wyłożyła przebieg trawienia umysłowego we wszelkich jego szczegółach, i czy istnieje taka chemja organiczna, którą możnaby zastosować do pokarmu umysłowego, o ile pokarm ten poddawalby się analizie jakościowej tudzież ilościowej? Skoro zaś przyznać musicie, że nauki, o których mówię, są naukami przyszłości, znanemi nam obecnie zaledwo w swoich pierwocinach, to tem samem dajecie mi prawo odpowiedzieć, co następuje: „Na czym polega znaczenie kształcające świata antycznego, tego ja nie wiem. Faktem jest atoli, że klasyczny system wykształcenia istnieje odwiecznie, że w tym czasie ogarnął on wszystkie narody tak zwanej kultury europejskiej, narody, które dopiero od chwili przyjęcia tego systemu stały się właśnie narodami ucywilizowanemi; faktem jest dalej, że, gdyby oznaczyć, jak to robią meteorolodzy, zapomocą linji krzywej wahania klasycznego systemu wykształcenia w państwach rozmaitych w całym okresie ich istnienia, to krzywa ta wyrażać będzie jednocześnie wahania kultury umysłowej w tychże państwach, dobitnie wykazując w ten sposób ścisłą zależność ogólnego stanu kulturalnego kraju od poziomu jego wykształcenia klasycznego; faktem jest, po-trzecie, że i w czasie obecnym potęga kulturalna narodu tem jest większa, im poważniej postawiono w nim wykształcenie klasyczne, gdy tymczasem narody, pozbawione tego wykształcenia, (naprzykład Hiszpanie) żadnej nie grają roli w świecie idei, pomimo swej liczebności i chwały swoich dziejów minionych; faktem jest, następnie, że w Rosji cios, zadany w roku 1890 systemowi wykształcenia klasycznego przez ówczesną reformę gimnazjów, odbił się na poziomie wykształcenia abiturjentów, powodując powszechnie jego ob-

nizenie, co stwierdzić musieli sami nawet przeciwnicy systemu klasycznego; faktem jest, наконец, że ci, którzy tak czarnemi barwy malują braki klasycznego gimnazjum, nie dowiedli bynajmniej, jako bybraki owe wynikały z wykształcenia klasycznego, i wzbraniają się uparcie wziąć pod uwagę tę okoliczność, że wychowawcy nieklasycznej szkoły średniej obarczeni są temi samemi brakami“.

Wynikający stąd wniosek jest nie do obalenia: w interesie kultury umysłowej narodu każdego, należy pragnąć jak najwyższego poziomu wykształcenia klasycznego w gimnazjach, niezależnie od tego, czy uda się nam dać odpowiedź dostateczną na pytanie co do wartości kształcącej świata antycznego, czy też nie.

Teraz zaś, nim posuniemy się naprzód, obejrzymy się poza siebie. Na podstawie rozważań kulturalno-historycznych wysnuliśmy wniosek, że świat antyczny stanowi pokarm normalny dorastających pokoleń. Wniosek ten nazwałem wnioskiem nie do obalenia; istotnie, człowiek, nawykły do tego, aby ważyć to, co mówi, i w zagadnieniach naukowych (a z zagadnieniem takim mamy tu właśnie do czynienia) podporządkowywać uczucia swe rozumowi, obowiązkowo musi uznać go, jako taki. Niestety, wszakże, ludzie tacy należą do wyjątków; ludzie pokroju pospolitego, przeciwnie, rozum swój podporządkowują uczuciom: jeśli to, co im się udowadnia, nie podoba się im, usiłują w słowach dowodzącego wyszukać jakiejś zaczepki dla zarzutu, i gdy uda im się powiedzieć cokolwiek, co ma zewnętrzny choćby pozór sądu logicznego, powiadają, a częstokroć i sami wyobrażają sobie, że wszelkie dowody obalili. Zarzutów tego rodzaju, rzecz prosta, przewidzieć niesposób: droga prawdy jest jedna, ale dróg błędnych bywa niezliczone mnóstwo. Znając wszakże pokażną część lite-

ratury, poświęconej sprawie szkoły średniej, łącznie wystawić sobie mogą, że w słowach moich przeciwnicy znajdują następujący punkt do zaatakowania. Starożytność, powiadają oni, dawniej stanowiła istotnie ważny przedmiot nauczania, gdyż wiele można się było od niej nauczyć; teraz wszakże wyprzedziliśmy ją tak dalece, że niczego więcej od niej nauczyć się nie możemy. Przeciwników tych łatwo pokonać: w tym celu wystarcza zadać im pytanie, kiedy w przybliżeniu, ich zdaniem, wyprzedziliśmy świat starożytny — tego oni nie wiedzą. Sprawa zaś przedstawia się w ten sposób. Wykształcenie klasyczne, jak widzieliśmy, jest wynikiem doboru socjologicznego; działanie zaś owego doboru określa, tak zwana, *heterogenja celów*, to jest niezgodność celu rzeczywistego, nieświadomego z celem pozornym i świadomym. Tak, na przykład, pozornym i świadomym celem, nęcącym pszczoły do wnętrza kwiatu, jest możliwość obesania się jego słodkim sokiem; celem natomiast rzeczywistym i nieświadomym bywa potrącenie pręcików kwiatu i dokonanie jego zapłodnienia. To samo zachodzi i tutaj. Cel rzeczywisty doboru socjologicznego (wyrazu „cel“ używam tu, oczywiście, w tem znaczeniu warunkowem, w jakim go wogóle uznaje biologia współczesna) — a więc cel rzeczywisty tego doboru przy zachowaniu wykształcenia klasycznego był stale ten sam: umysłowe i moralne udoskonalenie ludzkości; cele zaś pozorne i przez ogół sobie uświadamiane były inne, w różnych czasach różne, przyczem ciekawą jest rzeczą zauważyć: 1) jak zaledwie jeden pozorny cel się przeżyje, natychmiast zastępuje go inny, i 2) jak narody, które cel pozorny brały za cel rzeczywisty i dążyły doń nie po tej drodze, jaką prawo doboru wytknęło, lecz po innej, krótszej i dogodniejszej, — bywały za to mędrkowanie okrutnie od his-

torji karane, tak samo właśnie, jak się to daje spostrze-
gać w biologji.

Nasamprzód, w pierwszym okresie Średniowiecza, pozornym celem wykształcenia klasycznego było zrozumienie Pisma świętego oraz liturgji, dzieł ojców kościoła, żywotów Świętych i t. d. Oczywiście, istniała ku temu i inna, znacznie prostsza i dogodniejsza droga — przełożenie wszystkich pism owych na języki ojczyste. Droge tę wybrały narody Wschodu chrześcijańskiego, a rezultatem był ten, że ruch kulturalny rozwinął się i przeszedł ponad ich głowami. Następnie, w drugiej połowie średniowiecza, cel ten ustąpił na plan dalszy, wysunął się natomiast cel inny: zrozumienie wiedzy antycznej, zawartej w dziełach, pisanych po grecku i po łacinie. I tu dla życzących sobie nastęrczała się droga krótsza i dogodniejsza: przetłumaczyć prace naukowe Greków i Rzymian na język ojczysty. Tą drogą poszli Arabowie, a wynikiem był, po krótkim rozkwicie, nagły i ostateczny upadek kultury muzułmańskiej; rzecz zupełnie naturalna, gdyż Arabowie przesadzili na swej roli jedynie kwiaty starożytności, oderwawszy je od korzeni, od języków starożytnych. Dalej, pod schyłek wieków średnich, i ten cel został odsunięty: nowa Europa, przyswoiwszy sobie wiedzę antyczną, z kolei wiedzę tę przerosła... Istotnie, na postawione wyżej pytanie, kiedy wyprzedziliśmy na polu nauki zdobycze starożytności, wypadnie odrzec: poniekąd już w wiekach średnich; wtenczas powstały do życia nieznanne, lub prawie nieznanne, ludom starożytnym umiejętności, jak algebra, trygonometria, chemja i in., znane zaś podjęte zostały na wyższy stopień. Zdawałoby się, można się ze starożytnością rozstać; i rzeczywiście, wykształcenie klasyczne poczęło w wieku XIV chylić się do upadku. Ale właśnie w tym samym wieku szyb-

ko i bujnie odkwitło ono znowu — nastąpił okres Odrodzenia. Odkryta została sztuka antyczna, nietylko plastyczna (architektura, rzeźba, malarstwo), ale i sztuka krasomówcza; łaciny poczęto uczyć się dla jej zalet formalnych, poczęto odtwarzać je i w prozie, i w wierszach; jest to, tak zwany, kierunek starohumanistyczny. Po raz wtóry łacina stała się językiem wychowawczym języków nowej Europy; rezultatem tego wychowania były języki współczesne z ich giętkością i siłą, z ich prozą artystyczną i poezją artystyczną. Lecz oto rezultat ten został osiągnięty; zdawałoby się, można złożyć świat antyczny do archiwum. Ale nie; zaledwie cel ten ustąpił na plan dalszy, natychmiast ukazał się cel nowy, z kolei czwarty, również, jak tamte, przejściowy. Odkryto charakter intelektualistyczny literatury starożytnej, którego koroną była filozofja starożytna: jak dawniej uczono się łaciny, aby dobrze mówić i pisać, tak obecnie zaczęto się uczyć jej, ażeby dobrze myśleć i rozumować, *pour bien raisonner*. Tak brzmiała dewiza epoki „oświecenia“, epoki, która weszła w Anglii wieku XVII, miała swój ciąg dalszy we Francji wieku XVIII i odbiła się na kulturze pozostałej Europy tegoż wieku, epoki Newtona, Woltera, Fryderyka II i Stanisława Augusta. Ale już w tymże wieku XVIII jednostronny intelektualizm epoki oświecenia wywołał reakcję, która poczęła się w Anglii i Francji (Rousseau), a do szczególnej doszła siły w Niemczech Winkelmanna i Goethego; hasłem tego prądu stał się harmonijny rozwój człowieka w kierunku, wskazanym przez przyrodę, środkiem zaś ku dopięciu tego ideału stał się znów świat starożytny, który zgłębiać w gimnazjach poczęto ze szczególną usilnością. Był to kierunek nowohumanistyczny; wtenczas po raz pierwszy język grecki oraz literatura grecka zajęły miejsce obok łaciny,

gdyż działacze tego okresu zupełnie słusznie sądzą, że życie greckie zbliża się bardziej do ich ideału, niż rzymskie. Teraz znów nastąpił czas przejściowy, i zarysowywa się wyraźnie już nowe stanowisko, które uwarunkuje zgłębianie starożytności w wieku obecnym: rozwój nauk przyrodniczych wysunął zasadę ewolucjonizmu, świat starożytny stał się dla nas podwójnie drogi, jako rodzic wszystkich bez wyjątku idei, któremi żyjemy po dzień dzisiejszy. I oto widzimy, jak również na polu zagadnień wykształcenia klasycznego humanizm walczy z historyzmem, przyczem ten ostatni, jak widać, bierze górę. Rozumie się, do tego nader ważnego stanowiska jeszcze wrócimy; tymczasem dość będzie stwierdzić, że jest to z kolei szósty już pogląd na doniosłość zgłębiania starożytności, występujący akurat w porę, aby zająć miejsce piątego, nowohumanistycznego.

Ciekawą będzie rzeczą rozpatrzyć, jak, w miarę zmieniania się poglądu na cel studjowania starożytności, zmianie ulega także i metoda studjów; szczegółowo sprawy tej rozwinąć nie mogę, poprzestanę na wskazaniu przemian, najbardziej rzucających się w oczy, a polegających na wyborze coraz to innych autorów. Okres pierwszy—zgłębiania łaciny dla zbawienia duszy—stawił, rzecz prosta, na miejscu naczelnem dzieła chrześcijańskie; okres drugi, że tak powiemy, naukowy wysunął na plan pierwszy właściwe podręczniki, Arystotelesa łacińskiego oraz, tak zwane, *artes*, t. j. wykłady szkolne matematyki, astronomji, a następnie medycyny, prawa i t. d.; trzeci, starohumanistyczny—Cycerona, jako mistrza wymowy łacińskiej; czwarty—okres oświecenia—także Cycerona, ale już Cycerona-filozofa; piąty, nowohumanistyczny—Homera, tragików, Horacego. Tradycjami okresu tego żyjemy po dzień dzisiejszy, wszelako wschodzi już po-

trzeba dokonania takiego z literatury antycznej wyboru, któryby przedstawił uczniom świat starożytny właśnie, jako kolebkę naszych idei; niedawno temu Wilamowitz w Niemczech pokusił się o zadośćuczynienie tej potrzebie, układając „wypisy“ greckie, które bardzo żywo zajęły tam cały świat pedagogiczny. Niewątpliwie, ruch ten z czasem dotrze i do nas; prawdopodobnie byłaby o nim mowa już obecnie, gdyby nie zamęt szkolny, w jakim przezywamy.

Jakkolwiek bądź, takie było następstwo kolejne przejściowych wobec świata antycznego stanowisk w różnych okresach dziejów naszej kultury; i taka jest, zarazem, odpowiedź nasza na ignorancki zarzut, jakobyśmy nie mogli niczego już od starożytności się nauczyć, bośmy ją wyprzedzili, — oraz na zarzut niemniej ignorancki, jakoby szkoła klasyczna była nieruchoma i niezdolna do postępu z biegiem czasu. Ale, powtarzam, były to cele przejściowe, te, jakie ogół uświadamiał sobie w każdej z epok nadmienionych, z jakich zdawał sprawę sobie i nam; celem zaś ważniejszym, a jednocześnie takim, którego sobie nie uświadamiano, był cel, do którego wogóle zmierza wszelki dobór: udoskonalenie, — w danym wypadku, oczywiście, udoskonalenie kulturalne, t. j. umysłowe i moralne. Śpieszę zastrzec się, aby nie dać pola do nieporozumień; istotnie, wydać się może dziwnem, że, wskazując wam cel wykształcenia klasycznego, podaję go za cel „nieświadomy“; czyliż można uświadamiać sobie rzeczy nieświadome? Nie, oczywiście; ale znać rzeczy nieświadome można — uczy tego metoda biologji współczesnej, która jednakowo stosować się daje do życia jednostek, i do życia narodów i ludzkości — i do ontogenji, i do filogenji.

Nastręcza się atoli pytanie, w jaki sposób wykształ-

cenie klasyczne wpływa na umysłowe i moralne udoskonalenie ludzkości? Z pytania tego wyłania się samo przez się pytanie inne: na czym polega doniosłość wychowawcza świata antycznego? Pytanie to stawialiśmy już wcześniej, i, przed daniem na nie odpowiedzi, postarałem się wykazać, że jakbykolwiek odpowiedź nasza brzmiała, sam fakt wychowawczego działania starożytności pozostaje faktem, gdyż ustalony on został całkiem od odpowiedzi tej niezależnie, w drodze rozważań kulturalno-historycznych. To zastrzeżenie proszę głęboko w pamięci zachować, ma ono dla mnie znaczenie ogromne. Wszak, podobnie, i fakt odżywczego działania chleba był faktem o wiele wcześniej ustalonym, niż fizjologia tudzież chemja organiczna potrafiły udowodnić je w sposób poglądowy. Co w danym razie oznacza fizjologia? Analizę organizmu spożywającego. A chemja? Analizę jestestwa spożywanego. Postawmy zamiast ciała duszę, zamiast odżywiania wykształcenie, i zamiast chleba starożytność; czy istnieją tutaj nauki, odpowiadające fizjologii i chemji organicznej, t. j. uczące nas dokonywać analizy i organizmu spożywającego, i pokarmu spożywanego? Zobaczymy.

Organizmem spożywającym jest w danym wypadku umysł ludzki. Analiza umysłu stanowi treść *psychologii*, a nauka ta jest dopiero w powijakach. Nie jest ona w możności dać odpowiedzi na wszystkie stawiane sobie pytania... dajmy na to, i fizjologia nie ma tej możności, jednakowoż jest ona bardziej zbadana, o wiele dojrzała i latami, i doświadczeniem, niż psychologia. Następnie, analiza pokarmu spożywanego, t. j. starożytności: sama przez się nie jest ona zbyt trudna, wszelako wymaga zbadania swych pierwiastków w działaniu ich na psychiczną naturę człowieka, t. j. swego rodzaju *na-*

ukoznawstwa psychologicznego... tu samo już skojarzenie słów dowodzi, że właściwa wiedza jeszcze nie istnieje. Nie żądajcie tedy, panowie, zbyt wiele. Obiecałem odpowiedzieć wam na postawione pytanie i danej obietnicy dotrzymam, o ile tylko będzie to możliwe przy dzisiejszym stanie nauk psychologicznych; — jakkolwiek, jak rzekłem, są to dopiero nauki przyszłości, niemniej przecież zdołały one niejedno już trwale ustalić, również metoda ich precyzuje się coraz dokładniej, tak, że możemy, bądź co bądź, orjentować się, jak i w jakim kierunku szukać należy odpowiedzi na niepokojące nas pytania. To i owo będę mógł zatem wam powiedzieć — tak; proszę wszakże nie zapominać, że będzie to jedynie odpowiedź przedwstępna, i że dopiero potomni dadzą odpowiedź zupełniejszą i bardziej przekonywającą. Zanim wywiążę się ze swej obietnicy, muszę poprosić was jednak, panowie, abyście wysłuchali kilku uwag, dotyczących samego znaczenia słów: „doniosłość wychowawcza“. Nie chcę, abyście cokolwiek brali odemnie bez należytej, że tak powiem, rewizji celnej; zatrzyma nas ona przez chwilę, zato potem mieć będziecie więcej do słów mych zaufania.

A więc stawię pytanie: jak rozumieć słowa: „doniosłość wychowawcza“.

Zacniemy od przykładu jak najkonkretniejszego. Ojciec, stolarz, ma syna; chce go wykształcić również na stolarza. Sprawa tu przedstawia się poprostu, dla wszystkich zrozumiale: szkoła bezpośrednio „przygotowuje do życia“; wszystkie rękoczynny, których chłopiec się uczy, będzie on mógł spożytkować następnie, w tej samej postaci, w swej działalności przyszłej. Możemy wybornie wyobrazić sobie szkołę stolarstwa — będzie to jedna z tak zwanych szkół zawodowych. Czy

szkoła taka ma prawo do bytu? Bezwarunkowo tak, jeśli zgodzimy się na to, że tak wczesny wybór zawodu przez chłopca jest rzeczą wogóle możliwą lub pożądaną. Ale czy jest możliwe zastosowanie zasady *użyteczności zawodowego* także i do dziedziny pracy umysłowej? Poniekąd tak, jak o tem świadczą seminarja duchowne, szkoły wojskowe, tudzież pewne inne pokrewne typy szkół średnich; ale właśnie tylko poniekąd. Dla większości należących tutaj zawodów szkoły takie nie istnieją, a nawet i szkoły wyżej nadmienione, im dalej, tem bardziej dążą do wyzwolenia się ze swych ciasno-zawodowych ram i ponad zadania specjalne zaczynają stawiać zadania wykształcenia ogólnego; wogóle coraz bardziej daje się odczuwać potrzeba takich szkół, któreby nie przesądzały o przyszłym zawodzie ucznia. Lecz jakże szkoły takie urządzić, ażeby, mimo to, przygotowywały ucznia do życia, t. j. do przyszłego zawodu? — Tutaj właśnie spoczywa owo zagadnienie pedagogicznej kwadratury koła, z którym ogół współczesny boryka się z tem samem powodzeniem, z jakim dawniej borykano się ze słynną kwadraturą koła geometryczną.

Wskażę wam niektóre drogi do rozwiązania tego zagadnienia, następujące się umysłowi człowieka nieprzygotowanego.

Droga pierwsza. Żąda się szkoły, któraby przygotowywała przyszłych prawników, lekarzy, przyrodników, matematyków, techników, filologów i t. d. Doskonale; niechże tedy program jej ogarnie te przedmioty, które są wspólne tym wszystkim dziedzinom pracy. — Wadliwość tego rozstrzygnięcia jest oczywista: wszak trudność polega właśnie na tem, że takich przedmiotów niema, albo prawie niema. Porównajcie wykazy wykładów na wydziale prawniczym i na wydziałach przyrodniczych,

na wydziale historyczno-filologicznym i na politechnice, a przekonacie się o tem naocznie.

Droga wtóra. Wybierzcie po równej porcji z liczby przedmiotów prawniczych, medycznych, fizyczno-matematycznych, historyczno-filologicznych i innych, i ułóżcie z nich program szkoły średniej.—Niektórzy, rzeczywiście, mniemają, że jest to możliwe; niemniej przecież jest to jawna niedorzeczność. Naprzód, powstaje stąd oszałamiająca i przygniatająca umysł wielość przedmiotów; powtóre, zasada utylitaryzmu, mimo wszystko, nie będzie zachowana, gdyż każdemu uczniowi osobna szkoła taka da, co najwyżej, dziesiątą część tego, co mu jest potrzebne. Rodzi się przeto pytanie: cóż to za szkoła taka, która na jedną dziesiątą pożytecznego materiału kształcącego zawiera w sobie dziewięć dziesiątych balastu?

Droga trzecia. Zważywszy wadliwość dwu pierwszych rozwiązań, projektuje się nie uwzględniać przyszłej działalności wychowawców szkoły średniej i żądać od niej tylko tego, ażeby wychodzili z niej ludzie wykształceni. Znaczy to: *usuwa się zasadę zawodowo-utyliitarystyczną, wprowadza się zasadę wykształceniową*. Wybornie; ale kimże jest ów człowiek wykształcony? Nietrudno to określić: wszak istnieją przecież ludzie wykształceni. Cóż tedy wiedzieć potrzeba, aby być człowiekiem wykształconym? Pewien publicysta, występujący na polu pedagogicznem, zaproponował, celem rozstrzygnięcia tego pytania, środek radykalny. A mianowicie: drogą ankiety (t. j. egzaminu) wśród ludzi wykształconych ustalić poziom wiedzy, niezbędnej dla człowieka wykształconego, i tę sumę wiedzy uczynić przedmiotem nauczania szkolnego. Wartoby ten plan urzeczywistnić: wynik byłby wcale pocieszający. Rozumiecie, panowie, że, wedle tej recepty, wiadomości, które posiada jeden

człowiek wykształcony, nie wejdą mimo to do programu wszechobowiązującego, skoro znajdzie się drugi człowiek wykształcony, który ich nie posiada, — gdyż to dowodzi, że, nie posiadając ich, również być można wykształconym. Bo, istotnie, gdyby okazało się, że jakiś dziwak potrafi wyliczyć nazwy 30 wiosek patagońskich, to jest to jego sprawa osobista; do programu włączylibyśmy tylko to, co cały ogół wykształcony, lub większość jego, wie o Patagonji, t. j. nic. I tak ze wszystkimi przedmiotami: jako rezultat osiągnęlibyśmy: w arytmetyce — cztery działania z liczbami całkowitemi oraz ogólne wyobrażenia o figurach i ciałach; w algebrze — nic; w trygonometrii — nic i t. d.; w ostatecznym wyniku — program, który aby opanować, wystarczyłoby jednej lub dwóch klas gimnazjalnych.

Jak się okazuje, i ta droga do celu nie prowadzi. Na czemże więc błąd nasz polega? Na tem, że *wykształcenie stawiamy w zależności od sumy wiedzy*. Wiedzę się zapomina, ale wykształcenia się nie traci; człowiek wykształcony, nawet gdy zapomni wszystko, czego się nauczył, pozostaje człowiekiem wykształconym. Nie chcę tem bynajmniej pomniejszać powagi wiedzy; wprost przeciwnie, człowiek o tyle bywa coś wart, o ile coś wie. Ale różnym ludziom potrzebne bywają różne wiadomości; już obecnie tak jest, a tembardziej będzie tak w przyszłości; wszak wiedza, wraz z postępem, ulega coraz większej specjalizacji. Suma wiedzy, jednakowo wszystkim, lub choćby tylko wszystkim inteligentnym ludziom niezbędnej, już w dobie obecnej jest bardzo nieduża, a będzie jeszcze pomniejszać się wraz z każdym pokoleniem, w miarę wzrostu, a, co zatem idzie, i specjalizacji samej wiedzy: niesposób więc budować na niej programu szkoły średniej. A tymczasem, szkoła średnia

dla wszystkich przyszłych ludzi inteligentnych — szkoła taka dać im powinna właśnie to, co jednakowo przyda się im wszystkim; na tem polega jej zadanie. W jakiz sposób ma ona to zadanie rozwiązać? Oto, musi ona *przygotować umysł ku temu, aby przy jak najmniejszym nakładzie sił i czasu, a z jak największą korzyścią zdolen był zdobyć tę wiedzę, która będzie mu potrzebna później.* Prawda stara, oklepana, jeśli chcecie, ale przez nikogo nieobalona i będąca nie do obalenia.

Gdyby mojem było zadaniem układać program szkoły średniej, to, na zasadzie tego, com wyżej powiedział, postarałbym się wam dowieść, że powinien on obejmować: 1) przedmioty wiedzy ogólnej i 2) przedmioty wykształcenia ogólnego, z przewagą, rzecz jasna, grupy ostatniej, oraz że do grupy tej należeć powinny nauki matematyczne, fizykalne tudzież filologiczne — odpowiednio do trzech metod myślenia ludzkiego: dedukcyjnej, indukcyjno-experymentalnej oraz indukcyjno-obserywacyjnej. Lecz, jak rzekłem na początku, zadanie moje jest węższe: zamierzam mówić o znaczeniu kształcącem swojego tylko przedmiotu, t. j. antyku. I tutaj, zresztą, muszę zastrzec się przeciw temu, abyście na barki moje nie kładli odpowiedzialności większej, niż ta, jaką podjąć chcę i jaką podjąć mogę. Wiem, że wielu mówców i publicystów dowodzi wam, iż straciliście naprózno ten czas, który poświęciliście na zgłębianie języków starożytnych; i wiem, że nieraz obdarzacie ich oklaskami; ja zaś, ze swej strony, zamierzam wam dowieść, że czas ten nie został przez was strwoniony nadarmo, choćbym, mówiąc to, miał się wam tym sądem swoim narażać. Na tem atoli radbym ryzyko swe ograniczyć; za cały ów krąg wyobrażeń i odczuć, jaki, zapewne, kojarzycie z pojęciem „klasycyzmu“ oraz „szkoły klasycznej“, odpo-

wiedzialności podejmować nie chcę. Wiem doskonale, że obecna szkoła klasyczna ma wiele przywar, przywary te miejscami są większe, miejscami drobniejsze, w zależności od składu wykładających i uczących się (jest to czynnik o wiele ważniejszy od wszelkich programów oraz instrukcyj); ale wiem także, że jeżeli w Turcji urządzenia sanitarne postawione są wadliwie, to bynajmniej stąd nie wynika, aby medycyna nic nie była warta. Moje zaś zadanie polega nie na tem, aby wykazywać wyższość tego lub owego gimnazjum, lub wogóle gimnazjów, ale na tem, aby, jak rzekłem, wyłożyć doniosłość wychowawczą świata antycznego przy takiej organizacji nauczania, jaką uważam za pożądaną i, z własnego i cudzego sądząc doświadczenia, za możliwą.

Do rozwiązania tego zadania teraz właśnie przystępuję; to, com powiedział dotychczas, miało za cel swój jedynie wyjaśnienie tego zadania i utworowanie drogi. Być może, zbyt wiele poświęciłem na to czasu; zbyt mało położyłem ufności w waszej uwadze, zdolności rozumienia i wolności od przesądów. W takim razie proszę mi to wybaczyć; gorzkie mówi przeze mnie doświadczenie, na domiar zebrane na ludziach, po których miałbym większe prawo spodziewać się wszystkich tych zalet pięknych, niżli po was.

WYKŁAD II.

Świat starożytny — sam wyraz o tem świadczy — stanowi dziedzinę wiedzy niezmiernie rozległą, bogatą i różnolitą; jest to, rzeczywiście, odrębny i skończony w sobie „świat“, ale jednocześnie świat taki, z którym współczesna rzeczywistość nasza łączy się tysiącami, acz niedostrzegalnymi przeważnie, nićmi. Badanie tego świata, korzystanie z jego dorobku dla zubożenia umysłowej oraz moralnej kultury doby współczesnej: oto godne zazdrości zadanie tego grona uczonych, do którego i ja mam honor i szczęście należeć. Uczniowie gimnazjów zapoznają się z tym światem w drobnej zaledwo jego części, dzięki tym jego pierwiastkom, które należą do wykształcenia klasycznego. Pierwiastki te są następujące: nasamprzód, systemat obu języków starożytnych z jego trzema częściami składowymi, etymologią, semasjologią (*vulgo* „słówka“) i składnią; po-wtóre, wybrane części najcelniejszych utworów literatury starożytnej, które czyta się i komentuje w oryginale; po-trzecie, wnikanie w świat starożytny w drodze zgłębiania historii greckiej i rzymskiej, czytania wzorów literatury w tłumaczeniach, opowiadań o życiu ludów starożytnych, krótkich wykła-

dów wstępnych o filozofji i literaturze tychże ludów o ich prawie państwowem i karnem, interpretowania pomników sztuki, zalecania dobrych powieści najnowszych z dziejów Grecji i Rzymu, a gdzie to możliwe, także w drodze czytania całych utworów w domu i t. d. Od tych trzech pierwiastków wypada nam właśnie rozpocząć, albo raczej od dwóch pierwszych, gdyż trzeci znajdzie uwzględnienie w drugiej części mego kursu, poświęconej kulturalnemu znaczeniu świata antycznego.

A więc, naprzód: na czem polega *wartość kształcąca języków starożytnych, jako takich?*

Przedewszystkiem, na metodzie ich przyswajania. Wogóle, dwie istnieją metody uczenia się języków i dwie te metody odpowiadają dwu zasadniczym czynnościom naszego umysłu... uprzedzałem was, panowie, w zeszłym swoim wykładzie, że nauka, traktująca o trawieniu umysłowem (jeśli tak wolno się wyrazić), nauka, jedynie mogąca odpowiedzieć nam na pytanie co do wartości kształcącej tego lub owego przedmiotu, zowie się psychologją; rzecz naturalna przeto, że teraz do jej uciekniemy się usług. Owe dwie czynności zasadnicze, o których mówię, nazywają się w psychologii współczesnej, jedna—asocjacją, druga—apercepcją (wedle mianownictwa Wilhelma Wundta); obie mają na celu ujmowanie oraz odtwarzanie przez organizm umysłowy następczącej się mu strawy, jednej atoli towarzyszy większy, drugiej zaś mniejszy udział uwagi. Jeśli jakiegokolwiek słowo, mimochodem przezemnie posłyszane w pewnej okoliczności, samo przez się powstaje w mej pamięci, skoro wraca ta sama okoliczność, to przypisujemy to działaniu asocjacji; jeśli zaś w obu wypadkach—i przy zachowaniu w pamięci, i przy odtwarzaniu—zdobywać się trzeba na pewien wysiłek uwagi, to właściwą umysłu naszego

czynność nazywamy wtenczas apercepcją. Teraz zastosujemy to, cośmy powiedzieli, do nauki języków. Drogą asocjacji, t. j. przy biernym stanie uwagi, przyswajamy sobie przedewszystkiem język ojczysty; na tej drodze dochodzimy do czysto rzemieślniczej jakby sprawności, dzięki której człowiek z łatwością włada i rozporządza wszystkimi skarbami języka, zarówno semasjologicznymi i etymologicznymi, jak składniowymi, nie będąc jednak w możności zdania sobie sprawy, dlaczego rozporządza on temi skarbami w taki właśnie, nie zaś inny, sposób: nie zna on bowiem organizmu swego języka. Wszystkich języków nowych uczą się ludzie przeważnie w drodze asocjacji; przedewszystkiem ci, dla których są one językami rodzimymi; ich zaś śladem, w miarę możliwości, idą również cudzoziemcy. W czasach ostatnich asocjacyjna metoda nauczania języków obcych przenika i do szkół, i niema wątpliwości, że metoda ta, pod tem lub innem imieniem, z czasem owdładnie szkołą w zupełności, wyjąwszy oczywiście te ekstrawagancje, których dotychczas jeszcze wyzbyć się nie może.

Przeciwieństwem asocjacyjnej jest metoda apercepcyjna. Tu, przedewszystkiem, zgłębiamy organizm języka, z całą świadomością przyswajając sobie jego etymologję, semasjologję, składnię—krok za krokiem ucząc się pojmować i tworzyć zrazu zdania proste, potem coraz bardziej złożone, nakoniec okresy tudzież połączenia okresów. Na tej drodze osiąga się nie sprawność rzemieślniczą, ale naukowe rozumienie języka: uczeń na-przód opanuje, na przykład, zasadę *consecutio temporum*, nim zdoła biegle i trafnie zastosować czas właściwy w każdym poszczególnym wypadku. A skoro tak, to jest rzeczą zrozumiałą, że wszystko, co mówi się o pożytku studjowania języka, stosuje się tylko do metody apercep-

cyjnej: pogładowym przykładem bezpożyteczności (dla rozwoju umysłowego) metody asocjacyjnej bywają kelnerzy w hotelach zagranicznych, biegle władający kilku językami, których wyuczyli się właśnie drogą asocjacyjną.—Języka ojczystego uczymy się wyłącznie w drodze asocjacji, metoda apercencyjna jest dlań niemożliwa, gdyż przyswajamy go sobie w takim wieku, gdy umysł mało jest jeszcze uzdolniony do apercencyjnego zdobywania jakiegokolwiek wiedzy. Widzieliśmy też, że języki nowoczesne, dla których metoda apercencyjna, sama przez się, jest możliwa, niemniej wszakże, im dalej, tem bardziej zwracają się ku metodzie asocjacyjnej, która niezawodnie z biegiem czasu zapanuje w tej dziedzinie niepodzielnie. Ruchu tego w żaden sposób wstrzymać nie zdołamy, głównym bowiem celem studjowania nowoczesnych języków obcych bywa umiejętność biegłego posługiwania się niemi w mowie, lub choćby tylko czytania książek w tych językach, a ten cel niewątpliwie szybciej i snadniej osiągnąć się daje zapomocą metody asocjacyjnej. Wszystko tedy, co mówi się o pożytku zgłębiania języków, stosuje się wyłącznie do zgłębiania języków starożytnych.

Nim posuniemy się dalej, ustalimy treść tego, cośmy udowodnili. Udowodniliśmy pożytek, dla rozwoju umysłowego, studjowania języków starożytnych wogóle, nie dowiedliśmy natomiast, że językami temi powinny być właśnie grecki i łacina; nie dowiedliśmy, że oba one, nie zaś którykolwiek z nich. Zarzut pierwszy atoli nie zasługuje na uwagę, aczkolwiek daje się on słyszeć, niestety, dość często: kto zaleca do wprowadzenia w gimnazjum zamiast greckiego i łaciny—język starohebrajski lub sanskryt, ten wyjawia tem, naprzód, że ani o jednym ani o drugim nie ma żadnego wyobrażenia; powtóre

zaś, niemoc tego rodzaju surogatów zasadza się właśnie na tem, że każdy z nich bywa do pewnego stopnia przydatny w jednym tylko z tych punktów, na jakich uwydatniliśmy pożytek języków antycznych, tak, że gdyby wszystkie surogaty połączyć razem, aby stworzyć równoważnik, wszystkim punktom odpowiadający, to suma ta okaże się i dużo trudniejsza od języków antycznych, i dawać będzie, miast całości harmonijnej, bezładny chaos luźnych wiadomości, bynajmniej wzajemnie się nie wspierających. Zarzut drugi, że tem, co powiedziano dotąd, nie udowodniliśmy *tymczasem* konieczności zgłębiania obu języków starożytnych, jest zarzutem słusznym, — ale właśnie tylko *tymczasem*.

Idźmy dalej. Za najowocniejsze i najwdzięczniejsze dla nauki apercepcyjnej uznać należy te języki, które 1) w organiźmie swym najwięcej zawierają stawy dla umysłu i 2) *dzięki psychologicznym swoim właściwościom są najbardziej pożądanem uzupełnieniem języka ojczystego*.

Zacniemy od punktu drugiego.

Raz jeszcze powtarzam, aby was, panowie, uprzedzić: w dziedzinie umysłowej, fizjologii odpowiada psychologia, chemji zaś organicznej — to, co nazwałem wyżej naukoznawstwem psychologicznem; za pomocą tych nauk uda się nam kiedyś zanalizować najzupełniej dokładnie to, co niepoetycznie, lecz słusnie nazwałem trawieniem umysłowem. Przykład psychologii, zastosowanej do naszego tematu, przytoczyłem wam powyżej, mówiąc o asocjacji i apercepcji; teraz przytoczyć muszę przykład naukoznawstwa psychologicznego w zastosowaniu do lingwistyki. W językach rozróżniamy pierwiastki dwójakiego rodzaju: po - pierwsze, pierwiastki, wyrażające świat widzialny i wogóle przedmioty czuć bezpośrednich; po - wtóre, pierwiastki, wyrażające wyniki reflexji. Pier-

wiastki pierwszego rodzaju zowiemy sensualistycznymi, drugiego — intelektualistycznymi; rozróżnienie to, jak zobaczymy, ma pewne punkty styczności z różnicą między przedmiotami konkretnymi a abstrakcyjnymi, lecz nie pokrywa się z nią w zupełności. W zależności od tego, które z tych pierwiastków w danym języku górują, dzielimy języki na dwie grupy, t. j. oznaczamy pewne języki jako przeważnie sensualistyczne, inne zaś, jako przeważnie intelektualistyczne.

Jeśli teraz, ułożymy z tego stanowiska tablicę bliższych nam języków w postaci łańcucha postępowego, którego pierwszym ogniwem byłby język najbardziej intelektualistyczny i najmniej sensualistyczny, a ostatnim — język najmniej intelektualistyczny i najbardziej sensualistyczny, to na obu krańcach stanęłyby — tam łacina, tu język polski i rosyjski. Ze szczególną jasnością występuje różnica ta w systemie konjugacji. Istotnie, najdobitniejszym wyrazem sensualistycznego charakteru pewnego języka bywa, tak zwana, postać czasownika, oddająca bezpośrednio wrażenie, postrzegane narządami zmysłów; wyrazem, natomiast, charakteru intelektualistycznego pewnego języka będą z jednej strony czasy (*tempora*), z drugiej strony — tryby (*modi*). Czasy są wytworem sortującej pamięci oraz reflexji; pamięć przechowuje okresy zdarzeń w ich prawidłowej perspektywie historycznej, rzutując je nie na jedno tło ogólne, ale na tła rozmaite, odpowiednio do ich następności; reflexja stwarza takie same jakgdyby kulisy również dla zdarzeń, oczekiwanych w przyszłości. Przypomnijmy sobie, jeśli komu wypadło tłumaczyć na łacinę, zdania w rodzaju tego: „Gdy przyjdiesz do mnie, pójdziemy na przechadzkę“: wszak „przyjdiesz“, po łacinie *venies*: Uczeń więc gotów to zdanie przełożyć: „Cum ad me

venies, ambulabimus“, — a to byłoby błędem. Przyjście ma przecież poprzedzić udanie się na przechadzkę; są to dwa różne tła w przyszłości; biorąc *futurum exactum*, będziemy musieli powiedzieć: „Cum ad me veneris, ambulabimus“. Różnica ta jest wytworem reflexji. Ani polski, ani rosyjski język różnicy tej nie uwydatnia, zlewając wszystkie tła następczości na ogólnym ekranie czasu przyszedłego; łacina natomiast tła te wyodrębnia i żąda, aby ten, kto jej używa, uciekał się do tej reflexji. Jeszcze znamiennejsze są w tym względzie tryby. Są to również wytwory reflexji, która nie poprzestaje na ustaleniu jednej tylko rzeczywistości, stwierdzanej narządami zmysłów, ale starannie odróżnia rozmaite ustosunkowania danego działania wobec rzeczywistości, poczynając od zupełnej z nią zbieżności, przechodząc potem do sfery oczekiwań, następnie—do prostej możliwości, a kończąc na nierzeczywistości. W językach starożytnych szczególnie rozwinięte są czasy i tryby, czasy głównie w języku łacińskim, tryby — w greckim; postaci natomiast uwydatniają się słabiej, zwłaszcza w łacinie. W języku polskim i rosyjskim, odwrotnie, czasy zaledwie zaznaczone, trybów brak, postaci natomiast doszły do takiego rozwoju, jakiego w żadnych innych językach nie mają. Języki starożytne są przeto językami przeważnie intelektualistycznymi; jako takie, stanowią one najbardziej pożądane uzupełnienie wobec sensualistycznego języka polskiego lub rosyjskiego.

Tu sprawą najciekawszą jest to, że przeciwnicy nasi, doszedłszy do pewnego wyobrażenia o nadmienionej przez nas różnicy, wyzyskują ją na swą korzyść: „Łacina—powiadają—całą strukturą swoją różni się od języka ojczystego; a więc nam, jako rzecz obca, nie jest potrzebna“. Bezzasadność tego syllogizmu stanie się oczy-

wista, jeśli przenieść go na grunt bardziej materjalny. Wystawcie sobie ekonomistę, któryby rozumował w ten sposób: „Kraj mój jest krajem przeważnie rolniczym; nie ma więc poco sprowadzać do niego wyrobów przemysłu, należy, natomiast, sprowadzać zboże; przeciwnie, Anglja np. jest krajem przeważnie przemysłowym: potrzebuje więc dowozu artykułów manufaktury, zboża zaś importować do niej nie należy“. W danym wypadku, zresztą, historia przychodzi z pomocą teorii, potwierdzając jej wywód: dla wszystkich języków nowych łacina była wychowawczynią, która dopomogła do ich intelektualizacji; z jej pomocą, po tej pierwszej szkole intelektualizacji, przeszły one, jak widzieliśmy, i wtórą szkołę, która zapewniła im wykończenie artystyczne. Twórcą niemieckiej prozy artystycznej był Wieland i Lessing, francuskiej—Balzak starszy, włoskiej—Boccaccio, polskiej—Górnicki. Wszyscy oni wychowani byli na wzorach literatury łacińskiej.

Zajmiemy się teraz pierwszą stroną interesującego nas tutaj punktu. Twierdzę, że języki starożytne dlatego należy poczytywać za najowocniejsze i najwdzięczniejsze, że *w organiźmie swym dają one najwięcej pokarmu umysłowi.*

Aby udowodnić to, należy nieco uważniej spojrzeć na ową „bezpłodną pustynię języków starożytnych“, jak nazywają ją nasi przeciwnicy. Zaczniemy od początku. Od pierwszej zaraz lekcji uczeń doznaje satysfakcji, że czytanie żadnej nie nastęcza mu trudności, dzięki ściślej, prawie zupełnej zgodności wymawiania z pisownią, dźwięków z literami. W żadnym z języków nowoczesnych zgodność ta nie bywa tak zupełna: już z tego stanowiska łacina zasługuje na to, aby być pierwszym cudzoziemskim językiem, z którym chłopiec się zapoznaje.

Wszak daleko naturalniej bywa, jak sędzę, słowo *est* na-przód wymawiać „est“, a potem dopiero, podczas nauki francuskiego, przyswoić sobie późniejszą startą wymo-wę „e“,—niż od początku uczyć, że to samo słowo wy-mawia się „e“, lecz dla niepojętych dla ucznia względów pisze się *est*.

Nim pójdziemy wszakże dalej, zadamy sobie pyta-nie, jaką nam korzyść przyniosła ta przezroczyistość ła-ciny, uwydatniająca się w zgodności wymawiania z pi-sownią. Czy tylko tę, że opanowanie pronuncjacji nie wymaga prawie żadnego wysiłku? Nie. Mam zamiar w jednym z następnych wykładów pomówić o mod-nej dzisiaj sprawie „ulżenia“ pracy szkolnej ucznia i wska-zać na te niebezpieczeństwa poważne charakteru spo-łecznego, tak, panowie, społecznego, które przynie-sie ze sobą ta ulga. Lecz praca szkolna bywa dwóch rodzajów — praca kształcąca i praca niekształcąca. Przez pracę kształcąca rozumiem taką, która zmusza was posługiwać się swą zdolnością pojmowania, sprowadza-jąc wypadek poszczególny do zasady ogólnej; praca taka będzie jednocześnie i pracą moralną, ponieważ uczy nas ona uznawać nad sobą władzę prawa, nie zaś samowoli, i nie przyjmować niczego na wiarę bez podstawy do-statecznej. Teraz wspomnijcie tę pracę, którą włożyć musieliście w naukę pisowni francuskiej w odróżnieniu od pronuncjacji; czyż można pracę tę nazwać kształcąca i moralną? Dlaczego słowo, które wymawia się, jako „e“, pisze się raz *et*, drugi raz *est*, trzeci raz *aît* i t. d. Z ja-kiej racji w *doigt*, „palec“, powstała ta niewymawiała i zbyteczna litera *g*? Dlaczego *honneur*, *labeur* pisze się bez *e* po *r*, a *demeure*, *heure* z *e*? Na wszystko to niema odpowiedzi; jedyna podstawa dostateczna, jaką uczeń może przytoczyć, brzmi: „tak rzekł nauczyciel“,

albo „tak napisano w podręczniku“. Naturalnie wszystko to ma swe uzasadnienie — ale właśnie uzasadnienie to znajduje się w łacinie: pisownia *et, est* i *ait* zupełnie jest zrozumiała dla tego, kto wie, że wyrazy te pochodzą od łacińskich *et, est, habeat*; nadliczbowa spółgłoska *g* w *doigt* nie zbija z tropu tego, kto wie, że wyraz ten pochodzi od *digitus*; w pisowni wyliczonych słów na *eur(e)* nie zrobi pomyłki ten, kto wie, że i w łacinie kategoria pierwsza ma pierwiastek na spółgłoskę (*honor, li*) druga zaś—na samogłoskę (*mora, hora*). Wszystko to jest faktem, i bynajmniej w moim nie leży zamiarze obniżyć tem, co powiedziałem, godność języka francuskiego. Ale przecież mamy na widoku ucznia, który uczy się francuskiego, nie znając łaciny; uczeń taki, rzecz jasna, żadnego nad sobą prawa nie dostrzega, widzi jedynie samowolę przypadku. Więc żal mi każdej godziny, zużytej na tego rodzaju naukę: nauka taka nie rozwija, nie wyzwala ducha, przeciwnie, ujarzmia go, zagłusza w nim przyrodzoną dążność ku poszukiwaniu w każdym wypadku prawa i podstawy rozumnej. I oto dlatego za wielką poczytuję zasługę językowi łacińskiemu a także i greckiemu, że, od pierwszych zaraz poczynając lekcyj, wyzwalają one ucznia z tego jarzma pracy pańszczyźnianej.

Tę samą przezroczystość budowy, ułatwiającą tak ważne dla rozwoju umysłowego ustalenie przyczynowości, spotykamy też i w dalszym ciągu, poczynając od etymologii. Uczeń przechodzi pięć deklinacyj. Dlaczego właśnie pięć? Polecam mu wymienić we wszystkich pięciu deklinacjach *genitivus pluralis*: *mensarum, hortorum, turrium, statuum, dierum*; następnie—*ablativus singularis*: *mensa, horto, turri, statu, die* — wszędzie te same pięć samogłosek, po jednej na każdą deklinację. Teraz uczeń pojął, dlaczego w łacinie jest pięć deklinacyj: bo

i samogłosek jest pięć. Ale oprócz samogłosek bywają też i spółgłoski; rzeczywiście, mamy *genitiuus pluralis*: reg-um, capit-um, dolor-um; okazuje się, że słowa te odmieniają się tak samo, jak słowa na *i*, tworząc wespół z nimi tak zwaną deklinację trzecią. Teraz jasną jest rzeczą, dlaczego w owej deklinacji trzeciej niektóre słowa mają w pewnych przypadkach *i, ium, ia*, inne zaś—*e, um, a*.

W systemie konjugacyj mamy to samo zjawisko: *amare, docere, statuere, finire*; spółgłoski połączyły się z pierwiastkami na *u*: *regere, seribere* konjugują się tak samo, jak i *statuere*. Ale dlaczego niema pierwiastków na *o*? Dlatego, że obok pierwiastków na *a* są one zbyt rzadkie: czasownik *firmare* jest wspólny dla *firmus* i dla *firma*. — To wszystko nie jest jeszcze naukową gramatyką historyczną, jest tylko rozumowaną gramatyką szkolną; w drodze owego rozumowania zaszczipiam uczniowi przekonanie, że język jest państwem, w którym panują zasady, nie zaś dowolność; że każde zjawisko językowe ma swą podstawę rozumną. Spróbujcie teraz osiągnąć te same wyniki zapomocą niemieckiego układu deklinacyj, owych bezsensownych *starke, schwache und gemischte declination*, albo francuskiego układu konjugacyj z ich niemniej bezsensownymi i dowolnymi końcówkami *er, ir, oir* i *re*! Wszak, aby wprowadzić pewien sens do języka francuskiego, zmuszony jestem znów uciec się do łaciny, zmuszony jestem czasowniki francuskie *aimer, finir, devoir, vendre* nawiązać do ich łacińskich pierwowzorów: *amare, finire, debere, vendere*! Wszak nienapróżno głęboki znawca języka francuskiego oraz literatury francuskiej, Vinet, wyraził się: „Le latin c'est la raison du français;“ tem powiedzeniem przyznał, że język francuski sam przez się racji nie posiada i, jako język, strawy umysłowi nie

daje. Oto dlaczego podwójnie jest dobrze, że język francuski, jak wogóle języki nowoczesne zdobywa się metodą asocjacyjną, metodę zaś apercepcyjną stosuje się jeno do tych, które budową swoją na to zasługują.

A wyjątki? — zapytacie. — Tak, zapewne; gdyby to w mocy naszej leżało, zbudowalibyśmy łącinę w ten sposób, aby wyjątków w niej wcale nie było; ponieważ nie jest to w naszej mocy, więc bądźmy radzi, że jest ich tak niewiele. W istocie, przypomnijmy sobie, że w najłatwiejszej z deklinacyj polskich (deklinacja 3-cia, żeńska) mamy jednakże cztery odrębne, różnie odmieniające się typy (I. *głowa, głowę, głowy*; II. *ziemia, ziemię, ziemie*; III. *pani, panią, panie*; IV. *historja, historję, historje*); że w również nietrudnej deklinacji 1-szej, męskiej, rzeczowniki dzielą się aż na pięć typów (I. *syn, syna, synowi, synowie*; II. *pan, pana, panu, panowie*; III. *sąsiad, sąsiada, sąsiadowi, sąsiedzi*; IV. *dwór, dworu, dworowi, dwory*; V. *ząb, zęba, zębowi, zęby*); spróbujmy podnieść jeden z owych typów do godności zasady, jak tego wymaga metoda apercepcyjna, a zobaczymy, jakie wytworzą się nieskończone szeregi wyjątków. Wspomnijmy, następnie, o oznaczaniu rodzaju rzeczowników francuskich a zwłaszcza niemieckich, a zgodzimy się łącno z tem, że w łącinie wyjątków jest, względnie, mało.

Jakkolwiek bądź, wyjątki są, i o ile są, stanowią przeszkodę w stosowaniu metody apercepcyjnej przy nauce języka; cóż czyni z nimi szkoła klasyczna? Jako szkoła poważna, żąda ona od uczni pracy umysłowej, ale o tyle tylko, o ile jest to praca kształcąca i owocna; uważając opanowanie pamięciowe wyjątków za rzecz niezbędną z uwagi na cele dalsze, ale za rzecz bezowocną, jeśli chodzi o rozwój umysłowy, ułatwiła je ona jak najbardziej. Książka znakomitego ekonomisty Büchera:

„Arbeit und Rhythmus“, w której autor rozwija znaczenie ekonomiczne rytmu, jako środka, ułatwiającego pracę, i uznaje w pierwotnie niedorzecznej i tylko rytmicznej piosnce roboczej jeden z głównych korzeni (mówi on nawet: korzeń jedynej) poezji—książka ta w epoce, o której mówię, nie była jeszcze napisana; jednakowoż z faktu, który Bücher po raz pierwszy starannie zbadał, zdawano sobie sprawę już wtenczas. Następnie, szkoła rozumiała, że ma do czynienia nie z dorosłymi, lecz z malcami w wieku lat 9—11, dla których uczenie się bezmyślnego, lecz rytmicznego zbioru słów bywa potrzebą fizyczną: wystarczy przecież wspomnieć, że jest to ten sam wiek, w którym dzieci podczas zabaw tak lubią „liczyć się“, jak to nazywają, przyczem posługują się jakąbądź tarabaniną dźwięków, pozbawionych sensu, lecz ujętych w formę rytmiczną. Polegając na nadmienionych faktach psychologicznych—1) na ułatwiającej, specjalnie mnemotechnicznej, sile rytmu, i 2) na skłonności wieku dziecięcego do uczenia się napamięć rytmicznego zbioru słów—szkoła klasyczna znalazła wyjście z kłopotliwego położenia, wywołanego obecnością wyjątków: pragnąc w miarę możliwości ułatwić swym uczniom ich pamięciowe opanowanie, ułożyła ona, owe słynne prawidła wierszowane, któremi nas ustawicznie koła w oczy nasi przeciwnicy. Czasy późniejsze, zmieniwszy cele nauczania, umożliwiły znaczne owych wierszyków skrócenie; w tej atoli postaci skróconej są one po dzień dzisiejszy najlepszym środkiem ku opanowaniu wymaganego materiału. Sam posługiwałem się niemi, gdym był nauczycielem w klasie pierwszej, pamiętam, jak dziwaczne skojarzenia niebawiałych słów i pocieszne rymy wywoływały zdrowy śmiech dziecięcy wśród mych uczniów, zwłaszcza gdym, pod koniec lekcji, kazał im chórem powtarzać reguły rytmiczne,

a ponieważ poczytywałem zdrowy humor za bardzo pożyteczny „pojazd“ (jak mówią lekarze) podczas wykładów w klasach młodszych, więc owe finały lekcyj zamieniały się w pewnego rodzaju wesołą grę, i gdyby po lekcjach takich lekarz szkolny raczył cyrkiem zmierzyć stopień nerwów u moich malców, to byłby on, sądzę, zupełnie zadowolony.

Tak wygląda etymologia łacińska; powiem teraz kilka słów o greckiej. Uzupełnia ona gmach językoznawczy, dodając doń dział bardzo ważny — głosowni. Tylko język grecki daje dostacznie rozwinięty system dźwięków; tylko dzięki niemu zapoznać się można z tak ważnymi zjawiskami lingwistycznymi, jak kontrakcje samogłosek oraz kombinacje spółgłosek, dzięki czemu organizm języka staje się jeszcze bardziej przejrzysty i dostępny. Prawdziwym tryumfem takiego oświetlenia języka jest system konjugacji, który w greckim jedynie języku można przejść syntetycznie. Uczniowi dają nie formy, lecz ich części składowe: powiadam mu, że pierwiastek wogóle zmianom nie ulega, lecz do pierwiastku dodaje się różnego rodzaju cząstki, wyrażające czas (t. zw. „cecha czasu“), tryb (t. zw. „samogłoska tematyczna“), osobę i liczbę („końcówka“); wskazuję mu, jak należy temi składnikami posługiwać się; uprzedzam go, że o ile działanie należy do przeszłości, uwydatnia się tę przynależność pewnym określonym przedrostkiem; dokonanie zaś działania wyraża się zdwojeniem — i oto uczeń mój, rzadko się do pomocy mojej odwołując, sam da sobie radę z całym systemem czasownika. Rozumie się, że w ten sposób nie sam tylko język grecki otworzy przed nim tajniki, — tego rodzaju rozłożenie form na ich części składowe oświetla zarazem ustrój każdego języka, ustrój języka wogóle. Ze stanowiska tego można po-

wiedzieć, że etymologia łacińska otwarła przed uczniem anatomję, grecka zaś — chemję języka wogóle; razem wzięte, wyjaśniają one pochodzenie i powstawanie języka, który teraz już nie będzie wydawać się uczniowi zbiorowiskiem warunkowych i dowolnych prawideł, ale, przeciwnie, stanie przed nim, jako zjawisko przyrody, w całym majestacie zjawiska, podległego prawom. Jak dalece zaś pogląd taki jest ważny, snadnie każdy przekonać się może. Przypomnijmy sobie, że język jest częstką tej samej przyrody, która otacza nas wszędzie i zawsze; wyjaśniając uczniowi prawa, przyrodą tą rządzące, wdrażając go do czynienia spostrzeżeń w tej dziedzinie, wspieramy w nim tego ducha badawczości, który uzdatnia człowieka do wszelkiej pracy naukowej. Nie mogę tu dłużej myśli tej rozwijać; powołam się wszakże na „Wstęp do filozofji“ Fr. Paulsena, który dowodzi, że nawet teoria ewolucji, którą tak bardzo szczeni się przyrodoznawstwo współczesne, była nasamprzód sformułowana na gruncie języka łacińskiego przez W. Humboldta, i dopiero później została przeniesiona w dziedzinę zjawisk przyrody materialnej. Dzieło to, muszę dodać mimochodem, gorąco polecić należy tym wszystkim, którzy błędnemu hołdują mniemaniu, jakoby metoda badań naukowych nierozzerwalnie związana była ze swoim materiałem; niesłusność, zresztą, podobnego mniemania oczywista jest dla wszystkich, kto kiedykolwiek zgłębiał historję jakiegokolwiek nauki, albo też sam na polu naukowym pracował.

Lecz dosyć już na dziś. Dziedzina, z której znaczeniem zdążyłem was poznać, nieduże zajmuje miejsce nie tylko w starożytności wogóle, t. j. w systemacie nauk o świecie antycznym, ale i w tem nawet, co nazwać można starożytnością szkolną. Lecz z jednej strony, jest to dziedzina pierwsza, z którą wypada zetknąć się każ-

demu, ktokolwiek wstępuje na grunt antyczny; dlatego to spotkało nas tutaj mnóstwo zagadnień natury zasadniczej, które, tak lub inaczej, należało wyjaśnić. Z drugiej zaś strony, jest to dziedzina zarazem na największe wydana urągowisko: wszyscy przeciwnicy wykształcenia klasycznego wytykają nam głównie gramatykę obu języków starożytnych, ową „pustynię bezpłodną“, jak ją nazywają. Staralem się wam pokazać, że ta pustynia rzekoma rodzi owoce,—przytem owoce, jeśli niezawsze słodkie, to zato zdrowe zarówno we względzie umysłowym, jak i moralnym. Na tem kończę dzisiaj; w wykładach następnych spodziewam się nieco przyspieszyć *tempo*; będzie to można uczynić bez szkody dla sprawy, gdyż będą one poświęcone powabniejszym działom starożytności, powabniejszym także i od strony zewnętrznej.

WYKŁAD III.

Nim rozpocznę trzeci wykład o znaczeniu kształcącem starożytności, uważam za rzecz korzystną przypomnieć państwu pokrótce treść dwóch pierwszych, których wysłuchaliście przed dwoma tygodniami. Widzieliśmy, przedewszystkiem, że wrogi wobec świata antycznego stosunek znacznej części ogółu nie powinien mieć dla nas znaczenia rozstrzygającego, gdyż ten świadomy, nieprzychylny wyrok, będący wynikiem błędu i oszustwa, nie może iść w porównanie z wyrokiem nieświadomym i przychylnym tegoż ogółu, który wykształcenie klasyczne pielęgnuje już oto w ciągu 15—20 stuleci: „Ja duże“ znaczy więcej, niż „małe“. Widzieliśmy, następnie, że znaczenie kształcące starożytności uznać należy za fakt na mocy danych doświadczenia, niezależnie od tego, czy uda się nam w sposób zadowalający wyjaśnić, na czym ono polega,—podobnie, jak siła odżywcza chleba uchodziła za fakt na mocy danych tegoż doświadczenia o wiele wcześniej, nim fizjologia trawienia i chemja organiczna udowodniły nam tę własność jego w drodze analizy. Rozpatrzywszy potem z kolei i kilka innych pytań zasadniczych, przeszliśmy do naszego tematu, t. j. do od-

powiedzi na pytanie co do wartości kształcącej świata antycznego. Ustaliwszy, że trzy są pierwiastki wykształcenia klasycznego w gimnazjum,— a mianowicie: system obu języków starożytnych, wybór ustępów najcelniejszych utworów literatury starożytnej oraz zapoznanie się z rozmaitemi stronami świata antycznego w drodze zgłębiania dziejów starożytnych i t. d.—zogniskowaliśmy uwagę na pierwszym z nich, na systemie języków starożytnych, z jego trzema częściami składowymi: etymologją, semasjologją i składnią. Staralem się wam wykazać, że wartość kształcąca języków starożytnych, jako takich, polega przede wszystkim na apercypcyjnej (nie zaś asocjacyjnej) metodzie ich studjowania, przydatnej dla języków starożytnych, lecz nieprzydatnej dla nowoczesnych; dalej na tem, że języki starożytne, dzięki swym właściwościom psychologicznym, jako języki intelektualistyczne, są najbardziej pożądanem uzupełnieniem sensualistycznych przeważnie języków polskiego i rosyjskiego; nakoniec, na tem, że w organizmie swoim dają one umysłowi najwięcej strawy. Tę odżywczość, że tak powiem, języków starożytnych wykazaliśmy nasamprzód na polu etymologii; widzieliśmy, że oba języki wolne są od tej, niestrawnej i jedynie zaśmiecającej pamięć, domieszki, która powstaje wskutek niezgodności pisowni z wymową; że etymologia łacińska, dzięki swej względnej przezroczystości, wyjaśnia uczniowi anatomję języka wogóle, zaprawiając go do patrzenia na język, jako na zjawisko przyrody, którem rządzą określone prawa, gdy tymczasem „wyjątki“, powodujące w umyśle dziecięcym pewnego rodzaju perturbację, są w etymologii łacińskiej względnie nieliczne, i opanowanie ich pamięciowe daje się do najwyższego stopnia ułatwić; że, również, etymologia grecka, dzięki swej jeszcze większej przezro-

czystości, pozwala rozczłonkować język na jego najprostsze składniki — co nazwałem chemją lingwistyczną. Tu zatrzymaliśmy się; charakterystykę obu części pozostałych systemu języków starożytnych, semasjologii i składni, wypadło dla braku czasu odłożyć do następnego, t. j. dzisiejszego wykładu.

Nim jednak zadanie to podejmę, uważam za właściwe podzielić się z wami, panowie, pewnemi myślami, wywołanemi stosunkiem niektórych słuchaczy moich do pierwszych mych dwu wykładów. Zadaniem mojem była i jest charakterystyka świata antycznego w jego wartości kształcącej — właśnie charakterystyka, nie zaś obrona: pierwiastku apolegetycznego nie chciałem ze swej strony wnosić. Pierwiastek ten, jednakże, powstał i powstaje sam przez się na mocy warunków naturalnych: tam, gdzie jakiegokolwiek zjawisko społeczne ulega niegodziwym napaściom, wszelka charakterystyka słuszna przybiera postać apologji. Stąd dalsze przykre następstwo: napastnik skłonny bywa uważać wszelki protest przeciw swej napaści za napaść, skierowaną przeciw sobie. Weźmy przykład: naturalista (t. j. oczywiście jeden z naturalistów) powiada, że świat antyczny jest do niczego; ja zaprzeczam mu i dowodzę, że świat antyczny ma wartość taką a taką. A więc, powiada mój przeciwnik, wedle zdania pańskiego, nauki przyrodnicze są do niczego? Nie, panie naturalisto, moje zdanie jest inne, zupełnie inne: różnica między panem a mną polega, mianowicie, na tem, że ja i rozumiem i szanuję naukę pańską, gdy tymczasem pan, jak widać, nie umie szanować, t. j. zrozumieć mojej.

Powtarzam, że w wykładach swych staram się tylko charakteryzować swą dziedzinę; niekiedy, zmuszony okolicznościami, bronię jej i siebie, ale nigdy na nikogo

i na nic nie napadam. Powiem dokładniej: nietylko nie miałem zamiaru obrazić kogokolwiek,—nie obraziłem nikogo; mam prawo oświadczenie to złożyć, gdyż każde słowo w wykładach moich było przemyślane z tego właśnie stanowiska. Jeśli zaś ktokolwiek czuje się, mimo to, obrażony, to niechaj mi wolno będzie zrobić mu uwagę, że ta obraźliwość jego wynika z niewłaściwego tłumaczenia słów moich, za które odpowiadać nie mogę. Przewidzieć takie tłumaczenie niewłaściwe było niepodobieństwem: droga prawdy, powtarzam, jest jedna, ale dróg błędnych jest mnóstwo niezliczone. A teraz powracam do tematu.

O wartości kształcącej etymologii obu języków mówiłem w poprzednim wykładzie — naturalnie, bardzo zwięźle, bo szczupłość czasu nie pozwala nam wykroczyć poza ogólne ramy szkicu; teraz z kolei przystąpimy do semasjologii, która sprowadza się w gimnazjum do uczenia się „słówek“ jednego i drugiego języka. To uczenie się trwa przez cały kurs gimnazjalny, gdyż idzie w parze z czytaniem każdego autora; powstaje pytanie, jaki stąd pożytek? Odpowiem: pożytek ogromny i wieloraki; mając tu wszakże na widoku wartość jedynie ogólnokształcącą języków starożytnych, nie będę mówił o tem, jak dalece ważną jest rzeczą znać ich bogactwa słownikowe, z uwagi na wyrazy greckie i łacińskie, żyjące dotychczas w językach nowoczesnych, zwłaszcza zaś w nowoczesnem mianownictwie naukowem; nie będę też mówił o tem, jak dalece znajomość łaciny ułatwia uczenie się i rozumienie języków romańskich, zwłaszcza francuskiego. Ale ta właśnie wartość ogólnokształcąca ma najwięcej przeciwników. Cóż za pożytek—powiadają — płynie stąd, że mogę psa nazwać po-łacinie *canis*, a po grecku *κύων*? Czyż wyobrażenie moje o psie zbo-

gaca się dzięki temu choćby o jotę? — Słyszając tego rodzaju rozumowania, a słyszę je często, doznaję tego samego wrażenia, jakiego doświadczać musi chemik, gdy w liczbie pierwiastków wymieniają mu wodę, albo astronom, gdy mówią mu o wirowaniu słońca wokół ziemi: czuję jakiś powiew staroświecczości i pleśni, przekonuję się, że cała najnowsza ewolucja językoznawstwa przeszła bez śladu dla mego oponenta. Już W. Humboldt powiedział słusznie: „Język nie jest bynajmniej tylko prostym środkiem porozumienia; jest on odbiciem ducha i poglądu na świat tego, który nim mówi“. Tę samą myśl wyraził też poeta rosyjski Wiaziemskij w swych wierszach:

Język jest spowiedzią ludu,
Odbija się w nim jego natura,
Jego dusza i jego byt rodzimy.

Weźmy dla przykładu słowo, które ludzie zamieniają między sobą przy pożegnaniu: *χαίρε*, *vale*, *adieu*, *farewell*, *lebe wohl* — tu, co język, to wyobrażenie odrębne, to nowy wyraz wyznania wiary ludowej. Ale, może ktoś postawić zarzut, na czemż polega tu wyższość języków starożytnych? Odpowiem: naprzód na tem, że się je przyswaja metodą apercypcyjną, jak wyżej powiedziano, tak, że różnica semasjologiczna przenika tu istotnie do świadomości ucznia, gdy tymczasem w językach nowożytnych, przy nauce asocjacyjnej, odrębności semasjologiczne do świadomości nie dochodzą. Polak, mówiący po francusku, równie mało zastanawia się nad słowem *adieu*, które po tysiąc razy wymawia, jak nad swoim rodzimem *bądź zdrów*; po-grecku, natomiast, obowiązkowo musi zauważyć: *χαίρε* — właściwie *ciesz się*, następnie „*bądź zdrów*“; po-łacinie: *vale* — właściwie: *bądź zdrów*, a więc tak samo, jak po-polsku; i w tej chwili wionie

ku niemu owo radosne tchnienie życia Grecji, ów mocny i krzepki duch Rzymu, a jednocześnie z tem poczucie, że coś z owej duszy i spowiedzi rzymskiej odnalazł w swej mowie rodzimej.

To—po-pierwsze,— a raczej po-pierwsze i po-wtóre, gdyż stale budzoną chęć ku porównaniom z językiem rodzimym również kładę na karb dodatnich stron studjowania semasjologii antycznej; ale to—jeszcze nie wszystko. Trzecią jej zaletą jest jasność. W liczbie „słów” trzeciej odmiany spotyka się wyraz *cor, cordis*, „serce”. „Czy mieliśmy już — pytam — wyraz tego samego pierwiastku?” — Tak, mieliśmy: *concordia*. — „A więc cóż znaczy *concordia* dosłownie?” — Wspólność serc (uczeń powie, zapewne: „gdy serca są razem”, co może jest i lepsze). W ten sposób powstawanie pojęć oderwanych z pojęć konkretnych wyjaśniono na przykładzie. Natychmiast atoli, jakgdyby w drodze *ricochetu*, rodzi się pytanie: „A jak jest w innych językach?” — Uczeń, po raz pierwszy, zastanowi się, że rosyjski, naprzykład, odpowiednik tego wyrazu „so-głasje”, oznacza dosłownie wspólność głosów, przyczem, jednocześnie, przejdzie mu przez głowę myśl, że łacina w danym razie wykazuje więcej uczucia i głębi. Spróbujcie osiągnąć ten sam wynik z wyrazem francuskim *concorde*, w którym uczeń zaledwie zdoła odpoznać wyraz *coeur*, albo z wyrazem niemieckim *Eintracht*, którego wcale nie rozumie, choćby mu nawet wyjaśnić, że „—tracht” pochodzi od „tragen”.

Zaleta czwarta polega na tem, że słowa Wiazemskija o języku, rzeczywiście, stosują się najbardziej do języków starożytnych, najbardziej dlatego, że języki te—zwłaszcza grecki—wyrosły samodzielnie, nie ulegając wpływowi języków obcych. Punkt ten podkreślam: język grecki jest dla nas językiem niezastąpionym właśnie, jako

język samorodny. Nie znaczy to, rzecz prosta, aby nie było w nim zupełnie słów niegreckich: słowa takie w nim istnieją, zwłaszcza słowa o pochodzeniu fenickiem, ale nietylko jest ich niewiele, lecz, ponadto, dotyczą one jeno świata zewnętrznego i nie wiążą się z duszą narodu. I wogóle nie mówię tutaj o słowach cudziозиemskich—noszą one na sobie pieczęć swego pochodzenia obcego, mniej lub więcej wydatną, i nikogo, przeto, w błąd wprowadzić nie mogą; nie, mówię o słowach, przełożonych z języka obcego, które w ten sposób, zewnętrznie, przenikają do języka, nie stanowiąc wewnętrznego dobrodku duszy narodowej; snadnie pojąć, że, im większy bywa odsetek słów tego rodzaju, tem mniej język danego narodu uchodzić może za wyraz jego samowiedzy. Otóż, takich to właśnie słów „przełożonych“ język grecki nie zna; dzięki temu, jest on wszystek, taki, jaki jest, odbiciem greckiej duszy narodowej, tak, że, gdyby nawet cała literatura grecka zaginęła, możnaby na podstawie samego tylko słownika greckiego, duszę tę odtworzyć. Języki natomiast nowożytnie możności tej nam nie dają. Szczególniej dużo wyrazów „przełożonych“ spotykamy, naprzykład, w języku rosyjskim, tak dużo, że bez nich, nietylko ludzie światli, ale nieoświeceni nawet chłopi nie potrafiliby między sobą rozmówić się „rzetelnie“. Weźmy, chociażby, wyraz rosyjski *sowiest'* (sumienie); czyż moglibyśmy, czyż mógłby lud bez tego słowa się obyć? Nie, oczywiście. A jednak, czyż można powiedzieć, że wyraz ten jest owocem samowiedzy rosyjskiej, okruczem spowiedzi ludu rosyjskiego? Nie, panowie: w rosyjskiej samowiedzy ludowej wyraz ten nie posiada korzeni. Cóż to jest *so-wiest'*? Rozczłonkujmy ten wyraz: *wiest'* od *wiedat'*, *sowiest'*, od *so-wiedat'*... w języku rosyjskim niema ani takiego wyrazu, ani takiego zwrotu; Ro-

sjanie mówią: „nie wiedaju grzecha za soboj“ (nie wiem grzechu za sobą), nie zaś „z soboj“. Jakże dostało się to słowo do języka rosyjskiego? Drogą czysto książkową, za pośrednictwem przekładu greckiego συνείδησις (łac. *con-scientia*), wielokroć spotykającego się w Nowym Testamencie. Lecz συνείδησις jest to wyraz czysto grecki i pojęcie czysto greckie; po-grecku, istotnie, mówiono: σύννοια ἐμαυτῶ καλόν τι ποιήσαντι,—„wiem sam ze sobą, popelniającym zły uczynek“. Czy rozumiecie, co to znaczy? Znaczy to, co następuje: popelniałeś zły uczynek, przy-czem zachowałeś wszelkie ostrożności, pokryjomu przed ludźmi, pokryjomu przed całym światem, być może na-wet przed bogami; a jednak nie pocieszaj się myślą, żeś go popelniał bez świadków. Jest ktoś taki, kto „wie o tym uczynku razem z tobą“, i tym kimś jesteś ty sam, a ra-czej boski twojej duszy pierwiastek; od tego zaś świad-ka nie uwolnisz się nigdy, póki żyjesz. I oto — kończę słowami Ajschylosa — „nocą, zamiast snu, pamiętliwa troska puka do okna twego serca; i wbrew swej woli uczysz się być cnotliwym“. Dusza ludzka rozdwa się: jedna jej część, ziemską, pokalała się grzechem,—druga, boska, staje się świadkiem surowym i sędzią pierwszej; ta część druga, „wiedząca razem z nami“, jest to sumie-nie nasze (*so-wieśt'*). Oto macie znów cząstkę spowiedzi ludu, lecz spowiedź ta jest wyznaniem ludu *greckiego*, stanowiącem jedną całość z nauką Ajschylosa i Platona, nie zaś rosyjskiego, który włączył wyraz ów do swego słowozbioru w drodze literalnego przekładu z greczyzny.

Ten zresztą rezultat — ważność znajomości greczy-zny, dla rozumienia języków nowożytnych — osiągnęliśmy tylko mimochodem; temat nasz jest inny — wyjątkowe znaczenie języków starożytnych, jako zupełnych i całko-witych odzwierciadleń duszy narodowej. Wszelako poeta

rosyjski mówi nietylko o duszy: „jego dusza i jego byt rodzimy“,—opiewa ostatni z przytoczonych wierszy. Możecie spytać: co tu ma do czynienia byt rodzimy? Wyjaśnię wam i to na przykładzie.

Wszyscy znacie wyraz *rivalis*, który przeszedł też i do języka polskiego, jako rywał,—to znaczy „współzawodnik“. Czy jednakowoż zastanowiliście się nad jego pochodzeniem? Pochodzenie to wskazać może pierwszy lepszy gimnazjasta, młodszych nawet klas: *socialis* od *socius*, *rivalis* od *rivus*. Tak, zapewne; ale *rivus* oznacza „strumień“—w jakież tedy sposób pochodny odeń *rivalis* zyskał znaczenie „współzawodnik“. Oto, w jaki: w Italji, gdzie deszcze podczas upałów bywają rzadkie, już w czasach starożytnych praktykowano system irygacji sztucznej: wodę z rzeki lub źródła odprowadzano zapomocą kanału, *rivus*; z kanałem tym łączyły się rowy, przecinające pola i łąki, które zasilano wodą. Przez uchyloną tamę wprowadzano do nich wodę z kanału głównego; gdy ziemia dostatecznie już została wilgocią przesycona, tamę zamykano—*claudite iam rivos, pueri, sat prata biberunt*—powiada u Wergilego pasterz. Łacno zrozumiecie teraz, że podczas posuchy ową wodę w kanałach ceniono bardzo wysoko; przy zbyt hojnej irygacji u sąsiada, który miał pola wyżej położone, posiadacz pól niższych mógł być pozostać bez wody. Stąd częste spory między sąsiadami nad kanałem, między *rivales*: oto—pierwotne naszego wyrazu znaczenie; w znaczeniu tem używają go prawnicy rzymscy. Nie zawsze jednak te spory, ta *rywalizacja*, pozostawała na gruncie stosunków cywilno-prawnych; zdarzały się też wypadki poważniejsze. Od nawalnych deszczów, kanał, wzmożony dopływem zdrojów górskich, wezbrał i grozi zalewem; burzliwym nurtem pędzą jego fale pośród wstrzymujących

je tam, jeszcze chwila, a fale zrównają się z krawędzią tamy naszego włoścjanina, albo też zniosą ją, zaleją pola, wywrócą chatę, zniszczą jego mienie... chyba, że przejdą się wcześniej na pola jego sąsiada, leżące naprzeciwko, i zrujnują tamtego. *Tua mors — mea vita*. I oto, nocą, chłop, uzbroiwszy się w szpadel, zakrada się ku tamie sąsiada, aby ją rozkopać i niszczący żywioł skierować na jego pola, ogrody, budynki. Ale i sąsiad nie zasypia gruszek w popiele: ledwo rozległy się pierwsze uderzenia szpadla, zbiega się czeladź, idą w ruch drągi, kamienie, noże, wywiązuje się krwawa bójka... między kim a kim? Między *rywalami*. Czy rozumiecie teraz przemianę znaczenia w tem słowie? W taki to sposób w skarbach słownikowych języka odzwierciadla się „byt rodzi-my“ tego ludu, który go wydał.

Wróćmy, jednakowoż, ku jego duszy; poruszane przez nas pytanie tak dalece jest zajmujące i ważne, że pragnę zilustrować je kilku jeszcze przykładami. Co znaczy *potens*? — „potężny“; *impotens*? — niekiedy „bezsilny“, ale częściej „namiętny“—oto wyznanie narodu, który w rozumie widział potęgę, namiętność zaś nierozumną utożsamiał z bezsilnością. Dalej: *πρόσσω* — „postępuję“; *εὖ πρόσσω* — „postępuję dobrze“, a następnie: „jestem szczęśliwy“. Oto ta komórka samowiedzy narodowej Hellenów, z której, następnie, organicznie wyrosła filozofja moralna Sokratesa, upatrująca w cnocie, t. j. w dobrych uczynkach, nieodzowny warunek szczęścia, a później — etyka stoicka, ucząca, że cnota sama przez się czyni człowieka szczęśliwym. Dalej: *γινώσκω* — „poznaję“, „pojmuję“; *συγγινώσκω* — właściwie „pojmuję razem“, potem „przebaczam“; cóż to znaczy? Znaczy to — *tout comprendre c'est tout pardonner*: zasada humanitarna, którą zasłyszała pani de Stael, istniała już oddawna w spowiedzi

ludu greckiego. Lecz gdy o przebaczenie grzechów modli się do Boga chrześcijanin, to nie może on powiedzieć doń: „Zrozumiej je wraz zemną“; w modlitwie Pańskiej powiedziano tedy nie $\sigma\upsilon\gamma\gamma\omega\delta\iota$, lecz $\acute{\alpha}\varphi\epsilon\sigma$, *dimitte nobis peccata nostra* — „odpuść“; *dimitte* nie utrzymało się, zastąpiło je równoznaczne *perdona*, „podaruj mi ponad zasługę“, które po dzień dzisiejszy żyje w językach romańskich. Przytoczyłem tę ostatnią okoliczność, jako piątą zaletę semasjologii antycznej: polega ona na tem, że, dzięki niej, możemy w pewnych ograniczonych dziedzinach ustalać perspektywy historyczne, które same przez się bywają ciekawe i cenne, w uczących się zaś wspierają ducha historyzmu—tę nauki nowoczesnej sygnaturę, która minionemu wiekowi XIX dała miano *saeculum historicum*.

Gdy wyżej nadmienione zalety złożymy razem, otrzymamy taką sumę korzyści, która sownie okupi czas, zużyty na opanowanie semasjologii antycznej; ja, przynajmniej, z własnego wiem doświadczenia, że tą drogą wyrzec można na młodzież uczącą się wrażenie niezmiernie głębokie, budząc w niej nietylko myśl, ale i uczucie.

.....

Przebyliśmy pomyślnie już dwie dziedziny „bezpłodnej pustyni języków starożytnych“; pozostaje dziedzina trzecia—*składnia*. Jest to jednocześnie dziedzina dla wielu najokropniejsza; do niej to przeważnie „stoi się wyrażenie: „gimnastyka umysłowa“, które przeciwnicy nasi obrali za główny cel swych drwinek, mających snadź zastępować dowody. Pozwólcie przeciwstawić im sąd człowieka, który, jako myśliciel, miał pojęcie o sprawie myślenia, a zarazem, jako ojciec psychologii współczesnej, w zagadnieniach psychologicznych, które nas tu zajmują, posiada powagę bezsporną—mia-

nowicie Schopenhauera. W studjum swem: „Ueber Sprache und Worte“ powiada: „...dlatego nader rzadko udaje się jakiegokolwiek zdanie znaczące przełożyć z języka nowożytnego dosłownie na łaciński; zazwyczaj należy zupełnie uwolnić naprzód myśl od tych słów, które ją w oryginale wyrażają, ażeby stanęła ona w świadomości naszej naga, bez słów, niby duch bez ciała; potem zaś dopiero należy oblec ją w ciało zupełnie inne, nowe, w słowach łacińskich, które odtwarzają ją w zgoła innej postaci, tak, że np. rzeczowniki oryginału teraz ustępują pola czasownikom i t. d. Dokonywanie podobnej metempsychozy rozwija i wspiera prawdziwe myślenie. Mamy tu to samo zjawisko, które w chemji nazywa się *status nascens*: materja prosta (Stoff), występująca ze związku jednego, aby wstąpić w drugi, ujawnia w tej chwili; przejściowej szczególną i wyjątkową moc i działalność. To samo stosuje się i do myśli, ze słów obnażonej, podczas przechodzenia jej z jednego języka w drugi. Dlatego to języki starożytne bezpośrednio rozwijają i umacniają ducha. I dlatego to, dodam, Fouillée miał słuszną, mówiąc: *chaque leçon de latin est une leçon de logique* (każda lekcja łaciny jest lekcją logiki); miał on przytem na myśli, głównie, lekcję składni łacińskiej, do której mógł on też śmiało dodać i składnię grecką.

Do tezy Schopenhauera jeszcze powrócimy; tutaj zauważymy tymczasem, że dotyczy ona jednej tylko strony sprawy; druga strona, niemniej ważna, polega na tem, że każda lekcja składni łacińskiej lub greckiej bywa zarazem lekcją języka ojczystego. Weźmiemy przykład: przechodząc z uczniami składnię grecką, polecam im do przekładu dwa zdania: „Często się modlił, aby go miano za pobożnego“, i „modlą się, aby Pan zmiękczył serce matki zagniewanej“. Konstrukcje zupełnie jedna-

kowe, dwa oczywiste zdania, wyrażające cel, „modlić się, aby“. A jednak po grecku tłumaczy się je niejednakowo: w pierwszym wypadku należy wziąć spójnik *iva c. conj.*, w drugim — poprostu *infinitivus*. Skąd ta różnica? Stąd, że wymaga jej także i logika: wszak w pierwszym wypadku „aby go miano za pobożnego“ jest *tylko* celem modlitwy, w drugim zaś wypadku „aby Pan zmiękczył serce matki zagniewanej“ jest nietylko celem, ale i treścią modlitwy. Jakoż sądzicie? Czy uczni swoich greckiej tylko nauczyłem składni, czy też zmusiłem ich do tego, aby uświadomili też sobie właściwości języka ojczystego? Ale — może ktokolwiek wystąpić z zarzutem — ten sam cel dałby się osiągnąć i bez greczyzny: przechoź pan z uczniami składnię ojczystą, ilustrując zręcznie dobranymi przykładami rozmaite kategorie logiczne, zawierające się w jednakowych kategorjach gramatycznych, — i sprawa załatwiona. Odpowiem: nie, w ten sposób sprawa nie będzie załatwiona. Uczeń nie obowiązany jest znać tego rodzaju subtelnosci składniowych języka ojczystego, aby go należycie rozumieć i sprawnie nim władać; musi atoli znać je bezwarunkowo, aby zdania podobne, jak dwa wyżej nadmienione, prawidłowo przełożyć na język grecki lub łaciński. A tymczasem najskuteczniejszy sposób pedagogiczny polega na tem: skoro cel, który stawiacie przed uczniem, nie jest sam przez się ciekawy, to da się on osiągnąć najlepiej wtenczas, gdy zmienimy go na środek, służący ku dopięciu celu innego.

Wogóle, składnię, a także i pozostałą gramatykę należy przechodzić na językach antycznych, nie zaś na języku ojczystym, a to dla następujących powodów.

Powód pierwszy jest ten, że wyrosła ona i rozwinęła się właśnie na językach antycznych, nie zaś na

glebie języka ojczystego, i dlatego do języka naszego przystaje, jak palto pożyczone. Tu powołać się mogą na wasze własne doświadczenie. Czy przypominacie sobie, że w języku łacińskim oznaczenie podmiotu, orzeczenia i t. d. najmniejszej nie nastęczało trudności? Jakże, natomiast, często w owym czasie, gdy na lekcjach języka ojczystego wymagano od was rozbioru składniowego, wahaliście się, czy należy w danym słowie uznać podmiot czy orzeczenie? Jakże często dawano wam w tej dziedzinie inne wskazówki w szkole, inne zaś w domu! Niema wątpliwości: różnica między intelektualistycznym charakterem języków antycznych a sensualistycznym charakterem języka ojczystego, uwydatnia się wszędzie. I sądzę, że każdy zdaje sobie sprawę z tego, jak dalece bezpłodne bywają tego rodzaju rozbiory składniowe na gruncie języka nowożytnego, zwłaszcza polskiego lub rosyjskiego: żywa mowa współczesna ustawicznie wyłącza się z prawideł gramatycznych, które malcy zmuszeni bywają wykuwać.

Co do języka rosyjskiego, w szczególności, to jest on stosunkowo bardzo niegramatyczny; gdyby nie języki antyczne, z których zapożyczono gramatykę rosyjską, to zapewne, pozostałby on bez gramatyki. Być może, wielu z was nie widziałoby w tem zbytniego uszczerbku: gramatyka nie cieszy się szczególną życzliwością młodzieży. Ale nie o życzliwość chodzi: nikt nie zaprzeczy, że gramatyka jest to pierwsza próba logiki, zastosowanej do zjawisk językowych, i że na tem polega jej wartość kształcąca. Istotnie, język rosyjski w swej składni o wiele mniej jest logiczny, niż języki starożytne, z tego samego powodu, z jakiego w swej części etymologicznej jest on mniej intelektualistyczny: łatwiej go ująć ze stanowiska psychologicznego, niż z logicznego. Kto wie, gdyby język

rosyjski pozostawiony był samemu sobie, — mielibyśmy, zamiast obecnej logicznej — gramatykę psychologiczną, i przy rozbiorach składniowych, miast wyrazów „podmiot, orzeczenie, zdanie główne i t. d.“ używanoby wyrazów: „wyobrażenie naczelne — wyobrażenie ustępujące — budowa zamknięta — budowa otwarta — pierwiastek kojarzący i t. d.“... Rozumie się, że w szczegółach rzecz całą wyobrazić sobie niełatwo, ponieważ psychologia składni jest dopiero w kolebce. Obiecuje ona, że będzie nauką zajmującą, lecz co do wartości kształcącej, mimo wszystko, nie może ona iść w porównanie z wypróbowaną składnią logiczną, i szkoła ma zasadnicze prawo wysoko cenić tę niezbyt ponętną, ale zdrową strawę, — a zatem i języki starożytne, z których strawa ta, jak mówiliśmy, najprościej się dobywa.

Wybitna tedy gramatyczność języków starożytnych stanowi pierwszą przyczynę, dla której należy na nich właśnie przechodzić gramatykę, a szczególności składnię.

Przyczyną wtórą i bodaj główną jest zupełna bezcelowość gramatyki przy asocyjnym studjowaniu języka. Wszak uczeń doskonale zdaje sobie sprawę, że robiąc rozbiór bądź etymologiczny, bądź składniowy pewnego ustępu, ani na jotę nie rozumie go lepiej, niż rozumiał uprzednio; i dlatego ćwiczenia te nie pozostawiają śladu w jego rozwoju umysłowym. Przy tłumaczeniu, natomiast, każdego niemal zdania z języka starożytnego na ojczysty wypada pytać się, gdzie jest tu podmiot, gdzie orzeczenie, co wyraża tutaj *ut*, — cel czy skutek, i t. d.; tutaj rozbiór gramatyczny jest rzeczywiście środkiem ku zrozumieniu textu, nie zaś celem samym w sobie; tutaj więc jest on rzeczą i rozumną i owocną.

A następnie, nim skończę ze składnią i z gramatyką wogóle, muszę oświadczyć, że, mojem zdaniem, nasze

podręczniki gramatyki obu języków starożytnych wymagają reformy. O reformie tej mówić tu byłoby nie na miejscu; poprzestaną więc na uwadze, że celem reformy tej powinno być nietyle ich skrócenie, uwolnienie od tak zwanego balastu, ile przystosowanie ich do kształcących celów studjowania języków starożytnych. Wysunąć i rozwinąć należy tę część materiału gramatycznego, która ma wartość pod względem logicznym i psychologicznym; należy, o ile można, uprzystępnić opanowanie tej części, która, nie mając wartości sama przez się, niemniej wszakże potrzebna jest dla rozumienia tekstów greckich i łacińskich; pominąć zaś należy tę, która ani z tego, ani z owego stanowiska nie jest potrzebna.

Teraz idę dalej.

Ze składnią łączy się stylistyka; nie stanowi ona samodzielnego przedmiotu nauczania; niemniej przecież przechodzi się ją ubocznie podczas tłumaczenia z języków starożytnych na ojczysty i odwrotnie; stoi więc na rubieży między gramatyką a czytaniem autorów. Cóż o niej powiedzieć? Wyżej przytoczone słowa Schopenhauera mogą być do niej zastosowane w tej samej mierze, jeśli nie w większej, co i do składni. Gdy zdanie łacińskie: *Hannibalem conspecta moenia ab oppugnanda Neapoli deterruerunt*—tłumaczę: „widok murów powstrzymał Hannibala od oblężenia Neapolu“, to tłumaczenie takie nazywam „literackiem“ w przeciwieństwie do dosłownego, lecz niemożliwego przekładu: „ujrzane mury powstrzymały Hannibala od Neapolu, mającego być oblężonym“; przytem, po-pierwsze, stwierdzam, że wyżej ponad rzeczowniki i czasowniki stoją pojęcia, nie będące, same przez się, ani temi ani tamtemi, i jedynie wskutek stylistycznych właściwości języka, którym się posługujemy, wyrażane bywają bądź przez rzeczowniki, bądź

przez czasowniki; innemi słowy, uczę się pojęcia wyzwalając ze słów, któremi je wyrażamy, a to niezbędnem jest przygotowaniem do myślenia filozoficznego, do rozumowania, gdyż, wedle trafnej uwagi Fr. Nietzscheho, „każde słowo jest przesądem“. Po-wtóre zaś, na przykładach takich zgłębiam te właśnie warunki stylistyczne, o których wspominałem przed chwilą, poznaję doświadczalnie, co bywa właściwe, a co niewłaściwe mowie łacińskiej i mowie ojczystej. Że zaś w tym względzie łacina, istotnie, jest nie do zastąpienia, o tem przekonać się może każdy, kto zada sobie trud przetłumaczenia wyżej nadmienionego przykładu na jakikolwiek z języków nowożytnych: *l'aspect des murs* — der Aublick der Mauern — wszędzie rzeczowniki, tak samo jak w języku polskim, i jak w języku rosyjskim; łacina ze swemi czasownikami stoi na uboczu; nawet Grek powie *τις πολιορνιας*, zamiast *oppugnanda*. I nie myślcie, że dziwne to pierwszeństwo, ofiarowane czasownikom, jest właściwością samej tylko gramatyki łacińskiej—stoi ono w związku z istotną naturą myślenia rzymskiego, które było, mianowicie, myśleniem aktualnem, nie zaś substancjalnem, a najwyższy osiągnęło wyraz w religji rzymskiej: religja rzymska, o ile była ona rzymską, polegała na deifikacji aktów, była religją aktualną, nie zaś substancjalną¹⁾, któżby pomyślał, że istnieje taka intymna łączność między przedmiotami tak dalece różnorodnemi, jak gramatyka i — religja? A przecież łączność ta istnieje, i faktem swego istnienia raz jeszcze stwierdza słusność wielokroć już przytoczonego zdania: „Język jest spowiedzią ludu“.

To — po-pierwsze. Lecz jeżeli pod tym względem

1) Cfr. studjum moje: „Rzym i jego religja“.

łacina (a także język grecki) stanowi środek do *teoretycznego* poznawania języka i języków, to pod innym względem słusznie uchodzić może za szkołę *praktycznego* udoskonalenia stylu. Muszę podkreślić to, że stoimy tutaj na zupełnie mocnym gruncie doświadczenia dziejowego; jak już nadmieniałem wyżej, ludy Europy zachodniej rozwinęły swą prozę artystyczną właśnie na łacinie, drogą pilnego jej zgłębiania i świadomego naśladownictwa jej wzorów. „Wer hätte je ohne die Römer schreiben gelernt!“ — rzekł ktoś, kto się na tem znał — Fr. Nietzsche. Polska, pod tym względem, niepodzielnie należy do rodziny ludów zachodnich: Polacy, nim zaczęli pisać po-polsku, pisali po-łacinie. Co zaś do Rosji, to w niej proza artystyczna, o ile Rosja prozę artystyczną posiada, jest wynikiem tej szkoły surowej, którą język rosyjski przeszedł w okresie t. zw. pseudo-klasycyzmu. Wszelako, możecie zadać mi pytanie, jakim zaletom zawdzięcza łacina to, że była i nie przestaje być wychowawczynią języków nowożytnych? Postaram się dać i tutaj, o ile można, odpowiedź jasną i zwięzłą, a w tym celu wybiorę z wielu stron stylistyki łacińskiej, któreby zająć nas mogły, stronę szczególnie wymowną — *okres*.

Przedewszystkiem jednak poproszę, abyście, panowie, pozbyli się jednego przesądu: jeżeli mniemacie, że *okres* wyraża jedynie przepych stylu, że jest to jakiś dzwon uroczysty, gromki dla ucha, a pusty dla myśli, to mylicie się głęboko. Dla myśliciela, ogarniającego komplikację wzajemnego ciężenia ku sobie części i cząstek myśli, która w danej chwili go zaprzęta, *okres* — ten żywy organizm, w którym zdania drugorzędne tak dobitnie uzależnione są od zdania głównego, zdania zaś trzeciorzędne niemniej ściśle podlegają drugorzędnym — stanowi niezbędną ważką jednostkę rozumowania, bez

której niepodobna byłoby zbudować jakiegokolwiek dowodzenia, tak samo, jak byłoby niepodobieństwem robić jakiegokolwiek wyliczenia algebraiczne bez ujmowanych w nawias wieloczłonów. By, jednakże, móc służyć temu celowi, okres musi być łatwy do ogarnięcia okiem i myślą. Ta zaś zaleta daje się osiągnąć przez urozmaicenie stopni podrzędności. Stopni takich mamy trzy: mamy zdania główne, zdania podrzędne rozwinięte i podrzędne skrócone. Dwa pierwsze stopnie wspólne są wszystkim językom kulturalnym; doskonałość zaś języka w dziedzinie budowania okresów zależy od istnienia i rozpowszechnienia w nim stopnia trzeciego — skróconego zdania podrzędnego. Pod tym względem z pośród bliższych nam języków najniżej stoi niemiecki; jest to język dwustopniowy, skracania zdań podrzędnych język niemiecki prawie wcale nie zna. Wyżej stoją języki romańskie; języki te pozwalają na skracanie niektórych zdań okolicznościowych, głównie zapomocą imiesłowów nieodmiennych (*ayan appris...* i t. d.), nie znają jednak skracania zdań dopełniających i względnych, jeszcze wyżej stoi język rosyjski, w którym możliwe są skracania i niektórych zdań okolicznościowych zapomocą imiesłowów odmiennych, acz z ograniczeniami; wszelako skracanie zdań dopełniających niemożliwe jest i tutaj. Najwyższego stopnia doskonałości dosięgły języki starożytne: w językach tych skracaniu ulegają i zdania okolicznościowe (przytem w greckim—wszystkie, w łacińskim—tylko niektóre), i względne (przytem nietylko przy jednakowym podmiocie, ale, dzięki tak zwanym *ablativus* lub *genitivus absolutus*, również przy przedmiotach różnych) i zdania dopełniające (dzięki *accusativus cum infinitivo*). A więc języki starożytne, jako w zupełności trzystopniowe, w dziedzinie tworzenia okresów, stano-

wią najwyższą doskonałość; z pośród zaś języków nowożytnych najbardziej zbliża się do nich język rosyjski. Te wszakże zalety, w jakie sama natura wyposażyła język rosyjski, pozostają przeważnie niespożytkowane. Języki starożytne wobec języka rosyjskiego nie odgrywały w czasach nowożytnych roli wychowawczej; ongi język grecki był wychowawcą języka rosyjskiego: wówczas powstały i rozwinęły się przyrodzone tego ostatniego siły stylistyczne. Ale w czasach nowych, gdy wyrabiała się rosyjska proza artystyczna, w okresie, sięgającym po dzień dzisiejszy, wpływ greczyzny ustał prawie zupełnie. Olbrzymią część literatury rosyjskiej stanowi literatura przekładowa. Oczywiście literatura ta nie pozostaje bez wpływu na język. Rosjanie przekładają zaś przeważnie z języków: francuskiego, niemieckiego, angielskiego, t. j. z takich języków, które, jako dwustopniowe, stoją pod względem stylistycznym poniżej języka rosyjskiego (górują one nad nim pod innymi względami, ale to nas tutaj nie obchodzi). Tłumacze, a wraz z nimi i czytelnicy, przywykają do tego, aby nie operować pełnią sił stylistycznych danego języka, sprowadzając go do poziomu tych języków, z których tłumaczą; w rezultacie powodują zubożenie swego języka własnego. W kierunku wspólnym z tego rodzaju przekładami działa i inna jeszcze siła rozkładowa: niezdrowa dążność ku zbliżeniu języka literackiego z potoczną niedbałą gwarą powszednią; odkąd zaś język literacki przechodzi z rąk pisarzy w ręce dziennikarzy, niebezpieczeństwo zubożenia wzmogło się jeszcze bardziej.

Proszę was, panowie, abyście na serjo zważyli te wywody, które tu rozwijam—nie wątpię, że wielu z was słyszy je po raz pierwszy—i nie brali na wiarę pociech przeciwników moich, którzy to, co ja nazywam tu zubo-

żeniem, podają za naturalność i prawią wam o urokach prostoty. Co do naturalności, to dawno już wyrzekliśmy się owocnego w swoim czasie złudzenia Rausseau, który naturalności nie odróżniał od pierwotności, i wróciliśmy do określenia Arystotelesa, że naturalność zawiera się w doskonałości, nie zaś w zarodzie. Co zaś do uroków prostoty, to jeśli tak bardzo się nią zachwycacie,—cóż, możecie odrzucić w muzyce chromatykę, powrócić do liry siedmiostrunnej, albo i czterostrunnej; odrzućcie też i akordy, ogłoście za szczyt piękności muzycznej wykonywany jednym palcem: *właż kotek*... Odrzućcie także bujną paletę Rafaelów i Rubensów, wróćcie—jak zresztą czynią to niektórzy artyści dekadenci — do malowania czterema kolorami bez odcieni, wszystko to są uroki prostoty... Nie, panowie, w waszych rękach, i w rękach waszych rówieśników spoczywa przyszłość waszego języka. Pamiętajcie, że w Atenach za honorowy każdego obywatela obowiązek uchodziło przekazanie odziedziczonego po ojcach mienia nie w postaci pomniejszonej, ale raczej zubożonej; kto na to się nie zdobywał, o tym mówiono, w obrazowym owych czasów języku, że „zjadł mienie ojcowskie“, τὰ πατρία κατεδήδοκεν, i skazywano go na infamję. Przypomnijcie sobie surowy osąd Tainea, wydany na akademję francuską wieku XVII za to, że, przesadnem uniesiona dążeniem ku prostocie, spowodowała zubożenie (słownikowe) bujnej mowy Rabalais'go; strzeżcie się tedy, aby i o was nie powiedzieli potomni, żeście w dziedzinie języka „zjedli mienie ojcowskie“.

Ze słów tych, spodziewam się, że nie wysnujecie wniosku, jakoby zachęcał was do mówienia i pisania trzystopniowemi okresami; wszak, doradzając wam rozwijanie sił fizycznych, nie chcę przez to powiedzieć, że,

podając sąsiadowi filiżankę kawy, powinniście w ruch puścić obie ręce i napiąć cały korpus. Nie: teza moja sprowadza się do tego, że człowiek ukształcony powinien *umieć* budować okresy złożone, a zarazem przejrzyste, tam, gdzie tego wymaga myśl, gdzie bywa to niezbędne dla logicznej lub psychologicznej pełni rozumowania albo wykładu. I oto, pod tym względem, szkoła klasyczna, będąca pod kierunkiem znających się na rzeczy profesorów, wyświadczyć może nam rzetelną usługę. Proza francuska i niemiecka, wskutek swej mniejszej doskonałości, są zarówno dla języka polskiego, jak rosyjskiego, bezpożyteczne; jedynie proza antyczna, zmuszając nas do uruchamiania wszystkich zasobów stylistycznych języka ojczystego, może stać się szkołą dla naszych stylistów.

Tu przewiduję, jednakowoż, zarzut następujący: czyż można spodziewać się pożytku dla języka ojczystego po prozie klasycznej, skoro wy sami, panowie klasycy, psujecie go swemi stylistycznymi perłami? Czyż to nie wyście wynaleźli takie zwroty, jak: „nieprzyjaciół naniósł wojnę“, albo „został on ścięty pod względem głowy“ i t. d.?

Zarzut ten w znacznym stopniu jest zarzutem przedawnionym. Oczywiście, w owych czasach, gdy wykład języków klasycznych powierzano osobnikom, niedostatecznie władającym mową ojczystą, trudno było innego oczekiwać rezultatu. Jeśli pominąć te anomalje, to pozostanie w mocy, co następuje: my, klasycy, istotnie, w celach pedagogicznych, stosujemy niekiedy przekład dosłowny, który ja nazywam „przekładem roboczym“ (na wzór „hypotezy roboczej“); tak, na przykład, nie mogę wyłożyć uczniowi, *uczącemu się* tylko po-łacinie, a niezupełnie łaciną władającemu, różnicy stylistycznej mię-

dzy „Hannibalem *conspecta* moenia ab *oppugnanda* Neapoli deterruerunt“ a „*widok*“ murów powstrzymał Hannibala od *oblężenia* Neapolu“ — inaczej, jak tylko zestawiając z tym ostatnim „przekładem literackim“ również przekład roboczy: „Hannibala *ujrzane* ściany powstrzymały od *mającego być oblężonym* Neapolu“. (Niekiedy nauczyciel zażąda od ucznia przekładu roboczego w tym celu, aby się przekonać, że pracował on samodzielnie: lecz jest to raczej zabieg pedagogiczno-policyjny, niżli pedagogiczno-kształcący). We wszystkich atoli tego rodzaju wypadkach przekład roboczy bywa tylko stopniem przejściowym, odpowiadającym takiemuż stopniowi przejściowemu w pracy samej myśli; bywa, że człowiek zatrzymuje się na tym stopniu, lecz jest to znamieniem lenistwa lub niedbalstwa, których tolerować nie należy. Przekład roboczy bywa tem samem, czem negatyw dla fotografa: jest on równie niezbędny, jako stopień przejściowy, i równie niedopuszczalny, jako cel ostateczny i ostateczny wynik naszej pracy.

Dość jednak o stylistyce i o językach wogóle. Czy wszystko już wypowiedziałem i rozwinąłem? Nie, bynajmniej nie wszystko. Nie mówiłem jeszcze o tym doniosłym fakcie, że tylko na gruncie języków starożytnych możemy rozpatrzyć, że tak powiem, *dzieje* wcielenia myśli w słowa; od Homera przechodząc do Horodota, następnie do Thucydydesa, Xenofonta, Platona, od tych do Demosthenesa i kończąc na Cyceronie, widzimy, jak duch zмага się z tworzywem języka, jak w drodze następujących po sobie całkowani jego części wprowadza doń ład tudzież gradację zależności; jak ze zdań samodzielnych tak zwanego „stylu szeregującego“ tworzy zjednoczony i scentralizowany okres, mniej więcej tak samo, jak z gmin samodzielnych i samostarczalnych powstaje

zjednoczone i scentralizowane państwo. To, a i wiele innych jeszcze rzeczy, musiałem opuścić; i bez tego obawiam się, czym nie znużył uwagi, tak długo zatrzymując ją na kwestji języka. Wszelako, nie sądzę, abym na kwestji tej położył nacisk zbyt wielki: wszak i wy, panowie, jako uczniowie gimnazjów, poświęciliście dużo czasu na naukę obu języków starożytnych, i również, być może, skłonni jesteście myśleć, że czasu tego poświęciliście zbyt wiele. Ja zaś podjąłem się wam udowodnić, wbrew szerokiej opinji, że czas, zużyty przez was na zgłębienie świata antycznego, nie został strwoniony napróżno; musiałem przeto zatrzymać się na tym pożytku, który dało wam zgłębienie systemu języków starożytnych, jako takich.

Wszelako, rzecz jasna, nie w imię tego tylko pożytku kazano wam uczyć się po-łacinie i po-grecku: główne znaczenie języków starożytnych polega na tem, że otwierają nam bezpośredni dostęp do literatury antycznej, a przez literaturę, do kultury antycznej w jak najszerszym zakresie. Moim więc tematem najbliższym będzie wyłożyć wam doniosłość kształcącą *literatury antycznej*; temat ten zamierzam rozwinąć w następnym, drugim z kolei, wykładzie dzisiejszym.

WYKŁAD IV.

Przechodząc od języków starożytnych ku literaturze antycznej, doznaję miłego uczucia człowieka, który z basty przemienia się w obywatela, acz nie pełnoprawnego, jednakowoż w pewne prawa wyposażonego. Znaczna część ogółu współczesnego uznaje doniosłość zgłębiania literatury antycznej, zwłaszcza greckiej; panuje wszakże opinia, że dla zgłębiania jej niema potrzeby sięgania do oryginałów — można poprzestać na przekładach.

Gdy w komisji, powołanej do opracowania reformy szkoły średniej, której to komisji miałem honor być członkiem, roztrąsano pytanie co do pożądaných ulepszeń w planie szkolnym gimnazjów realnych, to światli szermierze tego tak ważnego i niezbędnego typu szkoły ogólno-kształcącej wypowiedzieli życzenie, aby do programu gimnazjów tych włączono studjowanie także literatury antycznej — ale, oczywiście, w przekładach. Jeśli idea ta się urzeczywistni, to różnica między szkołą realną a klasyczną, w interesującej nas sprawie, sprowadzi się, głównie, do tego, że szkoła klasyczna będzie wychowawców swych obeznawała z oryginałami tych utworów, które

wychowańcy szkół realnych czytać będą w przekładach. Czy należy w różnicy tej uznać wyższość szkoły klasycznej, a jeżeli tak, to dlaczego? Innemi słowy: czy może przekład zastąpić oryginały, a jeśli nie może, to na czym polega niedostateczność przekładu? Oto pytanie, którego nie mogę pominąć milczeniem; nie lękajcie się wszakże, że pytanie to odwróci nas od tematu. Nie; mojem zdaniem, a o słuszności jego mam nadzieję i was także przekonać, skarby literatury antycznej dzielą się na takie, które można odtwarzać w przekładach, i takie, które nierozzerwalnie wiążą się z formą oryginału; odpowiedź tedy na postawione przed chwilą pytanie będzie zarazem charakterystyką literatury antycznej.

Jak widzicie ze słów powyższych, nie należę do bezwzględnych przeciwników przekładów. Sam występowałem w roli tłumacza i wydałem bardzo okazały objętością tom, który, mam nadzieję, zajmie nieostatnie miejsce w nowożytnej literaturze przekładowej; ale, właśnie, dlatego wiem, co przekład może oddać, a czego nie może. Kto każe wam poprzestać na przekładzie, miast oryginału, ten rozumuje tak samo, jakgdyby wam mówił: pocóż macie chodzić do konserwatorjum, aby tam słuchać symfonji Bethowena lub Czajkowskiego, skoro o wiele dogodniej możecie zapoznać się z niemi u siebie w domu w transkrypcji na fortepjan. Tymczasem zaś wiadomo, że uwaga ta jest poniekąd słuszna, ale tylko poniekąd; transkrypcja daje to i owo, ale nie wszystko: im wyżej, pod względem artystycznym, stoi pewien autor symfoniczny, im jest głębokomyślniejszy, tem mniej zastąpić go może transkrypcja na fortepjan, gdyż subtelność myśli i formy osiąga się właśnie umiejętnem spożytkowaniem znamiennych właściwości każdego instrumentu, niepodobnych do odtworzenia na for-

tepanie. To samo i tutaj. Weźmy początek Cezara: *Gallia est omnis divisa in partes tres*, „Galja cała podzielona jest na trzy części“ —przekład w zupełności oddaje oryginał, nic w nim nie pomija. Weźmy okrzyk Thetydy u Homera, gdy dowiaduje się o nieszczęściu, jakie dotknęło syna jej, Achillesa: ὦ μοι δυσχαιριστοτόκεια, „biada mi, którym urodziła najlepszego bohatera“—i tutaj wszystko jest w przekładzie oddane, ale dla osiągnięcia tej pełni wypadło zużyć, zamiast jednego słowa oryginału, sześciu słów w przekładzie; jak wiele zaś na takim rozcieńczeniu traci siła wyrazu, każdy łącznie zrozumie. Weźmy, na koniec, charakterystykę Ateńczyków u Thucydidesa w mowie pogrzebowej Paryklesa: φιλοκαλοῦμεν μετ' εὐτελείας καὶ φιλοσοφοῦμεν ἀνευ μαλακίας — tutaj tłumaczowi poprostu ręce opadają. Oczywiście, zrozumie on, że jest tu mowa o ludzie, rozmiłowanym w sztuce, który artystyczne piękno formy wyodrębnił od narzutliwego przepychu tworzywa; o ludzie myślicielu, który umiał ustrzec się rozkładowego działania myśli na potęgę woli, — ale oba te sądy wtłoczyć w formę owej zwięzłej, dźwięcznej i dobitnej antytezy, jaką mają one u Thucydidesa, słusznie wyda mu się zadaniem do wykonania niepodobnem.

Nie będziemy tedy lekceważyli przekładów, ale też nie będziemy stawiali ich na równej stopie z oryginałami. Schopenhauer powiedział, że pozostają one w tym stosunku do oryginału (ma on na myśli literaturę antyczną), w jakim cykorja pozostaje do kawy; ktoś inny powiedział, że odtwarzają one jeno odwrotną stronę dywanu. Jest to, pono, sąd niesłuszny; możnaby raczej powiedzieć, że wobec swoistych warunków mowy antycznej każdy przekład utworu starożytnego na jeden z języków nowożytnych pozostawać będzie w takim mniej-więcej

stosunku do oryginału, w jakim modele drzewniane ciała ludzkiego, których używa się przy studjowaniu anatomji, pozostają do rzeczywistego ciała ludzkiego: dają one pojęcie ogólne o budowie i treści pierwowzoru, ale subtelności pierwowzoru w przekładach nie szukajcie. Wszelako i modele owe bywają różne: zdarzają się między niemi istotnie artystyczne, dające korzyść niewątpliwą; zdarzają się i grube, niechlujne, dające zupełnie spaczony wyobrażenie o pierwowzorze. Nasze przekłady autorów starożytnych należą przeważnie, niestety, do tej drugiej kategorii; bardzo mało jest takich, w których dałoby się znaleźć choć poszlakę artyzmu. Cóż począć? będziemy pragnęli i starali się, aby ich było więcej; nic innego nie pozostaje. Lecz jakbykolwiek były doskonałe, nie traci mimo to mocy zasada, że interpretować świat starożytny, wszechstronnie go analizować, można jedynie na gruncie oryginałów, podobnie, jak badać strukturę tkanek ciała ludzkiego można jedynie w naturze, nie zaś na modelach drewnianych.

Ale ta właśnie metoda interpretacji nie u wszystkich znajduje uznanie. Czyż nie lepiej, istotnie, przeczytać dziesięć ksiąg Liwjusza w przekładzie, niż jedną w oryginale? Czyż to czytanie oryginałów daje jakąkolwiek korzyść, a jeśli daje, to na czem korzyść owa polega?

Tu muszę wysunąć, przedewszystkiem, to stanowisko, które nazywam stanowiskiem pedagogiczno-moralnem... Wahałem się długo, czy należy o stanowisku tem mówić wobec was; ludzie, których opinię szanuję, odradzali mi, a i sam wiem, że nie mówić byłoby rozsądniej. Ale, kto chce służyć prawdzie, ten nie zawsze iść może za głosem rozsądku; mimo wszystko, tedy, zdecydowałem się wyłożyć wam poglądy swe w tej sprawie, poglądy, którym przypisuję bardzo wielką donio-

słość, i mam nadzieję, że zrozumiecie i ocenicie je lepiej, niż niektórzy z tych, którzy słyszeli je ode mnie dawniej. Proszę jednak o to, abyście to, co mam wam oznajmić, przyjęli ze szczególną uwagą.

Cóż to jest, przede wszystkim, owo stanowisko pedagogiczno-moralne?

Ani nauka, ani badania naukowe nie stawiają sobie celów bezpośrednio moralnych. Ich przedmiotem bywa prawda; posiadanie zaś prawdy, samo przez się, człowieka nie umoralnia. Nie, nie posiadanie prawdy, ale droga, którą dochodzimy do niej, ten wysiłek, którego dokonaliśmy nad sobą, aby ją uznać, — oto, gdzie tkwi moralny pierwiastek nauki i nauczania. W tem, że uznajecie wiarowanie ziemi wokół słońca, niemasz jeszcze nic moralnego; lecz, jeśli z początku hołdowaliście innemu mniemaniu, potem zaś, poznawszy dowody przeciwników, uchyliliście czoła przed prawdą, — to w tem był czyn moralny: ze starcia prawdy z umysłem ludzkim wynikła właściwość moralna umysłu — prawość. „Zrazu toczyłem spór z wami, ale teraz widzę, że nie miałem słuszności“ — oto hasło prawości, tę zaś naukę, która do niej prowadzi, nazywam moralną. Oto jest stanowisko pedagogiczno-moralne: zastosujemy je teraz do przedmiotów nauczania gimnazjalnego. Uprzedzam, że stosunek każdego wogóle przedmiotu do moralności bywa trojaki: dodatni, ujemny i obojętny. Przedmiot, działający dodatnio na moralność, nazywamy moralnym; działający ujemnie — immoralnym; działający obojętnie — amoralnym (wyraz bardzo nieładny, którego używam z musu, lecz obyć się bez niego niesposób). Ponieważ wyłuszczyłem, w jakim znaczeniu używam tu wyrazu „moralność“, tedy spodziewam się, że nie wywoła on żadnych nieporozumień; przeciwników swych — gdyby tacy w audytorjum tem

byli—proszę, aby mocno zapamiętali sobie to wyjaśnienie moje i od wszelkich powstrzymywali się kalamburów z powodu owego wyrazu, jakbykolwiek kuszące ku temu nastroczały się sposobności.

W jakimż więc pozostają stosunku przedmioty nau czania do owej moralności pedagogicznej?

Zacniemy od literatury antycznej, zgłębianej w oryginalne, — od tego, co przyjęto nazywać „czytaniem autorów“. Wystawiam siebie w roli nauczyciela: leży przede mną text, który mam wyłożyć, taki sam zaś text leży i przed każdym z uczniów. Wyjaśnię wam, co to znaczy. Dając uczniowi text do ręki, daję mu tem samem ogólne pole dla dostrzeżeń i dociekań; na polu tem służyć mu będę wskazówkami, ale niczem więcej; uczeń mieć będzie i prawo i możność kontroli, nad nami zaś obu panować będzie instancja najwyższa—prawda. Biorę przykład z Horacego:

Scribendi recte sapere est et principium et fons.

Między mną a uczniem wywiązuje się spór o to, z czem powiązać *recte*. Uczeń powiązał je ze *scribendi* i przełożył: „Być mądrym — oto początek i źródło poprawnego pisania“. Mnie zaś, z pewnych względów, wydało się, że *recte* należy powiązać z *sapere*; i że przykład powinien brzmieć: „Poprawnie myśleć—oto początek i źródło pisarstwa“. Uczeń nie ustępuje: „Cezura — powiada on — stoi między *recte* a *sapere*, dzieląc te wyrazy, tak, że już z tego powodu właściwiej jest łączyć *recte* ze *scribendi*: tegoż wymaga i sens, gdyż rozum jest źródłem nie wszelakiego pisarstwa, lecz tylko dobrego, poprawnego; wszak można pisać też i całkiem bezrozumnie“. — „To prawda“ — odpowiadam — „lecz cezura częstokroć dzieli wyrazy, powiązane ze sobą sensem (przytaczam przykłady), tak, iż argument ten posiada pomo-

nicze jedynie znaczenie; co zaś do drugiego argumentu pańskiego, to o pisarstwie niepoprawnym poeta z pewnością nawet wzmiankować nie będzie.— „A jednak“ — oponuje uczeń, — „okazuje się, że moje pojmowanie tekstu bardziej jest uzasadnione“. — „Nie“ — odpowiadam — „gdyż przy pańskim pojmowaniu wyraz *sapere* pozostanie bez określenia, które, jednakże, jest niezbędne: jest to wyraz obojętny, który pierwiastkowo znaczył „mieć pewien smak“ (stąd — *sapor*, francuskie — *saveur*), następnie zaś „mieć pewne właściwości umysłowe“. Ażeby zyskać znaczenie „być mądrym“, wymaga określenia, wymaga tego właśnie *recte*, które pan chcesz odeń oddzielić“. — „Dlaczego“ — pyta uczeń — wszak od *sapere* pochodzi imiesłów *sapiens*, posiadający znaczenie pozytywne: „mądry“, nie zaś obojętne: „posiadający pewne właściwości umysłowe“? — „Nie jest to żaden dowód“ — odpowiadam — „gdyż imiesłowy czasowników obojętnych, zamieniając się w przymiotniki, częstokroć nabierają znaczenia dodatniego; tak np., od obojętnego czasownika *pati*, „znosić“ pochodzący, *patiens* znaczy „dobrze znoszący, cierpliwy“. Znajdź że mi pan przykład, aby sam czasownik *sapere* bez określenia miał znaczenie dodatnie „być mądrym“! — Uczeń milknie tymczasem, lecz na lekcji następnej przytacza mi z tegoż Horacego przykład: *sapere aude* — „mieć odwagę być mądrym“. — „Tak, racja — powiadam, — myliłem się“.

Na tem polega znaczenie pedagogiczno-moralne autorów starożytnych; jak widzicie, daje nam ono w zupełności prawo uznać przedmiot ten za przedmiot moralny. Teraz weźmiemy dla porównania dwa inne przedmioty... przyczem proszę zauważyć, że znów wykładam wam rozdział z przyszłego „naukoznawstwa psychologicznego“: zastrzegam się przeto, aby nie przypisywano

mi chęci obrażenia lub poniżenia jakiegokolwiek przedmiotu. Jak najusilniej przeciw tego rodzaju przypuszczeniom protestuję. Już raz oświadczyłem, że moja właśnie specjalność nauczyła mię szanować wszystkie nauki, należące do wspaniałego gmachu wiedzy; jak do tego doszedłem, o tem powiem później. Lecz, panowie, mamy chyba prawo powiedzieć, porównyując konia z orłem, że orzeł ma skrzydła, a koń ich nie ma, i nie będzie to znaczyło, że obniżamy wartość konia — koń ma inne zalety, których nie posiada orzeł. Podobnie i tutaj, uznając nietylko wartość ogromną matematyki, ale i ogromną jej doniosłość kształcącą, mam prawo, nie mniej przecież, powiedzieć, że owego znaczenia pedagogiczno-moralnego, o którym tutaj mówię, dopatrzeć się w niej nie można. Oczywiście, matematyka również dąży do prawdy, ale jak? zapomocą ścisłych, określonych dedukcyj, żadnego nie dających pola do sporów naukowych; zdanie, niezgodne z prawdą, nie może się ostać, rzecz jasna, ale nie może ono też i powstać w sposób jakiegokolwiek rozumny — w tej, przynajmniej, matematyce, która wchodzi w obręb kursu gimnazjalnego. Dowodzi tego sama jej historia; był, oczywiście, czas, gdy nie wiedzano, że suma kątów w trójkącie równa się dwu prostym, albo, że suma dwu liczb, pomnożona przez ich resztę, równa się reszcie kwadratów; lecz skoro prawdy te ustalono — żadnych już sporów co do nich nie było. Matematyka przeto nie uczy nas wyrzekać się swego zdania poprzedniego wskutek przekonywającej mocy dowodów przeciwnika; owego ważnego i owocnego wysiłku nad sobą samym, z którego rodzi się wyznanie: „Zrazu spierałem się z tobą, ale teraz widzę, że słuszność jest po twojej stronie“, — tego wysiłku matematyka od was nie zażąda. I dlatego właśnie mamy prawo zaliczyć ją do przedmio-

tów we względzie moralnym obojętnych— do przedmiotów amoralnych.

Drugą krańcowość stanowią języki nowożytnie, włączając język ojczysty. Rzecz jasna, znajomość ich jest niezbędna: lecz my mówimy tu nie o znajomości: mówimy o sposobie, w jaki znajomość tę się zdobywa. A w jaki sposób się ją zdobywa, to— wiecie: wyraziłeś się wadliwie — spotykasz się z uwagą: „tak się nie mówi“. Uwagę tę czynią ci ludzie, którzy się znają na rzeczy, i idąc za ich wskazówką, udoskonalasz swą mowę. Czyż jednak, poprawiając błąd, uległeś dowodowi, ustąpiłeś przed powagą nauki, prawdy? Nie; niemasz tu miejsca ani na naukę, ani na prawdę. Ustąpiłeś przed autorytetem osoby, w której przypuszczasz, zupełnie słusznie, obecność tej wiedzy, której poszukujesz. Gdy powstaje spór, rozstrzyga go ten sam autorytet: od wyroku „tak się mówi“, albo „nie mówi“ nie służy żadna apelacja. Teraz wyobraźcie sobie, panowie, że to poddawanie się wyrokowi „tak się mówi“ weszło wam w krew i w ciało; jakież będzie stosunek wasz wobec zagadnień, oczekujących was w życiu? Wasze czysto poddańcze stanowisko z góry jest przesądzone: niema takiej wątpliwości, dla której nie znalazłoby się *panaceum* w owem zbiornym „tak się mówi“. „Tak się mówi“ — gdzie, kto? To już wszystko jedno: przełożeni, społeczeństwo, partja, towarzysze, prasa, różnica sprowadza się tylko do koloru liberji. Dlatego to tę metodę zdobywania wiedzy, o której tu jest mowa, nazywam metodą, działającą ujemnie na moralność pedagogiczną, — metodą immoralną. I gdy, kosztem języków starożytnych, wzmożone będzie w gimnazjum nauczanie języków nowożytnych, to rezultatem tej zmiany będzie jedynie zanik zdolności do ulegania słusznym argumentom, zanik tolerancji, której brak

już obecnie dotkliwie daje się we znaki w naszym społeczeństwie.

Tak przedstawia się owo stanowisko moralności pedagogicznej, nowa karta w nienapisanej jeszcze książce o naukoznawstwie psychologicznem. Wskazuje nam ona, że metoda interpretacji filologicznej, stosowana przy rozumowanej lekturze autorów starożytnych jest metodą wysoce pedagogiczno-moralną, gdyż, otwierając pole dla powstawania sporów, rozstrzyga je powagą nauki. Metoda nasza, pomijając już wszelkie inne względy, ma wartość dzięki temu, że w człowieku rozwija wrażliwość na argumenty, rozwija zdolność liczenia się z nowoprzytaczanymi faktami oraz z ich siłą dowodową. A ta właśnie zdolność jest warunkiem owocnej walki i rozumnego pokoju.

Uwydatniłem przed chwilą stronę pedagogiczno-moralną metody interpretacji filologicznej; wszelako, ma ona również stronę pedagogiczno-*intelektualną*. Istotnie, cóż było przyczyną mej pomyłki w wyżej nadmienionym przykładzie? Brak obserwacji. Cóż było przyczyną tego, że zdanie swe zmieniłem? Uzupełnienie materiału obserwacyjnego. Skoro więc zapytamy siebie, jak nazwać metodę interpretacji filologicznej, to odpowiedzieć wypadnie: metodą empiryczno-*obserwacyjną*, w przeciwieństwie, z jednej strony, do dedukcyjnej metody matematyki, z drugiej zaś — do metody experimentalnej fizyki i nauk pokrewnych. Z tego stanowiska, narówni z interpretacją filologiczną postawione być mogą tylko nauki przyrodnicze w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale pod tym jeno warunkiem, aby pole obserwacji pozostawione było uczniowi w całej jego nietykalności. Posyłam chłopca do gaju wierzbowego z poleceniem określenia, jakim drzewem jest wierzba, jednopiennem czy dwu-

piennem; tutaj obserwacja będzie miała wartość, gdyż wobec mnóstwa dróg uczeń będzie miał możliwość i spełnienia pomyłki, i jej naprawienia. Lecz łatwo zrozumieć, że gaju wierzbowego niepodobna przenieść do szkoły; nie; w szkole materiałem jedynym dla metody empiryczno-obserwacyjnej może być interpretacja filologiczna, gdyż ona tylko dać może uczniowi do rozporządzenia całe pole obserwacji — mianowicie text. Wychowany w ten sposób umysł ucznia będzie nietylko — dzięki pokrewieństwu metody — uzdatniony do pracy na polu nauk przyrodzonych, ale również i na polu życia; w życiu dedukcja gra rolę niedużą, experiment — jeszcze mniejszą, życiowego zaś doświadczenia nabywa się prawie wyłącznie w drodze obserwacji oraz wysnuwanych z niej wniosków.

Tak wyglądają dwie strony metodologiczne. Nim zaś przejdę do strony materialnej lektury, muszę przede wszystkim uwydatnić *charakter intelektualistyczny również literatury antycznej*. Mówiłem już o charakterze intelektualistycznym języków starożytnych, przeciwstawiając im charakter sensualistyczny języków nowych; literatura starożytna, jako wytwór języka, nosi to samo piętno. Uznanie naczelnych praw rozumu przenika ją wszertz i wzdłuż, na całej przestrzeni; jak po-grecku ten sam czasownik — *πειθομαι* — oznacza zarówno „daję się przekonać“, jak „jestem posłuszny“, tak samo i w literaturze greckiej i w jej uczennicy — literaturze rzymskiej, wszędy, niby atmosfera powszechna, panuje przekonanie, że rozum rządzi wolą. Wprawdzie, od osób, uchodzących za znawców świata starożytnego, często słyszymy zdanie, jakoby świat ten chylił czoła przed losem. Ale do tego, aby móc sądzić o świecie starożytnym, trzeba bardzo dużo wiedzy; świat starożytny, jak trafnie wyraził się filozof

rosyjski Włodzimierz Sołowjew, był nie jednoduchem, lecz wieloduchem. Ze stanowiska stosunku rozum do woli, ewolucję literatury ludzkości upodobnić możnaby do krzywej ballistycznej, powracającej ku płaszczyźnie swego wyjścia. Początek jej stanowią najstarsze literatury, w których czynny człowieka tłumaczy się opętaniem przez duchy złe lub dobre; u Homera znajdujemy jeszcze przeżytki owego wyobrażenia, lecz poeta ten czyni już próby ku wyzwoleniu, Ajschylos zaś zwycięsko stawia zasadę wolności całkowitej, rządzonej rozumem woli. Na zasadzie tej wsparła się cała dalsza filozofja i literatura świata starożytnego: słusznie uchodzić ona może za punkt szczytowy naszej krzywej. Z chwilą wystąpienia na arenę ludów nowych, pierwiastek wzruszeniowy odniósł przewagę nad pierwiastkiem intelektualnym; klasycyzm stanął do walki z romantyzmem tudzież jego następcami, rozmaite noszącymi imiona, lecz jedno wspólne godło: primat woli nad rozumem. Najdalej w tym kierunku poszła nowa literatura rosyjska, zwłaszcza Dostojewski; jest to tymczasowo punkt kresowy: krzywa wróciła ku swjej płaszczyźnie wyjścia; dawne dobre i złe duchy na nowo jęły rządzić ludźmi, pod imieniem namiętności i sugestyj. Jest to swego rodzaju doskonałość, ale nie ze stanowiska kształcącego: dla człowieka, będącego w okresie rozwoju, jest rzeczą pożyteczną uznawać potęgę rozumu, gdyby nawet życie późniejsze miało go pouczyć, że nie rozum i przekonanie, ale namiętność i żądza władają jego środowiskiem.

Pisarze starożytni byli nietylko co do stylu bardzo staranni, stali oni ponadto na wysokości kultury swego czasu i mogliby śmiało zastosować do siebie dumne oświadczenie F. Lassala: „Każde słowo swe piszę uzbrojon w pełnię wykształcenia swego czasu“. Wykształce-

nie to, będąc w zakresie wiedzy specjalnej o wiele szcuplejsze od wykształcenia dzisiejszego, w umyśle poszczególnych swych przedstawicieli było jednakże nierównie wielostronniejsze; z okolicznością tą liczyć się musi też interpretacja autorów starożytnych. Dlatego nie bez podstawy można powiedzieć, że nauka o starożytności nie jest specjalnością w szeregu innych specjalności, zamkniętych w sobie i przestających na sobie; jest ona przedmiotem encyklopedycznym, ustawicznie zbliżającym przedstawiciela swego z innymi dziedzinami wiedzy, wspierającym w nim poczucie jedności wiedzy i szacunek dla jej gałęzi oddzielnych, a dzięki temu wszystkiemu obdarzającym jego umysł taką szerokością widnokręgu, jakiej zapewnić nie może żadna nauka specjalna. „Filologowi przyda się wszystko“ (*ein Philologe kann alles brauchen*) było ulubionem powiedzeniem mego profesora, dziś już nieboszczyka, Ribbecka, jednego z najświetlejszych ludzi swego czasu. Nauczyciel-filolog musi raz za razem odwoływać się do pomocy bądź to jurysprudencji, bądź sztuki wojkowej i żeglugi, bądź nauk społecznych i politycznych, bądź psychologii i estetyki, bądź przyrodoznawstwa i antropologii, bądź — nakoniec — i to najczęściej, do pomocy doświadczenia życiowego. Taki nauczyciel najwięcej danych ma po temu, aby stać się *mi-strzem* swoich uczniów, gdyż może on działać na całą ich umysłowość, on właśnie, sam całkowitym będąc człowiekiem, wychowywać może człowieka w tym jego wieku, gdy umysł jego jest jeszcze całością, jeszcze nie pograżył się w specjalności. Stąd widać, jak mało znają szkołę klasyczną ci, którzy ją oskarżają, że przesądza ona wybór specjalności już w wieku dziecięcym. Wręcz przeciwnie: ona właśnie wyboru tego nie przesądza aż do najwyższej klasy włącznie. Ku potwierdzeniu tego, co

powiedziałem, pozwolę sobie przytoczyć kilka przykładów — ktoby chciał poczet ich pomnożyć, ten plon bogaty znajdzie w pięknej książce Cauera: „Palaestra vitae.“

W „Królu Edypie“ Sofoklesa czas pastwiska letniego określa się słowami „od wiosny do Arktura.“ Określenie to jest zupełnie niezrozumiałe: moje sumienie pedagogiczne nie pozwala mi poprzestać na tym przekładzie dosłownym. Upewniam się nasamprzód, czy uczeń wie, co to jest Arktur... albo raczej, że żadnego o nim nie ma pojęcia. A szkoda: wstyd w niebie gwiazdzistem widzieć jedynie zbiorowisko punktów świetlnych. Pokażę mu tę słiczną, jaskrawą gwiazdę na mapie, nauczę go odszukiwać jej w rzeczywistości; lecz niedość na tem. Co znaczy „do Arktura“? Muszę wyłożyć uczniowi, co to jest poranny wschód gwiazdy lub gwiazdozbioru... a w tym celu muszę uprzednio sam to zrozumieć. A i to jeszcze nie wszystko; dlaczego poeta ucieka się aż do tak złożonego sposobu określenia czasu? Skoro poranny wschód Arktura przypada mniej-więcej 23 września — dlaczego nie mówi „do Września“, albo, dajmy na to (ponieważ był Ateńczykiem), „do Boedromionu?“ Wyjaśniam więc w dalszym ciągu, że w owych czasach każda gmina grecka posiadała kalendarz własny, tak, że gdyby poeta ateński kazał Koryncjaninowi w Tebach posługiwać się kalendarzem attyckim, popadłby w śmieszny konflikt, gdyby zaś kazał wyrazić mu się po koryncku, toby nie został zrozumiany. Z musu wypadło poecie uciec się do kalendarza wszechhelleńskiego, wszechludzkiego, do kalendarza astronomicznego.. A zresztą, czy naprawdę z musu? Nie, z dobrej woli. Staram się odtworzyć wobec ucznia urok owych czasów, gdy niebo gwiazdne tak wiele jeszcze mówiło śmiertelnym, gdy postrzegali oni wszystkie jego przemiany, licząc wedle

nich i czas robót polnych, i czas zmian nocnych, kierując wedle jego konstelacyj bieg swego okrętu, gdy kontemplacja tego wiekuistego ładu wznosiła ich umysły do przeczuwania tej potęgi odwiecznej, która się w nim objawiła.

Drugi przykład — z „Elektry“ tegoż poety. Klitemnestra, mężobójczyni, ujrzała straszny sen; dla córki jej, Elektry, i dla jej towarzyszek jest rzeczą niewątpliwą, że sen ów zesłany jest przez zagniewany cień Agamemnona, jej męża zabitego, i że godzina zemsty jest bliska. „Pociesz się, dziecię — mówią do niej — nie śpi snadź rodzic twój, król Hellenów, nie śpi i ów stary, obojętny topór, który go tak haniebnie wtenczas zamordował.“ Cóż to, „wolność poetycka?“ Nie; zstępujemy w głąb wierzeń zamierzchłej przeszłości; jedna tylko antropologja wyłożyć nam może tę koncepcję świata, z której wypłynęły owe obrazy i uczucia. Duch króla zabitego, błądzący ponuro pośród cieniów Hadesu i wołający o pomstę — to nie plód fantazji poetyckiej; jest to, realny przedmiot wiary ludowej. Mąż zsyła sen złowieszczy na niewierną żonę; mógł on to uczynić, gdyż ów przybytek mroku, do którego przedwcześnie go strąciła, uchodził zarazem za przybytek mar sennych: tu przebywają one w dzień, niby nietoperze pod sklepieniem jaskini, stąd za nadejściem nocy wylatują. Najbardziej atoli znamienne jest wyobrażenie o toporze: jak widać, i on jest ożywiony, i on bierze udział w tem, co się dzieje, i on pała żądzą odkupienia swego pierwszego, nieprawego zabójstwa przez zabójstwo wtóre, sprawiedliwe i konieczne; dopiero wtenczas uspokoi się ten duch klątwy, który w nim zamieszkał. Mamy przed sobą przykład tak zwanej duszy przedmiotu, przeżytek najdawniejszego animizmu; wyobrażenie to ongi prowadziło nawet

do składania sądu nad przedmiotem, a nie zanikło ono doszczętnie i po dzień dzisiejszy... Lecz nacóż pogrążyć się mamy w tak dawną, głęboką starożytność? Naprzód dlatego, aby nie sądzić, że była to epoka gruba; nie podzielać nieznośnej zarozumiałości ludzi „współczesnych“; głównie jednak dlatego, że starożytność owa była kolebką wielu moralnych i prawnych wyobrażeń, któremi żyjemy dotychczas.

Wezmę jeszcze jeden przykład: w dziesiątej pieśni Odyssei jest opis miejscowości po tamtej stronie oceanu, przedsiönka królestwa cieniów. Obraz bardzo posępny:

ἔνθ' ἀκτὴ τε λάχεια ἄλσέα Περσεφονείης,
μακρὰί τ' αἴχειροι καὶ ἰτέαι ὠλεσίκαρποι

„Tam brzeg poziomy i gaje Persefony (tłumacząc dosłownie), *tracące* (lub *gubiące*) *swe owoce* wysokie topole i wierzby.“ Dlaczego poeta dał topolom i wierzbom ten dziwny na pierwsze wejrzenie epitet,—który, trzeba dodać, w oryginale brzmi o wiele poetyczniej, już wskutek tego, że tam wyrażony jest jednym tylko słowem? Sprawa przedstawia się w ten sposób. Zarówno topola, jak wierzba, należą do tak zwanych drzew dwupiennych, t. j. jedno jego okazy dają kwiaty tylko męskie, drugie — tylko żeńskie, nie zaś te i tamte razem (jak dęby i przeważna część drzew innych, które z tego powodu nazywają się jednopienne. Jeśli przeto wierzby i topole stoją samotnie, albo grupami okazów jednej tylko płci, to nie mogą się one zapładniać, czyli „tracą swe owoce.“ Proces zapładniania roślin nie był, rzecz prosta, znany Homerowi, dlatego też użył on tu słowa „owoce,“ miast „kwiaty niezapłodnione“; samo atoli zjawisko tracenienia „owoców“ zauważono: znał je Homer i znali je słuchacze jego, i dlatego to właśnie bezpłodne królestwo cieniów ozdobił właśnie wierzbami i topolami: zarówno

sam przedmiot, jak piękny jego epitet mają tu znaczenie głęboko symboliczne, a więc i zarazem pełne poezji.

Poezję antyczną częstokroć porównywano z przyrodą; porównanie to pod wieloma względami jest słuszne; słuszne jest i pod tym względem, który tu bierzemy pod uwagę. Podobnie do przyrody stanowi ona pewną całość i żadnej nie lęka się odpowiedzialności. Inaczej przedstawia się sprawa poezji nowoczesnej. Gdy macie w ręku pierścień misternej roboty jubilerskiej, możecie lubować się nim, ile sobie życzycie, ale nie radzę wam oglądać go przez mikroskop: w takim bowiem razie znajdziecie na nim tyle skaz, że stracie ochotę do dalszego oglądania. Tymczasem listek róży, skrzydełko motyla możecie stokrotnie rozpatrywać pod mikroskopem: każde nowe spojrzenie otwierać wam będzie coraz ciekawsze i znamiennejsze szczegóły.

Rozmyślnie wybrałem miejsca, których wyjaśnienie zmusza filologa do odwoływania się ku pomocy nauk, względnie daleko odeń stojących. Z łatwością teraz możecie przedstawić sobie, jak dalece ciekawy i bogaty materiał nastręcza lektura autorów starożytnych w dziedzinie nauk bliższych i bardziej pokrewnych—zwłaszcza w dziedzinie historii i estetyki. Dodam natychmiast, że tu pod każdym niemal względem literatura grecka góruje nad rzymską, jak również sami pisarze greccy, czytani w gimnazjach, górują nad pisarzami rzymskimi. Jeśli więc ci obrońcy szkoły klasycznej, którzy ośrodek ciężkości widzą w zgłębianiu samych *języków* starożytnych, mogą do pewnego stopnia pogodzić się z pozostawieniem w szkole tej samej tylko łaciny, to ci, którzy szczególnie wysoko stawiają kształcące znaczenie *literatur* starożytnych, powinni, rzecz naturalna, dbać o zachowanie w niej także języka greckiego... o ile, oczywiście, przy-

puścimy, że zdają oni sobie sprawę z tego, czego właściwie chcą. Wszyscy, pono, zgodzą się, że wyjaśnienia realne, w rodzaju wyżej przytoczonych, będą na miejscu o tyle tylko, o ile ustęp czytany nie nastrocza szczególnych trudności co do formy: jeżeli zmuszony jestem, w drodze wspólnej z uczniem pracy, ustalać, co za forma jest ἄλσεα, od jakiego czasownika pochodzi ὠλεσίκαρποι i t. d., to na głębszą i ciekawszą interpretację, bodaj, nie stanie czasu. Kto więc doradza odłożyć początek przechodzenia języków, jako takich, do klas średnich, ten przenosi tem samem kurs gramatyczny z klas średnich, gdzie on obecnie się kończy, do klasy wyższej, i zmusza nas do poświęcania tych właśnie pierwiastków wykształcenia klasycznego, których sam on, jednakowoż, nie waha się uznać za najbardziej pożądane i najkorzystniejsze. Gdy żądają odemnie, abym pomarańcz pomieścił w naczyniu mniejszem od jej objętości, to, zapewne, z łatwością mogę to uczynić—wystarcza mi w tym celu ją ścisnąć, przyczem sok wyciecze, pozostanie zaś łupina.

W wykładach poprzednich wskazałem już, jako na ważną stronę kształcąca świata antycznego, na ów duch *historyzmu*, jaki świat ten zaszczepia tym, którzy go zgłębiają; dotknąłem strony tej i dzisiaj, mówiąc o semasjologii, lecz strona ta jeszcze wydatniej występuje podczas lektury samych wzorów. Gmina Homerowska,—państwa greckie w okresie wojen perskich u Herodota,—Ateny w epoce Demostenesa,—rozwój republiki rzymskiej u Liwjusza, upadek jej u Cyncerona,—rozkwit pryncypatu u Horacego—oto tło państwowe, przesuwające się przed oczyma ucznia, tło, na które raz poraz wypada wskazywać podczas lektury. Już tu może być ujęta i wyjaśniona zasada ewolucji, w której uczestniczą też pewne pierwiastki kultury oraz etyki, gdy tymczasem pierwiastki inne zwy-

cięsko stawiają czoła jej naporowi i pozostają niewzruszone od początku do końca: gmina homerowska runęła, ale miłość Hektora do Andromachy nie stała się przez to anachronizmem.

Pospołu wzięte, wszystkie epoki starożytności tworzą ogólne tło, jednako niemal wobec doby terażniejszej odległe; badając je, ogarniamy wspólną płaszczyznę wyjścia dla wszystkich idei, które żyjemy obecnie. Ocena moralna zjawisk i idei, przy całej swej ważności, nie ma przytem wpływu na ocenę ich doniosłości. niewolnictwo, zapewne, było zjawiskiem smutnem; lecz niewolnictwo upadło, a upadło pod naciskiem antycznych właśnie pojęć o jedności przyrody ludzkiej; sąd sumienia publicznego, przeciwnie, był zjawiskiem jasnym, sympatycznym, toteż odrodził się on znów, po długim okresie zaćmienia, pod wpływem tychże idei. I tak bywa wszędzie: złe nie ma zadatków życia i musi ginąć; dobre, jako bujne i żywotne, bierze górę i ostaje się w walce. Na tem, ponoć, polega źródło owego optymizmu oraz idealizmu, owego zdrowego, dobrego nastroju, który budzi w nas zgłębianie starożytności; sam fakt znany był oddawna; już w zaraniu wieku minionego, pisarz niemiecki J. P. Richter powiedział: „Ludzkość terażniejsza zapadłaby w bezdenną przepaść, gdyby młodzież po drodze ku targowisku życia nie przechodziła przez cichą świątynię wzniosłej starożytności klasycznej“ (*Levana*).

Z motywem, poruszonym tutaj, wiąże się ściśle inny, dotyczący właściwego sensu interpretacji. Każdy pisarz, godzien tego imienia, pisze tak, aby światli i dorośli jego współcześnicy rozumieć go mogli bez pomocy komentatora; potrzeba komentarza występuje dopiero wtenczas, gdy tło historyczne, na którym dany utwór zrozumiały był sam przez się, uległo zmianie — im bardziej

się tło zmieniło, tem wdzięczniejsze bywa zadanie komentatora. Dlatego tak wdzięczne jest ono wobec literatury antycznej, gdy tymczasem szkolna interpretacja autorów nowoczesnych stale grzeszy drobiazgowością; oto również jeden z powodów — nie jedyny, — dla których słuszną przynajmniej należy Goethemu, gdy w rozmowie z Eckermannem (t. III, 99) powiada: „Zgłębiajcie nie swych współczesników i współszermierzy, ale wielkich mężów przeszłości, których dzieła w ciągu stuleci zachowały jednakową wartość, jednakową powagę... studjуйте Molièrea, studjуйте Shakespearea, nadewszystko zaś — Greków starożytnych.“

Istnieje pewne, cenne dla każdego, poczucie, które szkoła jedynie może w człowieku wyhodować; jest to — *poczucie prawdy* w szerokim tych słów znaczeniu. W znaczeniu ściślejszem pokrywa się ono z żądaniem, ażeby człowiek nie odmieniał dowolnie w słowach tego obrazu, jaki zmysły zewnętrzne lub reflexja pozostawiły w jego pamięci, t. j. nie kłamał; w szerokim atoli znaczeniu obejmuje ono również żądanie, ażeby ów obraz, o ile jest to możliwe, odpowiadał rzeczywistości. Pierwsze bez drugiego bywa prawie bezpożyteczne; jakaż stąd korzyść, że fotograf nie retuszuje swych fotografii, skoro aparat jego tak dalece jest wadliwy, że każde odbicie staje się karykaturą? To wtóre, właściwe poczucie prawdy powinna rozwijać szkoła, gdyż rodzina rozwinać go nie może. W rodzinie malec słyszy na każdym kroku sądy lekkomyślnie, dyktowane bądź sympatją, bądź antypatją, i sam uczy się sądy swe wyrabiać w takiż sam dogodny sposób; tylko szkoła nauczyć go może — jak należy pracować, aby osiągnąć zgodność sądów z prawdą. Najwyższą w tej dziedzinie regułą jest nakaz, aby człowiek czerpał wiadomości nie z trzeciej lub

dziesiątej ręki, ale z pierwszej. I tutaj główna rola przypada w udziale naszej lekturze autorów starożytnych, idącej w parze z interpretacją textu. Wszelkie wiadomości inne chłopiec czerpie z trzecich lub dziesiątych rąk, jedną tylko kulturę starożytną poznaje ze źródeł: czytając Herodota i Liwjusza, czyta on jednocześnie pierwoźródła dziejów greckich i rzymskich, te same, na których opierali swe prace Grote i Mommsen. Nie trudno zrozumieć, ileby zgłębianie świata antycznego straciło na sile kształcącej, gdyby oryginały zastąpić przekładami; Nie mówię tutaj o tem, że zaprawiam ucznia do przedstawiania na wiadomościach z drugiej ręki, zasłaniając mu pierwoźródła, — już to jedno jest niedobre, ale to bynajmniej jeszcze — nie wszystko. Słynny prawnik Ihering wysnuł zupełnie opaczny wniosek co do rzekomej poligamji epoki heroicznej na podstawie pewnego fragmentu z Sofoklesa, którym posiłkował się w przekładzie, gdy tymczasem oryginał byłby go ocalił od tej pomyłki: krytyka filologiczna nie przepuściła mu tego błędu, słusznie upatrując w tem uchylenie się od swego hasła: „Ad fontes“.

I niech mi nikt nie mówi, że szkoła klasyczna, mimo wszystko, nie może dać wychowañcom swym wiedzy dostatecznej ku temu, by ci czytać mogli pierwoźródła — jakbykolwiek niedostateczne były ich w tym kierunku uzdatnienia, starczy ich na to, aby człowiek, zmuszony zajrzeć do jakiegokolwiek autora antycznego (a do tego zmuszony być może w naszym stuleciu historycznym każdy badacz i pisarz) mógł sprawdzić przekład, mając oryginał w ręku. Przypominam sobie skargę największego geniusza poezji rosyjskiej, który pozbawiony był tej nawet możności, który, gdy poetyckie jego powołanie naprowadziło go na zgłębianie pierwoźródeł poezji, —

zmuszony był zapoznać się z niemi na podstawie najnowszych przekładów, których ułomność tak trafnie wrażliwa dusza jego wyczuwała: „Jak rwę sobie włosy nieraz, że nie otrzymałem wykształcenia klasycznego!“ — oto są słowa Puszkina do Pogodina.

Na tem pozwólcie mi zakończyć wykład dzisiejszy. To, com powiedział, nie wyczerpuje, oczywiście, charakterystyki literatury antycznej: niejedno wypadło opuścić, to i owo jeszcze uzupełnię w związku z innymi pierwiastkami kultury umysłowej świata starożytnego—jego religją, filozofją, sztuką. Ale to stanowić będzie przedmiot wykładów następnych.

WYKŁAD V.

Dotychczas obracaliśmy się w ciasnym kręgu tego, co nazwałem starożytnością szkolną; starałem się wyłożyć doniosłość kształcącą zajęć, wypełniających w szkole klasycznej godziny, poświęcone na naukę tak zwanych „języków starożytnych“. Były to, jak pamiętacie, na-przód, system obu języków starożytnych, jako takich, wykładany w trzech swoich częściach składowych, etymologii, semasjologii, składni; po-wtóre, literatura obu narodów, wykładana w oryginałach podczas tak zwanej klasowej lektury autorów. Lecz rola świata antycznego i znaczenie jego dla ogółu współczesnego nie ogranicza się do zakresu szkolnego: jak nadmienilem już w pierwszym wykładzie, w świecie antycznym widzieć należy *jedną z sił naczelných, działających w kulturze ludzkości europejskiej*. Ustalić i wyłożyć tę kulturalną wartość świata antycznego—oto zadanie, które podejmiemy obecnie.

Nim jednak przystąpimy doń, rzucimy ostatnie spojrzenie na szkołę i starożytność szkolną. Czy powiedziałem i rozwinąłem wszystko? Rozumie się, że nie. W wykładach swych nie rościłem i nie roszczę pretensji do zupełności: chciałem jeno zwrócić uwagę na główne

strony przedmiotu, a raczej, oględniej mówiąc, na te strony, które ja za główne uważam; obowiązek sumienia wymaga, abym pokrótce chociaż omówił te strony, które innym zdawać się mogą ważne, a których ja nie dotykałem rozmyślnie. Są one dwie: uwydatniając wartość intelektualną świata antycznego, pomiąłem jego znaczenie moralne; podobnież, ogniskując uwagę na wartości kształcącej starożytności, prawie zupełnie zapomniałem o idącym z nią w parze pierwiastku utylitarnym. Nie czas już na powetowanie tych braków: pozwólcie mi tylko jaśniej sformułować te dwa zastrzeżenia.

Pomiąłem znaczenie *bezpośrednio-moralne świata starożytnego* dla sprawy wychowania; inni, być może, postaraliby się je właśnie wysunąć. Wskazaliby wam na to, że świat starożytny zostawił nam nieśmiertelne wzory wielkości moralnej i cnoty obywatelskiej, w osobach swych bohaterów historycznych — Leonidasa i Arystydesa, Fabrycjusza i Regulusa, przedewszystkiem zaś — Sokratesa,—albo w osobach, stworzonych przez twórczą wyobraźnię poetów: — Achilla i Antygony, Edypa i Ifigenji. Sądzę, że czuję te rzeczy nie gorzej od innych; ale mówić o nich nie miałem i nie mam ochoty. Rozmyślnie pozostawałem na gruncie intelektualizmu; i tu zadania mieliśmy niełatwe, ale, bądź co bądź, możliwe do rozwiązania. Sprawa zaś oddziaływania moralnego przedstawia się tymczasem zagadkowo, i wciąż jeszcze nie mogę dojrzeć kierunku, w jakim moglibyśmy dotrzeć do wyjaśnienia tej sprawy. Naukoznawstwo psychologiczne, z czasem, postara się zapewne oświetlić i tę stronę przedmiotu; ale do tego jeszcze daleko. Jeślim więc pomiął wszelkie pytania, ze sprawą tą związane, to nie przeto, abym nie przypisywał im znaczenia, ale dlatego, że zdaję sobie sprawę z naszej wobec nich bezsilności.

Inaczej przedstawia się zagadnienie *użytecznego znaczenia świata antycznego*; punkt ten pominąłem dlatego, że przypisuję, mu znaczenie tylko drugorzędne. Wiem, że wielu zdania mego nie podzieli. Każdy, kto stawia pytanie w takiej formie: „Na cóż przyda mi się w życiu łacina lub greka?” rozumie przedewszystkiem i wyłącznie znaczenie ich użyteczne. I, oczywiście, znaczenie to posiadają: starczyłoby go, co najmniej, na cały jeden wykład; lecz dla nas czas jest drogi, stanowisko użyteczne musimy pominąć. Mimo to, aby nie posądzono mnie, że je lekceważę, postaram się pokrótce, nie wchodząc w szczegóły, sformułować najważniejsze tezy, z kwestją tą związane. A więc, naprzód, znajomość łaciny konieczna jest dla świadomego zgłębienia języka francuskiego i wogóle języków romańskich, których naukę ułatwia ona i zarazem ożywia. Po-wtóre, znajomość łaciny konieczna jest dla prawnika, z uwagi na tę doniosłą rolę, jaką prawo rzymskie grało i nadal gra w rozwoju prawa współczesnego, a także w uniwersyteckim wykładzie umiejętności prawniczych. Po-trzecie, znajomość obu języków starożytnych konieczna jest do zrozumienia tego słownikowego ich zasobu, który stał się częścią wszystkich nowych języków kulturalnych, zwłaszcza zaś do opanowania mianownictwa naukowego, które ułatwia ona i które czyni zrozumiałem; ta strona przedmiotu szczególnie posiada znaczenie dla medyków i przyrodników. Po-czwarte, znajomość obu języków starożytnych konieczna jest dla przyszłych historyków i filologów, którzy, z kolei, niezbędni są dla kraju. Nakoniec, z uwagi na warunki rozwoju kulturalnego, których poniekąd już dotknąłem, znajomość łaciny szczególnie niezbędna jest Polsce, która zaczerpnęła kulturę z Rzymu, jak znów znajomość greczyzny konieczna jest w Rosji, której kul-

tura rozwinęła się na podłożu kultury bizantyjskiej. Nieznający łaciny Polak, nieznający greckiego Rosjanin, jako uczeni samodzielni na polu historii lub literatury są wręcz nie do pomyslenia. Oto są argumenty utylitarne, przemawiające na rzecz wykształcenia klasycznego; dałoby się je rozwinąć, uzasadnić, zilustrować o wiele szczegółowiej; nie byłoby to rzeczą trudną, a wypadłoby w sposób nader przekonujący. Ale, naprzód, powtarzam, nie mamy na to czasu; po-wtóre, sprawę tę, właśnie dzięki jej łatwości, powierzyć można dowcipowi każdego; nakoniec po-trzecie, mieliśmy już sposobność przekonać się, że zasada utylitarna grać może w szkołach rolę jedynie pomocniczą, podrzędną.

A teraz porzućmy szkołę i jej zadania; jej wychowawcy, gimnazjaści oraz realiści, po opuszczeniu murów szkolnych, weszli w życie, obrali sobie specjalność, i teraz, wszyscy uzbrojeni swoją wiedzą, umiejętnością, doświadczeniem, stanowią ukształcone społeczeństwo. W łonie tego społeczeństwa, przy udziale wszystkich jego członków, odbywa się wymiana dóbr kulturalnych; rezultat wymiany tej stanowi *umysłowa, tudzież moralna kultura* społeczeństwa w danej epoce. Nastręcza się pytanie: czy świat antyczny stanowi kultury tej część składową, a skoro tak, to jakie posiada w niej znaczenie?

Mając na pytanie to odpowiedzieć, uważam za stosowne przypomnieć właściwą antytezę, drugą z tych trzech, jakie na początku wykładów swych sformułowałem. „Wobec świata antycznego, jako pierwiastka kultury nowoczesnej — powiedziałem wtenczas — ogół hołduje zdaniu, że gra on znikomą w niej rolę, gdyż zdatniawsza wyprzedziły go postępy myśli nowoczesnej; człowiek zaś kompetentny powie, że na polu kultury umysłowej i moralnej nigdy jeszcze nie staliśmy tak bli-

sko świata antycznego, nigdy tak bardzośmy go nie potrzebowali, ale też i nigdy nie byliśmy tak uzdatnieni do jego rozumienia i do korzystania zeń, jak właśnie teraz". Już wtenczas zauważyłem, że pierwsza z tych opinij jest wynikiem nieporozumienia; wyjaśnię teraz, na czem nieporozumienie to polega.

Ogół, przeważnie, nie potrafi wyobrazić sobie innego na kulturę współczesną wpływu starożytności, niż ten, który miałyby u podstaw uznanie świata starożytnego za *normę* dla doby obecnej. Poczem ten sam ogół stawia pytanie: w czem uwydatnić się może to właśnie znaczenie normatywne świata starożytnego dla kultury obecnej, i nie bez zasady odpowiada: w niczem. Istotnie, czyż religja antyczna, pogańska służyć może za normę i wzór dla naszej religji chrześcijańskiej? Nie, zapewne. Czy możemy państwa swe urządzać na wzór państw antycznych, jak republika ateńska lub imperjum rzymskie? Znowu, nie. Czy może nasza wiedza o przyrodzie i człowieku zyskać coś przez poznanie danych, nieznanych nam, lecz znanych światu starożytnemu? Nic, lub prawie nic. Czy powinniśmy naszą poezję, architekturę, malarstwo zamykać w ramach techniki antycznej tych trzech sztuk? Nie, nie i nie. A więc cóż stanowić może świat starożytny dla kultury współczesnej?

Bardzo wiele. Stanowisko normatywne *a priori* niesłuszne jest nietylko wobec świata starożytnego, ale i wobec czegokolwiekbądź. My wszyscy, pracujący na polu starożytności w poczuciu wagi swej pracy dla współczesników i potomnych — my wszyscy, jednogłośnie protestujemy przeciw stanowisku, narzucanemu nam... niekiedy przez sprzymierzeńców, których rozum nie odpowiada gorliwości, częściej zaś przez głupich lub złośliwych przeciwników. Nie, panowie; nie zamierzamy

cofać was ku temu, co było; wzrok nasz zwrócony jest przed siebie, nie zaś poza siebie. Jeśli dąb głęboko zapuszcza korzenie w rolę, na której rośnie, to nie przeto, aby zamierzał z powrotem wrastać w ziemię, ale dlatego, że w roli tej czerpie siłę, która daje mu możność dźwignania się w górę ku niebiosom, przerastając wszelkie, żyjące tylko powierzchnią krze i trawy. Świat starożytny powinien być nie normą, ale *siłą żywiącą* kultury wsółczesnej.

I z tego to stanowiska zrozumiałem staje się zdanie, że nigdy jeszcze umysł ludzki nie był tak przystosowany do rozumienia i brania w siebie świata starożytnego, jak właśnie teraz... Zdanie to, wprawdzie, wymaga uzupełnienia: „Nigdy jeszcze świat starożytny nie był tak przystosowany ku temu, aby być rozumianym i ogarnionym przez człowieka, jak właśnie teraz“ — lecz uzupełnienie to dotyczy nie samej starożytności, lecz nauki o niej, a naukę tę, wedle zapowiedzi naszej, zostawić mamy na sam koniec. Był czas, gdy ludzie nie znali dziejów swej ojczyzny i nie interesowali się niemi; „znajdziecie wszystko w historii starożytnej“ — powiedział jeszcze Mably, działacz epoki, poprzedzającej Rewolucję Francuską, — niema pogo badać dziejów nowożytnych, w których nic przecież, prócz głupoty i grubiaństwa, niema.“ Wtenczas, mianowicie, ludzie szukali w przeszłości norm dla terażniejszości. Ale oto ocknął się duch historyzmu; badanie dziejów ojczystych, wprawdzie, odwróciło nieco umysły od badania dziejów starożytnych, lecz zato te ostatnie wyposażyło w nową, nieznaną przedtem doniosłość. Okazało się, że dzieje kulturalne każdego z narodów nowożytnych były drobnym strumykiem dotąd, póki nie wlała się w nie szeroka rzeka świata starożytnego, przynosząca naówczas ze sobą

wszystkie te idee, któremi umysł nasz żyje po dzień dzisiejszy, włączając również chrześcijaństwo; w ten sposób, historycznie rozumując, wypada, że każdy z nas posiada dwie ojczyzny: jedna—to kraj, którego imieniem nazywamy siebie; druga—to starożytność. Aby w krótkiej ująć to formule, pozwólcie mi uciec się do nauki teologów greckich, którzy w jestestwie człowieka wyróżniali trzy części składowe — ciało, duszę i ducha (σῶμα, ψυχή, πνεῦμα),—i powiedziec: ojczyzną naszą wedle ciała i duszy jest Polska dla Polaków, Rosja dla Rosjan, Niemcy dla Niemców, Francja dla Francuzów; ojczyzną naszą wedle ducha jest świat antyczny dla nas wszystkich; to, co skupia i jednoczy narody europejskie, mimo ich różnic, nietylko narodowościowych, ale i plemiennych, jest to wspólne ich pochodzenie od świata antycznego. *Myślimy jednakowo*—dlatego rozumiemy się wzajemnie, gdy tymczasem ludy kultury nieeuropejskiej, bądź ucywilizowane, bądź nieucywilizowane, nie rozumieją się między sobą, i nie rozumieją nas.

Fakt ten dotarł już do świadomości ludów, acz bynajmniej nie w dostatecznej jeszcze mierze; im dalej, tem bardziej spoglądają one ku starożytności, jako ku swej ojczyźnie wspólnej. Italja i Grecja są to dla nas wszystkich święte niemal ziemie; kulturalne ludy Europy, każdy w miarę sił swych, ubiegają się o to, aby zyskać w nich ten lub ów skrawek ziemi, w celu podjęcia badań i kopań, i każde odkrycie, więcej lub mniej ważne, w dziedzinie literatur starożytnych tudzież sztuki, zwraca uwagę całego świata cywilizowanego, gdy tymczasem odkrycia podobne w obrębie sztuk i literatur nowych rzadko kiedy poruszają umysły poza granicami państw, których bezpośrednio dotyczą. Tak, wspólna ojczyzna starożytna — jest to podstawa jedności cywilizacji euro-

pejskiej; dlatego to—i na odwrót—siły dośrodkowe w łonie ludzkości europejskiej wprost lub ubocznie wzmagają zainteresowanie się światem starożytnym. Ten stan rzeczy ważny jest dla stosunku wobec świata antycznego obu partyj, na które rozłamuje się społeczeństwo w państwach kultury europejskiej, nacjonalistów oraz „europeistów“. Jeśli nacjonalista przybiera wobec starożytności postawę ujemną, to jest to zwykła ignorancja: nie wie on lub zapomina, że starożytność zdawien-dawna stanowi część składową jego kultury ojczystej, że zatem, odrzucając starożytność, skazuje siebie na nieznanomość tego, coby pragnął poznać. Lecz jeśli czyni to samo „europeista“, to jest to już ignorancja podwójna: podcina on, rzecz można, wręcz tę gałąź, na której siedzi.

Rozwój dziejów kulturalnych narodów współczesnych wyświetlił nam tę rolę ogromną, jaką ojczyzna antyczna odegrała w powstawaniu ich umysłowego, duchowego jestestwa; czy wszystko już przez to powiedziano? Nie, nie wszystko. Wszak przeciw temu możnaby stawiać bardzo prosty zarzut: a na cóż nam wogóle przeszłość zdać się może? żyjmy teraźniejszością! Tak, zapewne, lecz tu z pomocą przychodzą historii nauki przyrodnicze, przychodzi biologja, obalając lekkomyślną mądrość: „Co było, tego niema“. Nie, panowie,—co było, to jest; nie możemy uwolnić się od przeszłości, gdyż przeszłość nasza w nas żyje, tak samo, jak w dębie stuletnim żyje jego przeszłość, poczynając od owego czasu, gdy był on rocznym dopiero dębczakiem. Co stosuje się do osobników, to tem bardziej stosuje się do społeczeństwa i do narodu. Przeszłość swoją obowiązani jesteśmy badać dlatego, aby poznać samych siebie, albowiem my sami jesteśmy wytworem tej przeszłości. Znać zaś samych siebie obowiązani jesteśmy dlatego, aby rządzić

rozumnie swym losem, nie zaś żyć na ślepo, jak żyje nieme bydłę. Tej umiejętności szkoła nie uczy, wyrabia się ona w ciągu całego życia, jako rezultat owej wymiany dóbr kulturalnych, o której mowa była wyżej.

Przejdźmy, jednakże ku szczegółom—ku tym pierwiastkom kultury, jakie przekazała nam starożytność, i którymi posługujemy się, jako sokami żywiącemi naszej własnej kultury. Miejsce naczelne zajmuje, oczywiście, *religja*.

Starożytność atoli przekazała nam nie jedną religję, ale dwie: chrześcijańską i pogańską (w ściślejszem sensie — antyczną). Niepodobna, w istocie, oddzielać chrześcijaństwa od świata antycznego; po-pierwsze (acz to nie jest najważniejsze) dlatego, że język grecki jest jednocześnie językiem najstarszej literatury chrześcijańskiej, język zaś, jak widzieliśmy, jest to spowiedź narodu. Tak, chrześcijaństwo w tej postaci, w jakiej myśmy je otrzymali, wyhodował naród grecki; nosi ono dotychczas jego niezatartą na sobie pieczęć. Zrozumieć chrześcijaństwo możemy jedynie w drodze zgłębiania jego pomników greckich; weźmy, chociażby, tak słynną śród nas naukę o niesprzeciwianiu się złu. Czy, istotnie, uczył Zbawiciel nie sprzeciwiać się *złu*... czy tylko nie sprzeciwiać się *złemu*? Nie mojem jest zadaniem spór ten rozstrzygać; zwracam atoli uwagę na to, że, aby móc go rozstrzygnąć, należy brać za podstawę nie przekład taki lub inny, ale, rozumie się, oryginał grecki, — ten zaś, rzeczywiście, jest do pewnego stopnia dwuznaczny: w zdaniu μη ἀντιστήναι τῷ πονηρῷ wyraz ostatni może oznaczać i „złu“ i „złemu.“ Widać stąd, czem dla światłego chrześcijanina jest język grecki; lecz dość o tem, temat nasz jest inny. Włączyłem chrześcijaństwo do świata antycznego, naprzód, na tej zasadzie, że język

grecki był językiem rodzimym pierwotnego chrześcijaństwa; głównie zaś dlatego, że związane jest ono ze światem antycznym wspólnością rozwoju i nastroju. Chrześcijaństwo było, zapewne, wypełnieniem zakonu żydowskiego i staro-testamentowych prorocत्व; ale w tym samym, conajmniej, stopniu było ono wypełnieniem wiekowych dążeń i nadziei ludów starożytnych. Tego dawniej nie wiedzano i poczytywano, przeto, tę drugą religję, w ścisłym znaczeniu antyczną, za zbędną i nawet szkodliwą dla nas; teraz atoli jest to sprawa dostatecznie znana i wyświeblona. Dziś chylimy czoła przed szczytnymi koncepcjami owej pogańskiej religji antycznej; z uwielbieniem, zaiste, czytamy Ajschylosową modlitwę do Zeusa, w której Bogu swemu, „kimby kolwiek był“ czyni dzięki za to, że „skierował człowieka na drogę świadomości, siłę dając słowu *ucz się cierpieniem!* I oto nocą, zamiast snu, pamiętliwa troska częstą kroplą żłobi nasze serce, i wbrew woli uczymy się żyć cnotliwie. Taka jest łaska (χάρις), dana człowiekowi od Boga, władnie zasiadającego u świętego steru wszechświata!“

Religję antyczną odróżniam, jak widać, od *mitologii* antycznej, z którą ją dawniej utożsamiano; niektóre mity, niewątpliwie, bywają także przedstawicielami prądów religijnych, ale wobec ich większości, dla nas, jak i dla starożytnych, możliwy jest tylko stosunek estetyczny lub etyczny. Cóż powiedzieć o niej, o tej *mitologii* antycznej, a właściwie greckiej? Pragnąłbym władać wierszem poety, aby żywo i wiernie odtworzyć ów świat tajemny starożytności, ów szelest wiecznie zielonego dębu baśni greckiej, rosnącego w najstarszym uroczysku Hellenów, w burzliwej Dodonie; jakichże bo tam niema obrazów! Tam rozgniewany Achilles z zamierającym sercem pa-

trzy, jak płoną okręty jego narodu, aby odkupić zadana mu zniewagę; tam królewski starzec Priam, błagając o wydanie zwłok syna, całuje kornie dłoń jego zabójcy; tam doświadczony od losu tułacz Odysseusz, wabiony wdziękami bogini, tęskni za swą daleką ojczyzną; tam mężny Jazon wzywa bohaterów na cudowną wyprawę do złotej Kolchidy; tam wierny Orfeusz zstępuje w przybytek śmierci, aby wybłagać u królowej zmarłych swoją Eurydykę; tam dumna męczennica Antygona ceną życia okupuje prawo dopełnienia świętego obowiązku miłości wobec umarłego brata; tam słodka Ifigenja dobrowolnie idzie na śmierć dla sławy swego ojca; tam zazdrosna Medea w szale zemsty zabija swe dzieci; tam skamieniała postać ubłogosławionej ongi Niobe strumieniami łez płacze nad szczęścia swego ruiną. Obrazy te nie umierały nigdy; czarowały one największych ludzi świata starożytnego, póki żył świat starożytny; po jego śmierci zaś przeszły do wieków średnich, aby rozpocząć tam życie nowe, poczęści pod temi samemi, po części pod innemi imionami. Wenus-krasawica nęci rycerzy ku swej grocie tajemniczej; zuchwały żeglarz Odyssej płynie przez ocean, dopóki okręt jego nie rozbije się o stromą skałę czyścica; czarodziejka Cyrce, zwana Armidą, zatrzymuje krzyżowców, dążących na świętą wyprawę; Helena witezioń greckich zamieniła na bohatera myśli Fausta. Coraz wyżej splata się wian poezji nad głowami bohaterów baśni greckiej; każda epoka nowych czasów dorzucała doń kwiatów. Achilles i Edyp, Antygona i Medea — nie są to już greckie tylko postacie: usynowiła je miłość całej ludzkości.

I takimi przeszły one do nas: teraz są nasze, stanowiąc najpiękniejszą i puściznę naszej ojczyzny duchowej. My zaś, spokrewniając je z duszą własną, znajdu-

jemy w tem i rozkosz i naukę zarazem: przeszedłszy skroś oczyszczający ogień stuleci, postacie te utraciły ów pierwiastek przypadkowy i warunkowy, rzekłbym — ziemski, który miały ongi; teraz — są to czyste uosobienia idei, nieocenione wprost dla poety i myśliciela. I nietylko dla nich; powiedziałem już, że, skojarzywszy się z utworami czasów nowożytnych, postacie te żyją w dalszym ciągu wśród nas pod cudzemi imionami. Nieszczęsny Orestes, ciężarem krwawej pomsty zmiażdżony, żyje po dzień dzisiejszy na scenie naszej pod imieniem xięcia duńskiego Hamleta; lecz jest to tylko część najdrobniejsza. Ileż wzniosłych bohaterek zawdzięcza życie swe Antygonie, ileż posępnych zazdrośnic zawdzięcza je Medeii! Twórcy ich częstokroć nie zdają sobie z tego sprawy: zdaje się im, że idą za głosem własnej duszy; nieświadomi są tego, że głos ten jest niemilkającym szelestem wiecznie zielonego dębu baśni greckiej, rosnącego w gaju Zeusa pelagijskiego, w burzliwej Dodonie...

Mitologia prowadzi nas w sposób naturalny od religii ku *literaturze* świata starożytnego, stanowiąc treść pokaźnej części jej pomników poetyckich; ale literatura antyczna posiada dla nas znaczenie nietylko z uwagi na swą treść, ale i z uwagi na swą formę, a głównie, z uwagi na ducha, który ją przenika. Co do formy, proszę przypomnieć sobie, że świat starożytny stworzył wszelkie typy literackie, jakimi żyje nasze piśmiennictwo, stworzył je istotnie, gdyż przedtem one nie istniały, i — przy tem stworzył je nie odrazu, ale stopniowo, w drodze rozwoju organicznego.

I tutaj miałbym ochotę spytać każdego, ktokolwiek interesuje się literaturą, a dziś interesuje się nią każdy, — jakich doznaje uczuć w obliczu owych typów literackich, niewiadomo przez kogo przekazanych, z którymi spo-

tyka się w życiu? Dlaczego mamy do czynienia właśnie z temi, z ową tragedją, komedją, powieścią, opowiadaniem, liryką, epigramatem i t. d., nie zaś z innemi? Dlaczego dla pewnych rodzajów literackich obowiązkowe bywają rymy i rytmy, dla innych—tylko rytm, dla jeszcze innych ani rymy, ani rytm? Jakich, pytam, uczuć doznaje człowiek, interesujący się literaturą w obliczu tych faktów? — Otóż, większość, gdyby chciała dać odpowiedź szczerą, odpowiedziałaby, ponoć: absolutnie, żadnych. Istotnie, kto żyje tylko współczesnością, ten szybko odwyka od myślenia:—wszak myśleć, znaczy to wiązać skutek z przyczyną, przyczyna zaś współczesności tkwi w czasach minionych. Weźmy atoli człowieka dociekliwego: człowiek taki, niewątpliwie, poszukując wyjaśnienia przyczyny, zwróci się do nauki o literaturze, do teorii piśmiennictwa — i rychło dozna rozczarowania. Teoria piśmiennictwa, jako nauka, jest sprawą przyszłości; tymczasem więcej zajmuje się ona klasyfikowaniem oraz ilustrowaniem, niż wyjaśnianiem. Nie, dla człowieka myślącego jest dzisiaj tylko jedna droga: na pytanie co do znaczenia rodzajów literackich, odpowiada jeno historia ich powstania, t. j. literatura antyczna.

Tu na własne oczy oglądamy, jak z pierwotnej komórki liryczno-epickiej rozwija się przedewszystkiem poezja epicka; wobec braku pisma, jedynym miejscem przechowywania tego, co należało wiedzieć, była pamięć, pamięć zaś należało wesprzeć rytmem i melodją. A więc epos począł ogarniać sobą wszystko, co należało wiedzieć; czyny bogów i przodków, proroctwa, prawa, przepisy życiowe, przepisy robót; stąd podział jego na gałąź heroiczną i dydaktyczną. — Rozwój muzyki spowodował skomplikowanie rytmów: z eposu rozwija się

liryka w swych rozmaitych odmianach, jako to: elegja, ballada, pieśń, oda; im dalej, tem bardziej rozszerza ona swój widnokrąg; pochłania wreszcie epos i wraz z nim wytwarza dramat—tragedję i komedję. Tymczasem jednak coraz szerzej upowszechniało się pismo; zakiełkowała proza; proza jąta współzawodniczyć z poezją, jako zbiornik tego, co wiedzieć należało; mimo to, jednak, utrzymuje się poczucie, że poezja ma takie zalety, których proza nie posiada,—jej rytm odpowiada podnieconemu stanowi duszy bardziej, niżli gładki tok prozy: pozostaje ona nadal wyrazicielką namiętnych emocjonalnych żywiołów jestestwa ludzkiego, pozostawiając prozie żywioł intelektualny. Epos zamiera; zastępuje go proza historyczna i filozoficzna. Życie zaś wciąż rozwija się i płynie, namiętności kipią na zgromadzeniach ludowych, kipią w sądach; powstaje szczególny rodzaj prozy, dającej wyraz namiętności—wymowa. Pierwiastek namiętności zbliża wymowę i poezję; wymowa nabiera pewnego jakby rytmu, zwanego rytmem prozaicznym, kładzie nacisk na równomierny podział części okresu, i niekiedy, dążąc do osiągnięcia większej siły wrażenia, podkreśla podział ów rytmem. Z chwilą powzięcia w siebie owego pierwiastku lirycznego proza retoryczna zaczyna zagłąda grozić poezji; zagłada owa ulega zwłóce dzięki temu umiłowaniu przeszłości, która ogarnęła Greków po utracie niepodległości politycznej. Rodzi się poezja romantyczna, tak zwanego, okresu alexandryjskiego; poezja ta wskrzesza dawne typy poetyckie i dodaje do nich nowy, prawdziwy nastroju romantycznego wykładnik—idyllę. W tym czasie literatura przenosi się do Rzymu; prowadzi to także do wskrzeszania typów poetyckich, lecz już w języku łacińskim, i do stworzenia rodzaju nowego, naturalnego produktu starcia kultury napływowej z grubijaństwem

tubylczem, satyry rzymskiej. Jednakowoż, zwycięstwo prozy nad poezją ulega dzięki temu jedynie odroczeniu; czując się po temu na siłach, wtargnęła ona ze świata rzeczywistości w królestwo fantazji, w którym dotąd panowała poezja; powstaje do życia powieść, powstaje nowela — owe najmłodsze dzieci literatury antycznej. Do tryumfu prozy przyczynia się i ta okoliczność, że pierwiastek iloczasu, znamieny dla języków starożytnych, na którym wspierała się cała metryka antyczna, w okresie po N. Chr., jał się zatracać; gdy przeto dała się odczuć potrzeba nowej poezji, co zaszło pod wpływem, między innymi, także chrześcijaństwa, formę jej zapożyczono po części tylko z poezji starodawnej, głównie zaś z prozy rytmicznej; charakterystyczna tej ostatniej właściwość — równomierny podział okresów, podkreślany rymem — stała się właściwością charakterystyczną również poezji nowożytnej. Tak powstała do życia późna poezja antyczna, która przetrwała całe średniowiecze: *stabat mater dolorosa iuxta crucem lacrimosa*, i wszystko inne. A tymczasem, jest to ta właśnie forma poetycka, która podbiła wszystkie ludy kultury europejskiej, wszędzie wypierając grube i do życia niezdolne formy tubylcze; my wszyscy — ludy nowej Europy — żyjemy tą puścizną, nie wyłączając też naszej poezji ludowej. Robiono wprawdzie próby zastąpienia tej formy antycznej przez formy inne, zapożyczone z poezji innych ludów nieantycznych — indyjskiej, arabskiej — lecz próby te nie miały powodzenia. Niedosć na tem: sąsiadom naszym, Niemcom, nie powiodło się nawet do życia przywrócić swej odwiecznej formy poetyckiej — tak zwanego „Stabreim“. Odtwarzano go niekiedy dość pomyślnie, najpomyślniej czynił to Wagner w słynnej swej trylogji — *Helle Wehr, Heilige Waffe, Hilf meinem ewigen Eide!* — lecz widno-

kres jego, mimo to, pozostał bardzo ciasny. Poza sagą niemiecką jest on niemożliwy; ani „Faust“, ani „Jungfrau von Orleans“ nie mogły być wierszem tym napisane.

W zakresie tedy form i typów literackich żyjemy po dzień dzisiejszy światem starożytnym; czasy nowe poniekąd je uprościły, poniekąd zaś urozmaiciły, ale nie dodały do nich nic zasadniczo nowego. Wszelako, mówiłem także o *duchu* literatury antycznej, wy zaś, panowie, zapewne, sami już domyślacie się, że duch ten zawiera w sobie najcenniejsze starożytności dziedzictwo. Tak, niezawodnie; lecz tu, bardziej, niż gdziekolwiek indziej, muszę być zwięzły, choćby narażając się na pominięcie niejednej poważnej strony swego tematu. Poprzestaną na dwóch: na duchu historii antycznej i duchu filozofji antycznej,—patrzając, rzecz prosta, na jedną i na drugą, jako na rodzaje literackie.

Historję spotykamy nie tylko u ludów antycznych; posiadały ją również ludy wschodnie, posiadali ją Hebrajczycy. Ale u ludów orientalnych miała ona swój cel szczególny: uświetnienie czynów monarszych, zwycięstw, budowli królów i t. d.; o klęskach, o sromocie królów nie pisano. Inne wysnuł stanowisko Izrael: jego historia świadczyła mu o ustawicznej opiece Boga Sabaoth, który wybrany przez się naród nagradzał za posłuch dla swego prawa, karał zaś za krnąbrność; historjografja żydowska miała przeto za zadanie uwydatniać, gdzie tylko było można, ów palec boży. Dopiero u Greków starożytnych, po raz pierwszy, znajdujemy pojęcie, które, aczkolwiek proste, samo przez się, wydałoby się niedorzecznością ludom wschodu, z Izraelem włącznie: pojęcie *prawdy historycznej*. W jakim celu pisze historję swoją Herodot? „W tym celu, aby nie zaginęła, z bie-

giem czasu, pamięć o czynach ludzkich, i ażeby sprawy wielkie i zdumiewające, dokonane zarówno przez Hellenów, jak i przez barbarzyńców nie utraciły swej sławy.“ Zauważcie: zarówno przez Hellenów, jak i przez barbarzyńców. Historyk stoi ponad narodowościami; uwagę jego zaprzęta czyn wielki, jako taki; czyn ten żąda odeń nagrody i otrzymuje ją, niezależnie od imienia tego, który czynu tego dokonał. Nie wszystko, rzecz prosta, bywa u Herodota wiarogodne; dobrotliwie odtwarza on legendę, ale bez żadnej złej intencji: cóż począć, w jego epoce krytyka historyczna była jeszcze w kolebce. Krytyka historyczna... tutaj dotknęliśmy drugiej strony przedmiotu. W wykładzie zeszłym, mówiąc o poczuciu prawdy, wskazałem na to, że zawiera ono w sobie nie jedno, lecz dwa żądania — pierwsze: „Niech słowa twe odpowiadają twemu sądowi“, t. j. „nie kłam“; drugie: „Niech sąd twój odpowiada rzeczywistości,“ t. j. „nie popełniaj błędów.“ Pierwszemu z żądań tych uczynił zadość Herodot; zadość uczynić drugiemu miał następca jego Thucydides. Ten nie poprzestaje już na szczerem odtwarzaniu tego, co słyszał; stara się on wszelkimi sposobami sprawdzić to, co słyszał; porównywa zeznania Ateńczyków ze świadectwami Sparty, Koryncjan i t. d., ażeby na tej drodze dotrzeć do prawdy historycznej. Taki jest stosunek jego wobec ustalania faktów; lecz to, względnie, łatwym jest zadaniem; historyk wszakże jest nietylko sprawozdawcą, ale i sędzią. Jakże tedy wymierza Thucydides sprawiedliwość dziejową? Tak, jak tylko życzyć sobie tego możemy: gdy stają przed nim dwa przeciwległe i nieprzejednane stanowiska, rozwija on konsekwentnie i jedno i drugie w postaci rozpraw między przedstawicielami obojga stron. Mowy spotykamy już u Herodota, lecz tam były one tylko miłym urozmaice-

niem narracji, — u Thucydidesa, natomiast, służą one głównemu celowi jego pracy, uwydatnieniu prawdy historycznej. Nie wszyscy, zapewne, poszli za jego przykładem, w wieku IV trafiają się próby podporządkowania prawdy historycznej patryotyzmowi, następnie zaś dążeniu do zainteresowania czytelnika; wszelako na polu historjografji poważnej autorytet jego pozostał niewzruszony. W wieku II historyk Polibjusz wygłasza słowa znamienne, które w praktyce stara się urzeczywistnić: „Prawda jest okiem historii“ (I, 14). W wieku I przed Nar. Chr. Cycero trafnie formułuje główne postulaty historii w słowach następujących: „*Ne quid falsi audeat, ne quid veri non audeat historia*“, — w słowach, które dziś jeszcze ozdabiają, jako *motto*, kartę tytułową najpoważniejszego czasopisma historycznego, francuskiej *Revue historique*. W wiekach I—II po N. Chr. Tacyt wypowiada to samo mniej-więcej żądanie w swem słynnem *sine ira et studio*.

Taki jest duch historjografji antycznej. Czyliż godzi się oskarżać ją teraz o to, że pod tym lub owym względem wydaje się nam zacofaną, że zbyt wiele użycza pola polityce zewnętrznej, zbyt mało zaprzęta się sprawami natury gospodarczej i społecznej? Zasady te byłyby na miejscu, gdybyśmy, my, filolodzy, zalecali historjografję antyczną, jako normę dla współczesnej; lecz raz już protestowałem przeciwko tego rodzaju insynuacji, i protestuję przeciwko niej i teraz. Nie; świat antyczny powinien być dla nas nie normą, lecz nasieniem; powinniśmy wchłonąć je w siebie, to nasienie szczerości historycznej, aby wyrosło zeń drzewo szczerzej historjografji współczesnej. Z tego stanowiska, największy nawet z historyków nowoczesnych, Ranke, nazywał sam siebie uczniem Thucydidesa.

Sądzę, że nigdy jeszcze nie potrzebowaliśmy tego ziarna nasiennego tak bardzo, jak właśnie teraz. Właśnie teraz prawdziwie historycznej, temu oku historii, jak zowie ją Polibjusz, grozi największe niebezpieczeństwo ze strony jej dwóch odwiecznych wrogów: nacjonalizmu oraz partyjności; co to zaś znaczy, nietrudno pojąć. Nie wiem, czy wiadomo wam, panowie, co pewni pisarze rozumieją przez moralność hotentocką? Termin ten ma źródło swe w anegdocie, niezbyt, zapewne, wiarogodnej,—jakoby pewien Hotentot, na pytanie misjonarza, co jest dobro, a co zło, odpowiedział: „Jeśli sąsiad zabierze mi żonę, to jest to złe, jeśli zaś ja zabiorę sąsiadowi żonę, to jest to dobre“. Teraz zrozumiecie, że owa zasada hotentocka miewa zastosowanie nietylko w stosunkach prywatnych,—tam nie jest ona groźna, tam możemy z niej śmiać się — o wiele niebezpieczniejsza bywa ona w dziedzinie interesów narodowych i partyjnych. Gdy, dajmy nato, Hiszpan żarliwie wstawia się za uciskanymi w Portugalji Hiszpanami, ale oburza się na takież wstawiennictwo Portugalji za krzywdzonymi w Hiszpanji Portugalczykami; gdy tenże Hiszpan, będąc republikaninem, gorąco pochwała rząd za to, że zabronił demonstracji karlistowskiej, nazajutrz zaś gani ten rząd, iż nie dopuścił do demonstracji republikańskiej — to wyobraża on sobie, że w obu wypadkach rozumuje zupełnie zdrowo i konsekwentnie. Mnie zaś wydaje się, że w pierwszym wypadku popełnia on hotentotyzm narodowościowy, w drugim zaś — hotentotyzm partyjny.

A jednak powiem: dopóki hotentotyzm ów panuje wśród ludzi dorosłych w ich sporach narodowościowych i partyjnych, jest to jeszcze pół biedy: powiadają, że inaczej być nie może,—nie będę się o to sprzeczał. Ale

przecież nasi Hiszpanie na tem nie poprzestają; żądają, aby cała historia, o ile piszą ją Hiszpanie i dla Hiszpanów, nosiła charakter odpowiedni, iżby widać było, że pisał ją Hiszpan, nie zaś Portugalczyk. Ze smutkiem wspominam słowa, któremi Thucydides zagaja swoją pracę: „Thucydides Ateńczyk napisał tę historję wojny Peloponezjan z Ateńczykami”—i dobrze, że to oznajmia, bo bez tych słów, z charakteru i tendencji dzieła, niktby nie odgadł, kto je napisał: Ateńczyk, Spartanin, czy Koryncjanin? Ale cóż możemy wskórać: aby utrzymać swój charakter hiszpański, wypadnie snadź historii przymknąć swe „oko“ na całej przestrzeni czasów nowych; pocieszajmy się tem, że prawda znajdzie przytułek dla się, przynajmniej, w historii starożytnej, gdyż historii starożytnej ze stanowiska hiszpańskiego napisać niepodobna. I rzeczywiście, jest tu powód do pociechy. Nie podpiszę się nigdy pod, przytoczonym wyżej, zdaniem Mablego co do historii starożytnej; nie ulega wszakże wątpliwości, że w czasach obecnych zgłębianie historii starożytnej ma osobliwe znaczenie moralne. Tu sądy wydajemy nie na mocy powziętych z góry uprzedzeń lub sympatyj; dla dobrych ludzi i dla dobrych czynów mamy uznanie; dla złych mamy oburzenie; nie patrzymy na to, do jakiej należy narodowości ten, o kim mówimy. Tutaj hotentotyzm nie ma gruntu dla siebie: wnikając w dzieje starożytne, uczymy się bezstronności. Ale to właśnie jest nie na rękę naszym Hiszpanom; żądają oni usunięcia historii starożytnej ze szkoły, albo przynajmniej, skrócenia jej na rzecz historii nowożytnej, zwłaszcza hiszpańskiej. O Hiszpanach, zresztą, jak musieliście już, panowie, zauważyć, mówię dlatego tylko, że mieszkają oni daleko, nigdy nie dowiedzą się, że mówiłem o nich, i przeto się nie obrażą, ja zaś tak wielu już w wykła-

dach poprzednich „poobraząłem,“ że nie chciałbym liczby ich powiększać. Nie, wracajmy do domu. Czego bo nie wymaga się od szkolnego nauczania historii! Powinna szczepić uczucie... to, tamto i jeszcze inne. Obawiam się wszakże, iż ze wszystkich tego rodzaju szczepionek nic owocnego nie wyrośnie, „oko“ zaś historii ulegnie przytem zupełnemu kalectwu. Nie; gdyby rzecz zależała ode mnie, to, jako człowiek, który wyrósł na gruncie antycznym, rzekłbym skromnie, ale stanowczo: „Nauczanie historii powinno szczepić ducha szczerości oraz rzetelności“ — i basta.

WYKŁAD VI.

Ostatni wykład zakończyłem rozbiorem i charakterystyką tego, co nazwałem duchem historjografji antycznej. Przechodzę teraz do analizy ducha *filozofji* antycznej, uprzedzając was, jednak, i tutaj, że tymczasowo rozważać ją będziemy, nie jako taką, ale jedynie, jako rodzaj literacki, równoległe z historjografją.

Przypuśćmy na chwilę, że cała treść filozofji Platona nietylko jest błędna, ale i niedorzeczna, że nie ma dla nas żadnej wartości: czyż wolno będzie złożyć jego djalogi *ad acta*? Nie; wartość djalogów tych, jako utworów literackich, niezależna jest od tego, co stanowi o ich wartości filozoficznej. To, co w nich najbardziej uderza każdego, jako tako myślącego czytelnika, nie są to bynajmniej ich wnioski, ale metoda, dzięki której do wniosków tych się dochodzi. Porównajmy, dla jasności, i tutaj grecką literaturę filozoficzną z tem, co jest odpowiednikiem jej u narodów, nietkniętych cywilizacją grecką, u Hindusów, u narodów tak zwanego wschodu klasycznego, u Hebrajczyków. I tam spotkać możemy głębokomyślnie zasady: nikt nie ma prawa patrzeć z góry na naukę Buddy lub proroków starego Zakonu. Wszelako

u Greków spotykamy coś, co oni wprowadzili pierwsi w pracę naszej myśli, a mianowicie, wszędy przenikające przekonanie, że każde twierdzenie nasze o tyle bywa słuszne, o ile bywa *uzasadnione*. Niedość na tem: istnieje założenie, że owa zasadność lub bezzasadność jest rzeczą jedyną, z jaką liczyć się powinien myśliciel, i że owa zasadność, skoro istnieje, osłaniać powinna myśliciela od wszelkich antypatyj ogółu. „Jakto? twierdzisz to i to?”—oponuje Sokratesowi partner, oburzony jego wywodami.—O, nie,—odpowiada Sokrates,—to twierdzą nie ja, ale Logos, którego jestem narzędziem. Podoba ci się to, co Logos uzasadnia mojami ustami — tem lepiej; nie podoba ci się — nie miej żalu do mnie, ale do Logosa, albo raczej — do samego siebie.

Tego rodzaju atoli stosunek wobec sprawy prowadzi w skutku do postulatu, aby człowiek był istotą, *dającą się przekonać*. Logos stawia przed nami poważne, nieraz ciężkie warunki. *Obowiązany jesteś uznać tezę najbardziej dla się przykrą, skoro jest udowodniona; obowiązany jesteś wyrzec się przekonania, najdroższego dla siebie, skoro jest obalone*. — Oto kodex honoru myśliciela. Jeśli nie zechcesz, będziesz baranem wśród stada, niewolnikiem pod władzą pana, nie zaś wolnym obywatelem rzeczypospolitej ducha. A przeto — obalaj, udowadniaj, ale daj pokój skargom, obmowom, hazardom. I pilnie zważaj na swe dowody oraz zarzuty, ażeby istotnie posiadały one moc przekonywającą: częstokroć sympatje i antypatje paczą nasze sądy, skłaniając nas do uznawania za dostateczne dowodów najmniej przekonywających—tego być nie powinno. Argument niedowodowy, podszeptany sympatją, w sporze naukowym, jest to samo, co cios nielegalny w pojedynku: kto się do nich ucieka, ten narusza kodex honorowy.

Tak, zdolność ulegania argumentom jest owem ziarnem, które zawiera w sobie filozofja antyczna, i tylko ona; ziarno to wzejść powinno w każdym z nas, jeżeli chcemy zdobyć się na postawę świadomą wobec zjawiska życia, jeśli, pragniemy wyjść z mroku przesądów. Niestety, rola dla ziarna owego nie jest w człowieku współczesnym uprawiona. Wszyscy my, mocą dziedziczności, jesteśmy, mniej lub więcej, woluntarystami; intelektualizm jest cienką zaledwie warstwą napływową czarnoziemiu na pokładach naszego umysłu. Można nas nastrajać tak, można nastrajać nas inaczej; w żywiołowy sposób działa na nas środowisko i warunki naszego życia, a przecież wszystko to stanowi proste przeciwieństwo tej właściwości intelektualnej, która jest zdolnością ważenia dowodów i ulegania temu, który waży więcej.

I teraz, gdy mówię z wami, panowie, o tej zdolności, obawiam się nadewszystko, abyście słów mych nie przetłumaczyli na język woluntarystyczny i zdolności do ulegania argumentom nie pomieszali z tem, co nazwałbym zdolnością ulegania nastrojom, tą niezawodną poszlaką słabości moralnej i umysłowej. Nie o to chodzi, aby człowiek zdolen był zmieniać przekonania; jest to zjawiskiem tak pospolitem, że nie warto o niem wspominać. Ludzie ustawicznie, przechodząc z jednego środowiska w drugie, przekonania swe zmieniają—nie nagle, oczywiście, ale stopniowo; dotyczy to zwłaszcza przekonań politycznych. Metamorfozy tego rodzaju odbywają się z regularnością, która przypomina metamorfozy owadów; codzień prawie bywamy świadkami, jak z najradykałniejszych poczwarek wylęgają się wspaniałe motyle wstecznictwa. Mam nadzieję, że nie zostanę posądzony o to, iż w postaci nadmienionej wyżej właściwości zalecam tego rodzaju metamorfozę; wręcz przeciw-

nie, metamorfoza taka jest oczywistym wrogiem tamtej starodawnej cnoty greckiej. Wszelako, nie jest to wróg jedyny; wrogiem drugim jest to, co w języku woluntarystycznym przyjęto nazywać statecznością przekonań, gdy tymczasem w naszym języku intelektualistycznym przymiot ów nazywa się bezwładem i ślepotą umysłową. Z naszego stanowiska, na jednakowe zasługuje potępienie zarówno ten, kto własnych wyrzeka się przekonań, nie mając logicznych po temu uzasadnień, jak i ten, kto mając te uzasadnienia, przekonań swych nie odrzuca; obaj ludzie tacy są wrogami i przeniwiercami w obliczu *Logosa*, owego „słowa-rozumu“, które, wedle głębokiego powiedzenia czwartego ewangelisty, istniało na samym początku bytu — po raz pierwszy zaś objawiło się w filozofii antycznej.

Wybaczcie, że tak wielki kładę nacisk na te rzeczy; dzisiaj są one nam bliższe, niż kiedykolwiek. W tej oto chwili, nad naszymi głowami, nademną, prelegentem, i nad wami, którzy mnie słuchacie, krąży *Logos*; to, co mówię do was, dąży nie ku temu, aby was tak lub inaczej nastroić, ale ku temu, aby was przekonać. Że jest to zadanie trudne, że wykłady moje wiele wywołają krytyk i niezadowolenia — o tem wiedziałem sam i uprzedzałem was z góry: trudna to rzecz przekonywać i obalać stare przekonania tam, gdzie mamy przed sobą całemi latami nagromadzony stos przesądów, przekazanych przez środowisko i omal że nieutrwalonych dziedziennie. Sądzę wszelako, że, jeśli mnie zależy na tem, aby wam oznajmić prawdę, do której doszedłem, to wam niemniej zależeć powinno, aby ją powziąć w siebie, o ile jest to... prawda. Aby zaś o tem się przekonać, istnieje środek tylko jeden — ów kodex honoru myśliciela, o którym mówiłem przed chwilą: „Obowiązany jesteś uznać

tezę najbardziej dla się przykrą, skoro jest udowodniona; obowiązyany jesteś wyrzec się przekonania, najdroższego dla siebie, skoro jest obalone“. Tymczasem czytelnik i słuchacz współczesny w liczbie innych cech, któremi różni się od antycznego, odznacza się cechą następującą: gdy mu coś udowadniają, puszcza on tok rozumowań mimo uszu lub oczu i skupia całą uwagę na wyniku; gdy wynik ten podoba mu się, przyznaje słuszność autorowi, choćby samo dowodzenie oparte było na najdziwniejszym sylogizmie; gdy wynik mu się nie podoba, wówczas autor jest zgubiony. Przeciw takiemu traktowaniu sprawy pragnąłbym was jak najskuteczniej uzbroić, dopóki jeszcze czas, dopóki jeszcze stoję przed wami.

Tak, raz jeszcze powtarzam: uległość wobec argumentów zasadnych, owa rękojmia wolności umysłowej i postępu umysłowego—to najcenniejsza puścizna filozofji antycznej, jako tworu literackiego. Odpowiadającą jej formą jest dialóg; oto przyczyna, dla której Platon dzieła swe napisał w formie dialogów, przyczem przekonywanie i obalanie przekonań odbywa się w naszych oczach.

Rozumie się, rzecz prosta, że z musu pomijam wiele stron wartościowych świata antycznego, literatury antycznej, filozoficznej literatury antycznej; przedstawić wam mogę jedynie przykłady, przy wyborze zaś przykładów nieunikniony bywa pewnego rodzaju subiektywizm. Mówię o tem, co sam uważam za rzeczy najbardziej wartościowe z tego, czego mnie nauczyła starożytność: kto inny, być może, uwzględniłby inne strony, bliższe jego sercu, i miałby taką samą słuszność. Teraz, nim z literaturą antyczną się rozstanę, pragnąłbym raz jeszcze wskazać na ogrom jej kulturalno-*historycznej* doniosłości.

Gdyby świat antyczny był jedynie twórcą owych

rodzajów literackich, któremi żyjemy i my, jedyną płaszczyzną wyjścia dla rozwoju literatury nowoczesnej, to już wtenczas doniosłość jego byłaby bardzo wielka: wszak każde pytanie co do genezy zjawisk literatury wszechświatowej, innemi słowy, wszelki świadomy wobec niej stosunek, w sposób nieunikniony zaprowadziłby nas w dziedzinę starożytności. Ale na tem przecież doniosłość jej się nie kończy: świat antyczny nietylko dał bodziec literaturom nowożytnym, ale towarzyszy im na całej przestrzeni ich rozwoju, wywierając mniej lub więcej wybitny na nie wpływ. Bardzo trafnie rzekł swego czasu Montesquieu: „Dzieła nowoczesne pisane są dla czytelników, antyczne — dla pisarzy.“ Świat antyczny był zawsze, zwłaszcza zaś w najlepszych okresach literatury wszechświatowej, naczelnym pokarmem poetów i prozaików; to też literaturę nowożytną zrozumie należycie ten tylko, kto sumiennie zbadał ów pokarm. Dawniej z potrzeby tej nie zdawano sobie tak dalece sprawy: dopóki główne zadanie historyka literatury upatrywano bądź w gromadzeniu faktów z zewnętrznego życia pisarzy, bądź w moralno-estetycznych rozprawach o ich dziełach, póty można było obywać się bez znajomości literatury antycznej; odkąd wszakże historia literatury stanęła na gruncie naukowym, odkąd od jej historyka wymagamy ujawniania tych sił, które zapewniły danemu dziełu literackiemu właśnie taki, nie zaś inny charakter—znajomość literatury antycznej stała się koniecznym obowiązkiem historyka: jakże zdoła on wyjaśnić genezę zjawiska literackiego, jeżeli nie zna tych sił, które je do życia powołały? A więc i tutaj sprawdza się to, co wyżej powiedziałem: doniosłość świata antycznego, w porównaniu z tem, jak było dawniej, nie zmniejszyła się, ale wzrosła.

Lecz nie to jest tutaj dla nas rzeczą najważniejszą. Rzecz najważniejsza leży gdzieindziej. Nie zapomnieliście, mam nadzieję, tej antezy, w której widzę hasło rozumnego szermierza starożytności w życiu współczesnem: „Nie norma, ale nasienie“. Bywały w dziejach literatury wszechświatowej okresy, w których świat antyczny uchodził za normę dla współczesności; bywały okresy inne, w których świat ten... być może nie uchodził, ale rzeczywiście był nasieniem. Okresy pierwszego rodzaju nazywamy okresami naśladownictwa: naśladowano to, co rozumiano; rozumiano zaś niezbyt wiele, o wiele mniej, niż my teraz; w wyniku rodził się nie klasycyzm, ale pseudoklasycyzm. Wszelako i te okresy były nieodzowne: wyhodowały one literaturę nowożytną, wyposażając jej rodzaje i środki expresji w tę doskonałość techniczną, której potrzebowały one, aby podołać celom wyższym; brak czasu, niestety, nie pozwala mi rozwinąć tego punktu, niezmiernie ważnego i ciekawego. Bądź jak bądź, za prawdziwie twórcze uważamy te okresy literatury wszechświatowej, w których antyczność była nietyle normą, ile nasieniem... obojętne, czy sobie zdawano z tego sprawę, czy nie. Słusznie Shakespeare'a i Goethego, dla których świat antyczny był ziarnem nasiennem, stawiamy wyżej nad Racine'a, dla którego był on normą, nie mówiąc już o innych naśladowcach, bardziej niewolniczych. Zgodzicie się atoli z tem, że przebieg rozwoju nasienia bardziej jest złożony i przeświecić go jest trudniej, niż przebieg odtworzenia normy, o wiele łatwiej wykazać wpływ antyku na Racine'a, niż na Shakespeare'a i Goethego. Tak, niewątpliwie; ale zadanie nie znika przeto, że się stwierdzi jego truność. Historia literatury, jako nauka, dopiero powstaje. Potężnie pchnął ją naprzód znakomity Hipolit Taine swoim postulatem, aby

literaturę rozważano jako produkt społeczeństwa, z którego i dla którego wyrosła; niemniej wszakże ważny jest wymagalnik, aby oprócz tych sił zewnętrznych wzięto też pod uwagę wpływ tej siły wewnętrznej, która w niej żyła i żyje, t. j. siły świata antycznego. „Dzieła współczesne—powtarzam słowa Monteskjusza—napisane są dla czytelników, antyczne—dla pisarzy“, a więc, dodajmy, i dla tego, kto pisarzy tych studjuje i wydaje o nich sądy.

Spójrzmy teraz nieco poza siebie. W przeglądzie świata antycznego, zaczęliśmy, całkiem naturalnie, od religji; religja doprowadziła nas do mitologii, mitologia—do literatury, literatura — do filozofji. Filozofję ujmowaliśmy dotychczas, jako pewien rodzaj literacki; przechodzimy teraz do jej znaczenia samodzielnego, jako filozofji. Tu więcej, niż gdziekolwiek indziej, rzuca się w oczy, jak dalece naród grecki był (powtarzam wyrażenie Wł. Sołowjewa) narodem — wieloduchem. Z dwóch, najbardziej w dziedzinie filozofji twórczych narodów współczesności, angielskiego i niemieckiego, pierwszy stale skłaniał się ku empiryzmowi, drugi ku racjonalizmowi; co do Greków, to niepodobna orzec, który z dwu tych kierunków był bliższy ich duszy. Grecja wydała racjonalistę Platona, ale ona też wydała empiryka Demokryta; w Arystotelesie oba prądy łączą się, lecz następnie znów się rozdzielają—kierunek Platona zmartwychwstaje w stoikach, kierunek Demokryta w Epikurze. Tę zbawczą dwoistość Grecja przekazała też i nowożytnemu światu; od-tąd niemożliwością już się stała przytępiająca jednostronność. To Platon, to Epikur naprzemian zapładniali i ożywiali filozofję czasów nowych. Racjonalizm Platona styka się z religją, empiryzm Epikura — z nauką; pierwszy spokrewniony jest z idealizmem, drugi z materjalizmem;

pierwszy prowadzi ku udoskonaleniu człowieka, jako takiego, drugi—ku władzy jego nad przyrodą. Oba kierunki są nieodzowne, ale najbardziej nieodzowna jest walka między nimi, owa walka owocna, której wynikiem jest postęp kultury. Nie daj Boże, aby którykolwiek z tych dwu kierunków uległ stłumieniu, aby rozum ludzki zabrnął bądź w bezpłodną pustynię spekulacji, bądź w brudny odmęt interesów wyłącznie materialnych; aby zaś nie doszło do tego, trzeba, by filozofja antyczna pozostała zawsze bliska naszemu sercu — właśnie filozofja antyczna ze zdrowym swoim uniwersalizmem, jednako ogarniająca swem jasnym okiem niebo i ziemię... Lecz to jest, bodaj, przedmiotem nazbyt trudnym; wiecie już o tem, że tematu swego nie jesteśmy w możności wyczerpać, że mogę panom przytoczyć jedynie pewne próby. Przytoczę próbę taką i dla filozofji antycznej; z wielu stron jej wybiorę jedną, a mianowicie moralną.

Jest to zagadnienie dla wszystkich zarówno blizkie: moralność stanowi jeden z warunków życia każdego społeczeństwa. Etyką naszych czasów jest etyka chrześcijańska; uznają ją ci nawet, którzy mniej lub więcej obojętnie traktują religijne prawdy chrześcijaństwa. Rzecz atoli znamienna, że pierwsi chrześcijanie-myśliciele, zapoznając się z filozofją antyczną, olśnieni byli wielkością jej i czystością; patrząc na to zjawisko z religijnością chrześcijan tudzież z rzetelnością myślicieli, znaleźli oni dlań następujące wyjaśnienie: „Pan Bóg—wówili—w trosce o rodzaj ludzki, przed Narodzeniem Chrystusa, dał Hebrajczykom zakon, Hellenom zaś—filozofję“. Zauważcie to zestawienie: Hebrajczykom — zakon, Hellenom — filozofję. Zakon powiada: czyn to, nie czyn tamtego“ — i nic więcej; filozofja wszędzie stawia pytanie „dlaczego“ i „poco“. Różny tedy był stosunek Stwórcy

do tych dwu ludów wybranych: Żydom rozkazywał, z Grekami dysputował... Taki, przynajmniej, mojem zdaniem, następcza się wniosek z nadmienionej wyżej tezy ojców kościoła; nie będę go wszakże rozwijał w dalszym ciągu, aby nie popaść w herezję, — całą uwagę skupię na Hellenach.

I u nich etyka również nie od początku miała charakter filozoficzny; i oni mieli zakon i przykazania, których autorem mienili pierwszego nauczyciela moralności, Chirona, wychowawcę Achilla oraz innych bohaterów. Pierwsze przykazanie brzmiało: „czcij Zeusa tudzież innych bogów“; drugie: „czcij rodziców“; trzecie: „nie wyrządzaj krzywdy gościowi-cudzoziemcowi“: oto trzy wielkie przykazania Chirona (*Χίρωνος ὑποθήκαι*); przekroczenie ich bywało grzechem śmiertelnym, karanym wiecznymi karami na tamtym świecie. Ale, rzecz prosta, nie wszystko jeszcze na tem się kończyło: cała etyczna koncepcja świata wspierała się na najwyższej sankcji objawienia; owe „z eteru zrodzone prawa“ — jak je nazywa Sofokles — „których ojcem jest jeden tylko Olimp, nie człowiecza zrodziła je przyroda, nie legną tedy pogrzebane pod całunem zapomnienia“. Pindar, Ajschylos, Herodot, Sofokles — oto główne dla nas źródła owego zakonu, owej starożytnej etyki zakonnej. Jakąż zajmemy wobec nich postawę? W Chirona i w Olimp wierzyć nie jesteśmy obowiązani; wbrew wielkiemu pocie greckiemu, powiemy, że człowieka właśnie zrodziła przyroda, — owo prawo doboru, które jednaką zachowuje moc zarówno w świecie fizycznym, jak moralnym; prawo doboru wytwarza, jako nieświadomy wynik doświadczeń wiekowych, ów krąg norm etycznych, które zapewniają społeczeństwu najpomyślniejsze warunki rozwoju.

Starogrecka etyka instynktowna, z tego rozważana stanowiska, stoi, rzecz prosta, nie wyżej od instynktownej etyki jakiegokolwiek innego ludu kulturalnego lub dzikiego: wszystkie je określa jednakowo to samo niepokonane prawo doboru. Co zapewnia jej znaczenie wyjątkowe, to to, że kultura grecka, która przeszła następnie do Rzymu, z Rzymu zaś do historii ludów nowożytnych, jest jedyną w dziejach ludzkości kulturą zwycięską i zwyciężającą, gdy tymczasem kultury wszelkie inne, nie wyłączając najżywotniejszych (muzułmańskiej i buddyjskiej), są to kultury zwyciężone lub zwyciężane. Tutaj stoimy na zupełnie mocnym gruncie biologji: instynktowna etyka ludu greckiego jest etyką najzdrowszą ze wszystkich — dlatego najzdrowszą, że powołała ona do życia jedyną w świecie kulturę, która się ostała. Czy znaczy to, że ma ona być dla nas normą? Nie; widzieliśmy już, że wogóle nie należy doszukiwać się norm w świecie starożytnym. Lecz jeśli jakakolwiek moralność instynktowna godna jest uwagi świata współczesnego, to niewątpliwie moralność grecka; i uwaga ta przypadła jej w udziale, istotnie, odkąd głosić ją począł wśród nas Fryderyk Nietzsche..

Lecz nie o niej pragnąłem tutaj mówić; mówić chcę o tej moralności świadomej, filozoficznej, która na podłożu tamtej powstała po jednym z najdonioślejszych przełomów, jakie ludzkość w dziedzinie tej przeżyła; przełom ten związany jest z imieniem Sokratesa. Sokrates, mianowicie, tem właśnie dokonał w Atenach przewrotu, że wobec każdej zasady moralnej i każdego prawa moralnego stawiał pytanie „dlaczego“ i „poco.“ W tym względzie stoi on i pochodząca odeń filozofja etyczna, jako pewnego rodzaju *unicum*: drugiego przykładu takiego dzieje ludzkości nie mają. Jeśli przed-so-

kratesowska moralność instynktowna skupiała na sobie naszą uwagę, jako *najwartościowsza*, to sokratesowska moralność świadoma zasługuje na uwagę, jako *jedyna*. I Sokratesowi—jak wiecie—drogo wypadło okupić swą odwagę. Współcześnicy jego wzdrygnęli się od zgrozy wobec jego pytań „dlaczego“ i „poco“, na które nie mieli odpowiedzi; nie miał odpowiedzi na nie i on sam. Pamiętajcie jego słowa smutne: „Wszyscy oni nie wiedzą nic, a i ja wiem nie wiele więcej od nich; wiem tylko, że nic nie wiem, oni zaś i tego nawet nie wiedzą.“ Moralność instynktowna przestała zaspokajać ludzi myślących, moralności zaś nowej, świadomej jeszcze nie było; społeczeństwo ateńskie uczuło się w położeniu ludzi, którzy odbili od jednego brzegu, a nie widzieli drugiego. Nie sądźmy zbyt ostro ich protestu przeciwko człowiekowi, który pozbawił ich tego, czem żyli dotychczas; ale nie odmawiajmy też podziwu naszego śmiałemu żeglarzowi, który stanowczo odbił od brzegu, poszukując nowego, lepszego świata. Na pytania, stawiane przez Sokratesa, dali odpowiedź filozofowie późniejsi, zwłaszcza stoicy; wynikiem ich odpowiedzi była filozofja moralna, twórczyni jedynej w świecie, tak zwanej, moralności niezależnej, świadomie wysnuwającej powinność moralną człowieka z jego należycie pojętej natury.

Lecz — może ktoś spytać — na co nam owa moralność niezależna, skoro znamy moralność chrześcijańską? Po-pierwsze, raz już zastrzegłem się przeciwko temu wyodrębnianiu chrześcijaństwa ze świata antycznego, które nie ma innej podstawy, prócz tej czysto zewnętrznej, a mianowicie, że wiedzę antyczną wykładano zawsze i wyklada się na wydziale filozoficznym, chrześcijańską zaś — na teologicznym. Jak wyodrębnić można ze świata antycznego potęgę kulturalną, która narodziła się i utrwa-

liła w granicach cesarstwa rzymskiego w epoce pierwszych cesarzy rzymskich, i stała się odpowiedzią na wiekowe pytania społeczeństwa antycznego? Każdy, zresztą, ktokolwiek badał historję chrześcijaństwa i etyki chrześcijańskiej, wie, jak dalece ta ostatnia karmiła się sokami filozofji antycznej, która, wedle słów samych mistrzów chrześcijaństwa, dana była Hellenom od Boga jeszcze przed Narodzeniem Chrystusa. Główna atoli waga, nie na tym polega argument: argument ów można snadnie pokonać wskazówką, że moralność chrześcijańska, w założeniu swoim, różni się od moralności przed-sokratesowskiej i sokratesowskiej: tam mieliśmy moralność instynktowną i moralność świadomą, tutaj zaś mamy moralność objawioną. Nie będę się spierał; zadam tylko pytanie: czy pożądaną jest rzeczą, aby objawienie było jedyną sankcją powinności moralnej? Wiem, że wielu będzie skłonnych odpowiedzieć: „Tak“. I znów nie będę się spierał zasadniczo; powołam się tylko na fakty.

Sceptycyzm religijny jest faktem i przytem faktem bynajmniej nie tak okropnym, za jaki nieraz uchodzi; można go nawet w pewnych granicach rozważać, jako zjawisko biologiczne. Bywa w życiu człowieka okres,— tym okresem jest wasz wiek, panowie—gdy pod wpływem, z jednej strony, potężnego napływu sił żywotnych w zdrowym organizmie, z drugiej zaś—odsłaniającego się przed młodemi oczami coraz szerszego widnokręgu, dusza jakgdyby skrzydeł dostaje. Młodzieniec wzrokiem zwycięzcy patrzy w przestwór, który rozwarł się przednim, czuje się jego panem, jeśli nie obecnym, to przyszłym, i na wszelkie mowy o wyższych, krępujących sankcjach ma gotową odpowiedź: „Wierzę w siebie i w swoją własną siłę!“ Mierzy siły na zamiary, nie zamiary według sił—, wedle słów Adama Mickiewicza. Później, gdy wody wiosenne

weszły w swe łożysko zwykłe, człowiek, wytrzeźwiony, zaczyna zamiary mierzyć podług sił, zaczyna z szacunkiem spoglądać ku sankcjom, które ongi odrzucał... Metamorfoza ta nie ma nic wspólnego z tą, o której napomknąłem wyżej; jest to metamorfoza uczciwa i bezinteresowna, i żal nawet byłoby mi człowieka, któryby „za młodu nie był młody“; przypominają mi się słowa Petrarki: „*Non fructificat autumnus arbor quae vere non floruit*“ . (Nie daje w jesieni owoców drzewo, które wiosną nie kwitło). Niekiedy całe społeczeństwa miewają takie okresy kipiącego życia i odwagi myśli. W jednym z takich okresów — w okresie Locke'a i Voltaire'a, — odkryto właśnie znaczenie niezależnej moralności szkoły Sokratesa; w naszych zaś oczach, mocą podobnego porwy młodzięczego, uświadomiono sobie również doniosłość przed-sokratesowskiej moralności instynktownej, na której symbol odkrywca jej wybrał antycznego boga wiosny i zbierających w przyrodzie sił — Dionizosa. Zjawiska takie miewają znaczenie bynajmniej nie tylko przejściowe; wszelkie uniesienia, oczywiście, przemijają: minął wolterjanizm, minie też nietzscheanizm, ale nie przeminie walka, ten jedyny i nieodzowny środek udoskonalenia.

Walka taka oczekuje i nas, być może, najpoważniejsza z tych, jakie kiedykolwiek wstrząsały ludzkość. W takich zaś okresach wzmożonej walki nie godzi się zamykać w granicach jednej jakiejś moralności, choćby nawet chrześcijańskiej. Dojrzewają nowe ugrupowania społeczne, a wraz z nimi również nowe zadania etyki indywidualnej i społecznej; dla ich rozwiązania nie wystarczają normy, odziedziczone po ojcach i dziadach. Należy sprawdzić ich prawo do istnienia; należy skrosić napływową warstwę moralności potocznej dotrzeć do etyki rzeczywistej, tej, która tkwi u niewzruszonych

podwalin natury ludzkiej... i nie poprostu „ludzkiej“ (na tem polegał błąd epoki oświecenia), ale naszej natury europejskiej, której korzenie sięgają naszej ojczyzny duchowej, starożytności grecko-rzymskiej. Dlatego to od moralności naszej zwrócić się należy do moralności przedchrześcijańskiej, sokratesowskiej, a także do przedsokratesowskiej, instynktownej; nie po to, aby odtwarzać je, zachowaj Boże, lech aby ze zmagania się ich z moralnością potoczną zrodziło się to coś nowego, za czem tęsknimy.

Jest to potrzeba czasu; niejeden znak wskazuje, że czeka nas nowy rozkwit badań nad światem antycznym, który będzie tym razem i głębiej rozumiany, i głębszy wpływ wywrze na ludzi. Fryderyk Nietzsche jest jednym tylko przykładem, jednym symptomem; ogromne, jakkolwiek nierychliwe powodzenie tego proroka starożytności, przytem starożytności najstarożytniejszej, przedsokratesowskiej, wskazuje jasno, w jakim kierunku idą zagadnienia terażniejszości, i kędy leżą środki ku ich rozwiązaniu. W naszym kraju ogół zawsze był szczególnie wrażliwy na kwestje i zagadnienia etyczne; a więc i pociąg ku światu antycznemu musi być u nas silniejszy, niż gdzieindziej. I ilekroć zdarza mi się słyszeć ową propagandę nienawiści i lekceważenia wobec świata antycznego w społeczeństwie naszym, tyle razy doznaję wrażenia, że stoję przed jakimś niezmiernem i haniebnem nieporozumieniem. Pragnąłbym zawołać do społeczeństwa: „Co czynicie? Macie przed sobą czarę najprzedniejszego, iskrzącego, posilnego trunku, lecz krawędz tej czary zmoczona jest piołunem, — a wy, jak dzieci, z płaczem odwracacie się od niej?“...

Dość już, jednakże, o filozofji antycznej; jej charakterystyka, samą przez się, doprowadziła nas do urządzeń społecznych i państwowych w świecie starożytnym,

do praktyki i teorii antycznej nauki o państwie. Tak, do praktyki i teorii; zestawiając ze sobą dwa te pojęcia, wskazujemy już to, na czym polega wyróżniająca cecha polityki antycznej. Wszystkie narody starożytnego i nowożytnego świata żyły w takim lub innym ustroju społecznym i państwowym; ale antyczne tylko narody myślały, rozumowały i pisały o tych ustrojach, z pośród zaś narodów nowożytnych jedynie te, które nauczyły się tego od starożytności.

Prawda, jedno dziedzina życia publicznego żądała od wszystkich narodów świadomego wobec siebie szacunku, mianowicie, dziedzina *prawna*. Ażeby regulować stosunki między obywatelami (oraz pół-obywatelami) i do pewnego choćby stopnia powściągnąć samowolę przemocy faktycznej, potrzeba było określonego prawodawstwa, składającego się z szeregu określonych recept. „Gdy kto popełni to lub owo, ulegnie karze takiej a takiej“. Prawodawstw tego rodzaju znamy dość dużo, najstarsze z nich, babilońskie, *kodeks Hammurabi*ego, pochodzące z trzeciego tysiąclecia przed Nar. Chr., znalezione było nie tak dawno, i pomnik ten wywołał zainteresowanie całego świata cywilizowanego. „Kodeks“ ten, rzeczywiście, jest bardzo ciekawy, między innymi i pod tym względem, iż dowiadujemy się z niego, jak długo ludzkość żyła samymi tylko receptami, wedle wzoru: „Gdy kto popełni to lub owo, ulegnie karze takiej a takiej“, i jak przeto wielki był czyn tego narodu, który od owych recept potrafił dźwignąć się do prawoznawstwa naukowego, mającego w założeniu swem dokładne definicje pojęć prawnych, w korpusie zaś swym—czynności za pomocą pojęć tych dokonywane; jest to czyn takiej samej miary, jak przejście od praktyki znachorów do medycyny naukowej, mającej u podstaw swych ba-

danie własności organizmów i jestestw. To przejście w dziedzinie prawa jest zasługą poniekąd Greków, ale szczególnie Rzymian; w tem tkwi przyczyna, dla której prawo rzymskie było, jest i będzie wychowawcą najnowszej jurysprudencji.

Wiem, że tezę tę często podaje się w wątpliwość... nie tyle wśród prawników qua prawników (czynię to zastrzeżenie prawne ze względu na to, że i prawnicy bywają ludźmi partyjnymi—qua ludzie partyjni, mówią oni, rzecz prosta, to, co im nakazuje mówić partja), ile wśród nieprawników oraz półprawników. „Na co badać prawo rzymskie?“ — pytają: „nasze pojęcia o małżeństwie, rodzinie i t. p. są odmienne od rzymskich; na cóż więc przydać się nam mogą normy prawa rzymskiego?“ Zauważcie: normy. Wszędzie ten sam błąd: skoro norma nie znajduje zastosowania, to niema tu nic godnego uwagi. Śmiesznym wydaje się nam ów żołnierz, który odmówił rozwiązania zadania arytmetycznego — „jeśli dałem ci 5 rubli, a z tych posłałem 3 ruble żonie, to ile ci zostało?“—odmówił na tej zasadzie, że nikt 5 rubli mu nie dawał, a i żony wcale nie posiada; a przecież owi quasi-prawnicy, których rozumowanie wyżej przytoczyłem, wcale nie są od żołnierza tego mądrzejsi. Nie normy prawa rzymskiego są nam potrzebne; potrzebne są nam pojęcia prawne, które z zadziwiającą dokładnością i celowością sformułował ten naród — wybraniec Temidy — owe *iustum a aequum, dolus a culpa, possessio a dominium, hereditas a legatum, fideicommissum, ususfructus, servitus, obligatio* i mnóstwo innych; potrzebna nam jest umiejętność posługiwania się temi pojęciami, rozpoznawania ich w danych stosunkach prawnych i sprowadzania w ten sposób powikłanych wypadków praktyki życiowej do prostych względnie formuł; potrzebny nam jest ten cały

rozbiór subtelny i mądry, którego mistrzami byli prawnicy rzymscy. „Ale na co?“ — pytają ci ludzie: — wszak te pojęcia i operowanie temi pojęciami, o ile są potrzebne, przyjęte zostały przez prawo współczesne“. A czyż w prawie współczesnem — zapytam z kolei — przestały one być rzymskiemi? Przełożyliście wyraz *ususfructus* na języki nowożytnie i mniemacie, że dzięki tej prostej manipulacji, otrzymaliście, zamiast prawa rzymskiego, prawo francuskie, włoskie lub niemieckie? Zdarliście etykietę z amfory szlachetnego Falerna, nakleiliście firmę nowoczesną i pocieszacie się myślą, że pijecie wino ojczyste? Ten krótkowzroczny kult dzisiejszości szkodę wyrządza już przez to, że prowadzi ku takim niesumiennym fałszerstwom i plagjatom. Ale jest dopiero jedną stroną przedmiotu. Usuwam *a priori* normatywność świata antycznego tudzież zasadę normatywną przy jego ocenie; wszelako, tu i owdzie, w tem i w owem, można od świata starożytnego i pod tym względem wiele się nauczyć, i przytem w dziedzinie prawa rzymskiego więcej, niż w jakiegokolwiek innej; ale i to jeszcze — nie wszystko. Jakbykolwiek patrzeć na znaczenie prawa rzymskiego bezpośrednio, aktualne, — znaczenia, jakie *miało* ono dla nas, jako źródło naszego prawa i wychowawca naszego prawoznawstwa, żadną miarą przekreślić nie można: *habere eripi potest, habuisse non potest*, ślicznie rzekł Seneka. Nie możemy badać dziejów naszego prawa, nie badając prawa rzymskiego; a dzieje te badać musimy, jeśli pragniemy zdobyć się na jako-tako świadomy stosunek do tego, czem żyjemy w terażniejszości. Odpowiedź na pytanie co do sensu instytucji prawnych daje nam ich geneza; odpowiedź na pytanie co do ich genezy — ich dzieje, t. j. zgodnie z tem, co powiedziano, prawo rzymskie. Kto nie zna prawa rzymskiego, ten nigdy nie

będzie prawnikiem-myslicielem; a tacy nigdy tak bardzo nie byli nam potrzebni, jak właśnie teraz, gdy odbywa się, rzekłbym, rozkład prawa i postępowania karnego, gdy miotające się sumienie ludzkości w osobach Tołstoja, Nietzschego, Haeckla stawia coraz nowe wymagania prawoznawstwu i z bolesnem napięciem czeka na nie odpowiedzi.

Wszelako prawo i prawoznawstwo stanowią jedną tylko stronę tego, co nazwać można „polityką“ antyczną w antycznym tego słowa znaczeniu; ma ona wiele stron innych—tyle, że niepodobna nawet myśleć o ujęciu ich w jakiś schemat całkowity. Wszelkie inne państwa starożytności mają w założeniu ideę bądź militarną, bądź finansową; w samej tylko Grecji powstała myśl, że państwo jest środkiem ku wychowaniu moralnemu i udoskonaleniu człowieka, że polityka jest koroną etyki. Homer tej myśli jeszcze nie zna; gmina homerowska posiada wiele uroku, lecz działa ona na nas tak, jak sama przyroda w swej naiwności grubej i materjalnej. Lecz oto Delfy, najpoważniejsza umysłowa i moralna siła Grecji aż do wieku V, podejmują szczytne zadanie politycznego wychowania Grecji w duchu religji i etyki Apollina. Naród grecki dzielił się wtenczas na drobne, samostarczalne gminy, liczące po kilkanaście tysięcy dusz każda; owe *πόλεις* stanowiły nader podatne tworzywo dla experymentów ważnych i pouczających (trzeba dużo i długo szukać w dziejach nowożytnych, aby znaleźć coś podobnego,—naprzykład Genewę w epoce Kalwina). Experymenty czyniono zapomocą rozmaitych środków i ze zmiennem powodzeniem: w niektórych gminach Delfy zdołały chwycić w ręce rządy (np. w Sparcie), w innych sprzyjały im możne stronnictwa (jak w Atenach), w innych jeszcze narzędziem ich bywał

wpływowy zakon orficki (w kolonjach południowo-italickich); w jednych zwyciężały, w drugich bywały zwyciężane, — dla nas wszystkie te widowiska jednako są ciekawe. Innego rodzaju experiment podjęli, aby stworzyć przeciwwagę Delfom, politycy ateńscy wieku V; lecz stworzona przez nich gmina bezterytorjalna wojów i urzędników ulega rozbiciu podczas wojny peloponeskiej. Z doświadczeń praktyki korzysta teoria wieku IV:— Platon w swoim „Państwie“—ale właśnie w tym celu, aby jak najprędzej przejść do praktyki.

W taki to sposób Grecja przekazała nam i w wykładach teoretycznych i w zastosowaniu praktycznym zasady polityki w jak najszerszem znaczeniu słowa; jak urządzić państwo, ażeby jednostce zapewnić możność najwyższego udoskonalenia moralnego? — Oto pytanie, czerwoną nicią wijące się skroś te wszystkie próby i konstrukcje. Jest to pytanie niezmiernie ciekawe. Już to jedno, że je stawiono w tej formie, było postępem ogromnym: „jak urządzić państwo, ażeby“... znaczy to, że państwo nie jest czemś żywiołowem; w naszej leży mocy zbudować je i przebudować zgodnie z celem, jaki uznamy za najlepszy. Tak mniemali starożytni; tak wierzyć nauczyliśmy się od nich i my. Wiara ta przez pewien ciąg czasu była źródłem krańcowych zapędów i pomyłek: zbyt wielki wyznaczając udział (w okresie oświecenia) potędze woli rozumnej, ludzie powzięli myśl, że zapomocą dobrze opracowanych konstytucyj można odrazu przeistoczyć naród i wyhodować nową rasę ludzi. Krwawe dzieje Rewolucji Francuskiej z jej martwo urodzonymi konstytucjami i dziką samowolą nauczyły nas nieco trzeźwiej zapatrywać się na tę sprawę i nie lekceważyć owego pierwiastku żywiołowego, który tkwi w charakterze danego społeczeństwa; sama atoli istota

idei postępu politycznego, przekazana przez starożytność, nie doznała przez to uszczerbku.

To—raz; drugi krok naprzód stanowi pojęcie moralnej doniosłości państwa, uwarunkowanej stosunkiem tegoż do jednostki. W pojęciu tem zawierały się zarody walki między dwiema ideami, jednakowo wartościowymi, jednakowo ważnemi dla postępu kulturalnego: ideą państwowości a ideą wolności indywidualnej. Delfy kładły nacisk na pierwszą, poddając jednostkę władzy państwa; Ateny dążyły do wyzwolenia jednostki, o ile to możliwe bez uszczerbku dla potęgi państwa — tę dążność państwowości ateńskiej jasno uwydatnia Perykles w mowie pogrzebowej u Thucydidesa. W ten sposób starożytność wniosła w dzieje tę płodną antytezę polityczną, antagonizm między zasadą socjalistyczną a indywidualistyczną; najbardziej świadomi szermierze obu tych zasad w społeczeństwie współczesnem stale uznawali się za uczniów starożytności i wysoko cenili jej wartość. Ojciec socjalizmu współczesnego, Ferdynand Lassalle, widział w wykształceniu klasycznym „przeciwagę pomyslną wobec mieszczkańskiego poglądu na świat“ ówczesnych Niemiec, i poczytywał je za „niewzruszoną podwalinę ducha niemieckiego“; jego antypoda, zwias-tun indywidualizmu skrajnego, Nietzsche, zapożyczył od świata antycznego te zasady, które tak wymownie i z takim powodzeniem, rozwijał w swoich dziełach. Obaj mieli słuszość, gdyż obaj byli na tyle ukształceni, że uważali świat antyczny nie za normę, tylko za nasienie cywilizacji współczesnej.

Ale i tutaj, obok niezmiernej doniosłości technicznej polityki grecko-rzymskiej, stwierdzić musimy jej olbrzymią doniosłość historyczną—przyczem proszę panów to słowo ostatnie brać nie w znaczeniu obcości w sto-

sunku do doby terażniejszej, ale w znaczeniu niezmiernie ścisłego z nią związku. Już przedtem powiedziałem, że przeszłość nasza nie jest przeszłością we właściwym słowa znaczeniu: ta przeszłość żyje w nas i my tą przeszłością żyjemy. Badając rzeczywistość minioną, badamy rzeczywistość naszą w tem, co ma w sobie najtrwalszego, najżywotniejszego. Sprobujcie spojrzeć w terażniejszość tak, jakgdybyście w dniu dzisiejszym się urodzili, bez żadnej wiedzy o dniu choćby wczorajszym: wszystko, cokolwiek was otacza, wyda się wam jednakowo wartościowem, nieodzownem i wiecznem; instytut wysokich kołnierzyków lub płaskich kapeluszy damskich stanie przed waszemi oczyma na jednej linii z instytutem sądu przysięgłych lub powinności wojskowej, z instytutem małżeństwa i przyjaźni. Na cóż się przyda odróżnianie rzeczy przejściowych od stałych, kaprysu od potrzeby, rzeczy zbędnych od niezbędnych? Dokładna wiedza o człowieku? Jest to wiedza przyszłości, i nawet — bardzo dalekiej przyszłości; tymczasem jedyny drogowskaz nasz stanowi przeszłość. Jeśli my, filolodzy, zagłębiamy się swemi myślami w daleką kulturę naszej przeszłość, to nie w tym celu, aby oderwać się od współczesności, ale w tym, aby ją lepiej i łatwiej pojąć, aby od rzeczy warunkowych i przejściowych wznieść się ku bezwarunkowemu i wiecznemu... lub, przynajmniej, długotrwałym; aby mieć możność dokonania prawidłowej oceny otaczających nas zjawisk; odróżnić rolę napływową, którą unieść ma fala jutrzejsza, od granitowego pokładu, na którym kultura nasza spoczywa. Dzieje kultury tej zaczynają się tam, gdzie zaczynają się dzieje Grecji... o dziejach Wschodu mówić niema potrzeby, gdyż niewiadomo, o ile dzieje Grecji są ich dalszym ciągiem. Badając ów początek i porównyując go ze współczesnością,

uczmy się poznawać drogę, którą kroczy ludzkość, postępująca za swym surowym wychowawcą — prawem doboru socjologicznego.

A — jak wyżej już zauważyłem — badanie drogi tej daje nam nietylko wiedzę umysłową, ale i otuchę duchową i męstwo, jakie rodzi się z poczucia zgodności oceny biologicznej z oceną moralną. Istotnie, tu tylko, na tej olbrzymiej drodze kulturalnego życia społeczeństwa dwie te oceny zgadzają się ze sobą; na krótkiej przestrzeni życia jednostkowego oceny te to schodzą się, to znów się rozchodzą, zbijając nas z tropu swemi powikłaniami. Staje mi w pamięci pewien czterowersz epigramatysty rosyjskiego:

Kto w czterdziestym roku życia nie jest pesymistą,
A w pięćdziesiątym nie jest mizantropem,
Ten, być może, zacytowanym jest człowiekiem,
Ale idjotą zejdzie w grób.

Tak, idjotą... w rodzaju tego, którego odmalował nam Dostojewskij... Istotnie, w szrankach życia jednego pokolenia zbyt często siła tryumfuje nad prawem, podłość zaś — nad obojgiem; a i to jeszcze nie jest rzeczą najgorszą. Smutek, oczywiście, ogarnia serce na widok zniweczonego życia tylu osobowości wspaniałych, gdy jednocześnie pospolitość i miernota zadowolona z siebie tryumfuje; ale rzeczą jeszcze smutniejszą jest widok pokonanych idei wysokich, widok zdeptanej prawdy na łamach gazet i innych organów opinii publicznej. Cóż robić?... W obrębie trwania życia jednostki zapoznajemy się tylko z małą jaźnią środowiska, ta zaś jaźń mała niezbyt jest budująca; chcąc poznać jego jaźń wielką — tę, którą rządzi prawo doboru socjologicznego — zagłębić się należy w przeszłość i od samego zarania badać drogę kultury ludzkiej. I tutaj dostrzeże się to, co nazwa-

łem wyżej zgodnością oceny biologicznej z oceną moralną; istotę zgodności tej możnaby ująć w słowach: „Co złe, to bywa niezdolne do życia, i musi ginąć; co dobre, to bywa zdolne do życia i ostaje się lub odradza.“ Z radosną nadzieją spoglądać będziecie ku owej tajemniczej przyszłości, w którą wiedzie nas Wola niezbadana; w zastowaniu do natury ludzkiej z uznaniem powtórzycie słowa Mikołaja Lenau: „*Liebe die Natur, die treu und wahr — Ringt nach Glück und Freiheit immerdar.*“

WYKŁAD VII.

Oba wykłady poprzednie, poświęcone doniosłości kulturalnej świata antycznego, miały treść dość różnolitą: wypadło mówić o religji, o mitologii, o literaturze, o filozofji, o prawie, o polityce. Jednoczył je, poza przynależnością do dziedziny świata antycznego, wspólny kąć widzenia: wszędzie starałem się udowodnić, że świat antyczny powinien być dla nas nie normą, ale nasieniem. Dzięki temu zastrzeżeniu, odrazu stawiamy starożytność powyżej wszelkich partyj, nietylko politycznych, ale i wszelkich innych; pokażę na przykładzie, co chcę przez to powiedzieć. Zauważyliście, panowie, być może, że w wykładach swych starannie unikałem wyrazu „klasycyzm“; czyniłem to nie dlatego, że wyraz ten niemile razi ucho wielu współczesników naszych — braku odwagi na tem polu nikt mi chyba nie zarzuci — ale dlatego, że samo pojęcie, któremu wyraz ów odpowiada, nie zgadza się z tem, co uważam za pożyteczne i owocne dla chwili obecnej. Przez klasycyzm rozumiemy kierunek w literaturze i sztuce, upatrujący w literaturze i sztuce świata antycznego (i nawet nie całego tego świata, lecz pewnego wybitnego jego odłamu) właśnie *normę* dla nasła

downictwa; w tem znaczeniu klasycyzm przeciwstawia się, z jednej strony, romantyzmowi, z drugiej — naturalizmowi. Kierunek ten zajmuje stanowisko wobec tamtych dwu równorzędne; ale właśnie, tylko równorzędne. My zaś szukamy w świecie starożytnym tego, co jednakoż przydać się może zarówno klasykom, jak romantykom i naturalistom—szukamy, zgodnie z tem, co wielkoczo wypowiedziałem, nie normy, ale ziarna siewnego.

Należy o tem pamiętać i w tej również dziedzinie świata antycznego, do której zwracamy się obecnie, ażeby na niej studjum nasze zakończyć, w dziedzinie krasotwórstwa. Krasotwórstwo w danym razie jest to głównie architektura, rzeźba, malarstwo; wszelako pojęcie to ogarnia też i sprzęty domowe tudzież inne, o ile noszą one na sobie piętno artystyczne.

Zacniemy od architektury.

Zasadnicze dane jej w świecie antycznym są niezmiernie proste — kolumna grecka z prostą belką i łuk (przeważnie) rzymski; warto jednakże wmyśleć się w tę ideę budowniczą, która tu znajduje wcielenie. Dwa słupy oraz belka poprzeczna—oto schemat pierwotny architektury greckiej; ciężar ciśnie wyłącznie z góry w dół—wytrzymuje go kolumna, której siły skierowane są przeto wyłącznie z dołu do góry; rzeczą ciekawą jest widzieć, jak cała kolumna wydaje się jakby ożywiona tą siłą, działającą z dołu ku górze. Lecz tu zastanawia nas tylko jedno: głęboka prawość architektury greckiej; zewnętrzny kształt gmachu najzupełniej wyraża jego ideję budowniczą: świątynię grecką zbudować można bez wszelkich sztucznych spoidel, bez cementu i klamer żelaznych — i będzie się ona trzymała. Trudność polegała jedynie na tem: przy nieco znaczniejszej odległości między kolumnami trudno było znaleźć dostatecznie długie ka-

mienne belki poprzeczne. Celem pokonania tej trudności, wynaleziono łuk, którego zasada polega na kamieniu, ciosanym w kształt klina. W ten sposób osiągnięto możliwość zapomocą niedużych kamieni albo cegieł pokonywać bardzo znaczne odległości między kolumnami. Ta sama prawość znamionowała też architekturę łuku (a zatem i sklepienia z kopułą włącznie): z klinowatych cegieł zbudować można łuk bez cementu i sztucznych wiązań; łuk taki nie tylko będzie sam się trzymał, ale i wspierać będzie górną część gmachu: im większy będzie nań wywierał ucisk ów ciężar odgórny, tem silniejszy będzie sam łuk.

Usuwając atoli trudność jedną, łuk sprowadził drugą, której architektura rzymska w sposób czyniący zadanie rozwiązać nie zdołała. Przy systemie prostej belki poprzecznej ciężar wywierał ciśnienie, jak widzieliśmy, jedynie z góry w dół, w kierunku pionowym; przy systemie łuków ciężar wywiera ciśnienie także i od środka w obie strony, w kierunku poziomym. Spróbujcie zbudować łuk z cegieł klinowatych nad dwiema kolumnami — ciężar odgórny zacznie go rozsadzać, kolumny runą. Niezbędny więc był nowy pierwiastek architektoniczny, któryby dawał odpór również temu ciśnieniu poziomemu — architektura rzymska pierwiastka tego nie znalazła, trudności owe obchodziła raczej, niż przezwyciężała. Naturalnym atoli ciągiem dalszym architektury rzymskiej stała się architektura romańska wczesnego średniowiecza, dalszym ciągiem romańskiej była gotycka późnego średniowiecza; i oto, ta ostatnia, наконец, znalazła zupełnie dostateczną odpowiedź architektoniczną na pytanie, stawione przez łuk rzymski. Ponieważ ciężar budynku wywierał ciśnienie w dwu kierunkach, pionowym i poziomym, ale głównie w pierwszym, to schematycz-

nym jego wyrazem była linja ukośna, przekątna owego równoległoboku sił. Aby ją przewyciężyć, niezbędny był przeto czynnik, któryby dawał jej odpór również nie wprost z dołu do góry, ale w ukos — t. j. tak zw. *contreforce*. Ową *contreforce* (po niedoskonałych próbach architektury romańskiej) przejął następnie gotyk, jako nieodzowną część składową; rozwinął ją i ozdobił, tworząc oparty na tym pomysle filar i łuk, a wraz z włączeniem ich do architektury przywrócona została ta prawość budownicza, którą zamąciło poniekąd wprowadzenie łuku rzymskiego — owa prawość budownicza, która wymaga, ażeby wygląd zewnętrzny gmachu był dokładnym wyrazem żyjącej w nim idei budowniczej.

Dzieje architektury znają dwa tylko przykłady tej rzetelności bezwzględnej — styl grecki oraz styl gotycki. Powiadają nam: dwa te style były wprost przeciwne sobie. Tak, niezawodnie; pozostają one w takim wobec siebie stosunku, jak pion do poziom. Niewątpliwie, gotyk odwrócił się od norm greckich; ale również wątpliwości nie ulega, że gotyk był tylko rozkwitem ziarna antycznego. Ziarno owo, to jest prawość architektoniczna. Co rozumiem przez to, zobczymy niebawem.

Sama zasada budownicza nie tworzy jeszcze stylu architektonicznego; w stylu bierze udział mniejszy lub większy również zasada zdobnicza. Tę zasadę mamy też i w stylu greckim; jeśli zadacie pytanie, jaki jest stosunek jej do zasady budowniczej, to zobaczycie, że stosunek ten był ilustracją prawidła: naprzód praca, po tem zabawa. Praca, to — dźwiganie ciężaru: pracą tą pochłonięta jest przedewszystkiem kolumna i pochłonięta jest całkowicie; cały wygląd jej surowego, smukłego trzonu wyraża tę właśnie ideę, na ornament, t. j. na zabawę nie ma ona czasu. Lecz, oto, dosięgła ona

architravu. Tu ciężar i podpora, siła, cisnąca z góry, i siła napór ten wytrzymująca, jakgdyby neutralizują się wzajemnie; tu następuje jakby chwila odpoczynku—i oto zabawa, t. j., ornament wstępuje w swe prawa, woluty jońskie, liście korynckie wiją się wokół kapitelu kolumny. Lecz i architraw ma swoją pracę: spoczywa na nim ciężar całej górnej belki poprzecznej, która wywiera nań ciśnienie (w stylu doryckim) zapomocą surowych tryglifów, trójkątne zato rozstępy między tryglifami wolne są od pracy, i oto tutaj—na tak zwanych metopach artysta znowu puszcza wodze swej fantazji, metopy otrzymują ornament rzeźbiarski. Belka poprzeczna wspiera dach, który nad fasadą tworzy płaski równoramienny trójkąt, tak zwany fronton; przestrzeń zawarta wewnątrz trójkątu znów stanowi neutralne pole odpoczynku—tutaj, przeto, spotykamy ponownie orbity rzeźbiarskie. W ten sposób, prawość architektoniczna, znamionująca budowniczą część stylu greckiego, określa również stosunek jego do części zdobniczej: rola tej ostatniej jest rolą drugorzędną; ornamentacja nie przesłania nigdy idei budowniczej.

Niezmiernie silnem, natomiast, zaprzeczeniem tej zasady prawości architektonicznej są, przedewszystkiem, style orjentalne, a następnie i zwyrodnienia stylu antycznego pod wpływem tych ostatnich. Żywiołem dla nich wszystkich wspólnym bywa fantastyczność; podporządkowanie pierwiastka budowniczego pierwiastkowi zdobniczemu, zamiana żywiołu struktywnego na ornamentację, przesłanianie idei budowniczej takimi formami architektonicznymi, które same przez się są niemożliwe, oto osobliwości tych stylów. Weźmy chociażby dobrze znany nam styl bizantyński, przedstawiający, wedle udatnego określenia Józefa Strzygowskiego, „Grecję

w objęciach Wschodu“; zwróćcie uwagę na jego wygięty ostry łuk. Zbudowany z klinowatych cegieł, łuk taki nie tylko nie jest w możności dźwigać cokolwiek, ale nawet stać o własnej mocy nie może; jego kształt zewnętrzny nie odpowiada idei budowniczej; możliwy on jest jedynie dzięki sztukaterjom, cementowi i sztucznym spoidłom. Weźmy kolumnę bizantyńską: naczelną część architektury greckiej skazana tu jest na zupełną bezczynność; występuje ona tu i owdzie z kąta i chowa się w kąt, nie wspierając nic takiego, co by się i samo nie trzymało — innemi słowy — zamieniła się ona w czysty ornament. Weźmy architekturę arabską, Alhambrę z jej sklepieniami stalaktytowemi—te sklepienia stalaktytowe są, pod względem budowniczym, równie niemożliwe, jak łuk bizantyński, znów fantazja ornamentatora za pomocą sztukaterji i t. p. przesłoniła, tkwiący u podstaw jego dzieła, pierwiastek budowniczy — sklepienie rzymskie. Weźcie, наконец, styl ortodoxyjny rosyjski i jego osobliwość znamioną, kopułę cebulowatą: jest to absurd budowniczy, możliwy jedynie dzięki sztucznym, podpórkom, schowanym wewnątrz kopuły; a więc to, na czem się kopuła owa wspiera, starannie jest przed okiem widza ukryte, oczom zaś jego odsłania się to, co samo przez się utrzymać się nie może—zgódźcie się, że jest to zasada wręcz przeciwna nadmienionej wyżej zasadzie prawości architektonicznej, wymagającej, aby zewnętrzny kształt budowli odpowiadał jej idei budowniczej.

To, co powiedziałem dotychczas, dotyczy wyłącznie architektury antycznej; rzucimy z kolei okiem i na sztuki pozostałe, szczególnie zaś na rzeźbę i malarstwo. W przeciwieństwie do architektury, obie te sztuki mają charakter naśladowczy; tutaj, pomijając warunki samej tech-

niki, styl sztuki określają pytania: kogo albo co należy naśladować, i jak naśladować? Odpowiedź na te pytania ustala szczególny charakter naśladowniczej sztuki antycznej, t. j. właściwie greckiej. Aby to zrozumieć, weźmiemy i tutaj za punkt wyjścia jak najbardziej elementarny schemat, uproszczony aż do niemożliwości.

Wyobraźmy sobie, nasamprzód, pierwotnego artystę, który, nie mając poprzednika, po raz pierwszy bierze się do odtwarzania jakiegokolwiek przedmiotu — dajmy nato — człowieka. Rozumie się samo przez się, że powstałe w takich warunkach dzieło nosić będzie zupełnie przypadkowy charakter, w zależności od tego, jak artysta zapatruje się na swój przedmiot i jak ręka jego służy jego wzrokowi. Następnie, wyobraźmy sobie, że, śladem tego pierwszego artysty, to samo zadanie stawia sobie drugi artysta, stosunek tego drugiego artysty do pierwszego może już być trojaki. Po-pierwsze: może go ignorować; wtenczas, rzeczywiście, twór jego będzie również przypadkowy, jak pierwszy; wyobrażając sobie w dalszym ciągu również ten sam stosunek następcy do poprzednika, otrzymamy sztukę wciąż przypadkową, bez żadnego określonego stylu. Po-wtóre, może on, przeciwnie, poddać się w całości swemu poprzednikowi, starać się odtworzyć całą jego manierę: jeśli tamten malował tułów ludzki w kształcie trapezu, opartego na prostokącie, to i ten do tegoż ucieknie się sposobu; dzięki takiemu pogładowi na sprawę otrzymujemy sztukę konwencjonalną o stylu dobitnym, określonym, ale czyniącą postępy jedynie w kierunku coraz wydatniejszego podkreślania pierwiastków konwencjonalnych. Nakoniec po-trzecie, następca może podzielić uwagę swą między artystę-poprzednika a przedmiot odtwarzany; starannie zbada on twór poprzednika, aby zawiadnąć

całą jego techniką, następnie zaś zagłębi się w swój przedmiot, postara się zdać sobie sprawę z tych niedoskonałości, które cechowały manierę poprzednika, pokusi się o to, aby bliżej podejść ku przyrodzie, niż podszedł tamten. Przy takim stosunku do sprawy otrzymujemy sztukę, która również pewien wykazuje styl, o ile każdy artysta znajdzie się w zależności technicznej od swego poprzednika, ale która, zarazem, robi postępy w kierunku wyzwolenia z warunkowości i zbliżenia ku przyrodzie. Oto wyliczyliśmy trzy schematy możliwe. W rzeczywistości, schematy te nigdy nie występują w czystości abstrakcyjnej, matematycznej; zrobiwszy to zastrzeżenie, można powiedzieć, że sztukę pierwszą, przypadkową, spotykamy u ludów dzikich; wtórą, konwencjonalną, u ludów blizkiego i dalekiego Wschodu, trzecią, nakoniec, sztukę naturalną stworzyli w starożytności wyłącznie Grecy, w czasach zaś nowożytnych, pod wpływem sztuki greckiej, my, narody kultury europejskiej. *Wolność i naturalność*: oto pierwsza właściwość znamienna sztuki antycznej.

Że tak jest istotnie, o tem przekonać się nietrudno. Szczególniej *Ermitage* w Petersburgu posiada wspaniałą ku temu środek pomocniczy, niestety, niespożytkowany dotąd, jak należy. Są to te zabytki starożytnego malarstwa greckiego, które słyną pod nazwą „waz malowanych“ i zajmują kilkanaście rozległych sal na niższym piętrze. Tutaj, w przeciwieństwie do mniej lub więcej przypadkowego doboru galerji rzeźb, oglądać można zupełny i skończony krąg ewolucji. Najstarożytniejsze wizerunki ciała ludzkiego na borych wazach archaicznych nie o wiele przewyższają owe znane dziecinne trapezy na prostokacie; potem następują tak zwane wazy o czarnych figurach z wizerunkami znacznie naturalniej-

szemi, aczkolwiek robionemi zgruba i pełnemi konwenansu. Dalej — idą wazy o czarnych figurach — również do rozmaitych należące stylów: surowego, pięknego, wolnego, przyczem w oczach naszych odpada jeden konwenans za drugim, żądaniu zaś naturalności w coraz wyższym stopniu staje się zadość. Dalej — napięcie omdlewa, bierze górę przepych, niedbałość, następuje upadek i zwyrodnienie. Wątpię, czy gdziekolwiek indziej tę ewolucję, tak bardzo pouczającą, przestudjować można w sposób równie poglądowy, jak właśnie w tym dziale waz Ermitage'u w Petersburgu; przykro patrzeć, jak przepiękny ten dział prawie zawsze świeci pustkami, skarby zaś jego leżą, jako martwy kapitał. Zaradzić tej niedoli, poniekąd, mogłaby administracja Ermitage'u; od niej zależy przyjscie z pomocą zaciekawieniu publiczności i danie jej do rąk, zamiast obecnego katalogu suchego i nic niemówiącego, katalogu innego, któryby bardziej uwydatniał ewolucyjną i artystyczną wartość tych wspaniałych zbiorów.

Wolność, w parze idąca z naturalnością, stanowi jedno z charakterystycznych znamion sztuki antycznej; zauważę zarazem, że głównie temu przymiotowi zawdzięcza ona swą doniosłość wychowawczą. Jej odrodzenie zawsze sprawiało to, że dzięki niemu, artyści uczyli się znowu widzieć i rozpoznawać przyrodę, wyzwalać się z konwenansów swej epoki; i w tej również dziedzinie świat antyczny, w najświetniejszych okresach sztuki nowożytnej, bywał nie normą, lecz nasieniem. Ale to jeszcze nie wyczerpuje przedmiotu: prócz wolności i naturalności, krasotwórstwo antyczne posiada jeszcze jedną cechę, również doniosłą: cechę tę zowiemy *idealizmem*. Wyraz ten atoli wymaga wyjaśnienia; nie jest on bynajmniej tak zrozumiały, jak się

to na pierwszy rzut oka wydaje. Idealizm sztuki antycznej ujawnia się nie w tem, że odtwarzała ona przeważnie bogów i boginie, nie zaś zwykłych śmiertelnych, piękno zaś stawiała wyżej ponad szpetotę i pospolitość — to wynikało z warunków zewnętrznych, sprawiających, że posągi Apollina lub Heraklesa snadniej zbyt znajdowały, niż wizerunek rybaka albo pijanej baby. Nie; idealizm przenika całą dziedzinę sztuki antycznej, nie wyłączając i tych dwu tematów.

Weźmy artystę, który za cel postawił sobie odtworzenie rybaka; ponieważ, zgodnie z tem, co powiedziałem wyżej, jest to artysta-realista, to postaci rybaka będzie on szukał, przedewszystkiem, w naturze. Ale natura nie daje mu rybaka poprostu lub nawet rybaka greckiego poprostu: daje mu rybaka Frynichosa lub Komiasa, t. j. postać, której rysy charakteryzują ją nie tylko jako rybaka, ale także jako Frynichosa i Komiasa. Tymczasem te ostatnie zaciekawiać mogą jedynie ich osobistych znajomych; pierwsze zaś ciekawe są dla wszystkich, ktokolwiek wogóle interesuje się typem rybaka. I oto artysta zapytuje sam siebie: co w tym zespole rysów, które widzę przed sobą, charakteryzuje przedstawiciela ich właśnie jako rybaka? w czem, innymi słowy, wyraża się idea rybaka? — i zgodnie z rozwiązaniem swem tego pytania tworzy swoją postać; cel jego polega na tem, aby zebrać, o ile można, wszelkie rysy, znamienne dla rybaka, jako tego, trafem spotkanego, osobnika. Umiejętność wydobywania owych rysów Grecy, rzecz prosta, posiadli nie odrazu; był czas, gdy, pragnąc stworzyć wizerunek rybaka, umieli oni jedynie odtwarzać człowieka poprostu (lub w najlepszym razie, człowieka z gminu) i, celem unaocznienia swego zamiaru artystycznego, dawali mu do rąk wędkę albo

rybę złowioną. Bądź co bądź, umiejętność tę Grecy zdobyli—i w niej, w umiejętności odróżniania cech gatunkowych i rodzajowych z jednej strony, od indywidualnych z drugiej—wyraża się niezbitcie charakter narodu-intelektualisty, narodu, który stworzył logikę i wogóle filozofję.

Oto istota idealizmu sztuki antycznej: polega ona, jak widzicie, na żądaniu, aby obraz odpowiadał idei przedmiotu odtwarzanego. Najwyższy idealizmu tego tryumf spotykamy w dziedzinie nadludzkiej, w dziedzinie bogów i bohaterów. Tu należy się Grekom nietylko już miejsce naczelne, ale jedyne, wśród wszystkich innych narodów świata. Wiele narodów czuło potrzebę odtwarzania swych bogów, przyczem rozumiano, że boskość dla artysty sprowadza się do nadczłowieczeństwa; ale, gdy wszystkie inne ludy pojmowały to nadczłowieczeństwo w znaczeniu monstrualności, Grecy jedni pojęli je w znaczeniu piękna. Piękno nadludzkie — jest to twór geniuszu greckiego; od niego i my nauczyliśmy się rozumieć je i odtwarzać. Nie na tem atoli kończy się rola wychowawcza sztuki antycznej w dziedzinie tutaj przez nas badanej—jest to jedna dopiero strona idealizmu antycznego, który w całości bywał nam potrzebny w rozmaitych okresach rozwoju naszej sztuki i będzie nam potrzebny, dopóki sztuka nasza będzie się rozwijała, t. j. miejmy nadzieję, zawsze. Idealizm ów wiąże się z pierwszą, uwydatnioną przez nas w sztuce antycznej cechą—z jej dążeniem do naturalności i wolności. W istocie, największą idealistką w znaczeniu, przyjętem przez nas, jest sama przyroda w dążeniu swem do wyodrębniania i wyosabniania gatunków; artysta antyczny jedynie uprzedza lub kontynuuje pracę przyrody, tworząc wedle tego samego prawa doboru, który i dla niej także jest obowiązujący...

Lecz jest to, bodaj, myśl zanadto skomplikowana i trudna; brak czasu nie pozwala nam zająć się nią tutaj. Nim, jednakże, rozstaniemy się ze sztuką, a jednocześnie przeto i z doniosłością kulturalną świata antycznego wogóle, pragnąłbym wskazać na pewien rys antycznego, tak zwanego *przemysłu artystycznego*, szczególnie ważnego i ciekawego dla naszej epoki, z uwagi na pokrewieństwo dążeń w rozwoju współczesnym tej dziedziny pracy ludzkiej.

Rysem tym jest *uduchowienie*. Dla człowieka starożytnego przedmioty użytku oraz narzędzia pracy są nietylko temi przedmiotami i narzędziami, ale zarazem są wciele niem lub uosobieniem sił, działających na nie, albo czynności, przez nie spełnianych. Mówiłem już, charakteryzując kolumnę grecką, że człowiek antyczny patrzył na nią, jako na wcielenie siły, działającej z dołu do góry i wspierającej budynek; wyrazem siły tej była lekka, lecz bardzo widoczna „nabrzmiałość“ (*ἐντασις*) kolumny, skutek której profil jej tworzy nie linię prostą, ale zlekka wypukłą. To samo zauważyć możemy wszędzie. Weźcie dzban starożytny (*hydria*): służy ku temu, aby go stawiać, tworzą go siły, wynikające z ziemi, ma przeto formę wydymanej z dołu bańki mydlanej; u góry jest on szerszy, niż u dołu. Żelazny odważnik, przeciwnie, zwiejsza się; w nim siła działa z góry w dół; nadano mu przeto formę wiszącego worka z wodą lub piaskiem; u dołu jest on szerszy, niż u góry. Weźcie pogrzebacz; jego zadaniem, że tak powiemy, jest rozgarniać węgle w piecu — zakończeniu jego nadano kształt palca ludzkiego. Weźcie stół — jego nogi mają kształt stopy zwierzęcej z pazurami, które mocno wpijają się w podłogę. Weźcie taran, którym podczas oblężenia kruszono ściany; jego praca sprawiała wrażenie bodzenia — i oto jego zakoń-

czenie przybiera kształt głowy baraniej. Wszystko to są, oczywiście, drobiazgi; ale w drobiazgach tych odbija się wielka idea metafizyczna — idea Woli wszechświatowej, którą rozwinąć miała dopiero filozofja czasów ostatnich.

Związły mój zarys kulturalnego znaczenia świata starożytnego dobiegł kresu; rozumie się, nie wypowiedziałem nawet dziesiątej części tego, co można było powiedzieć na ten temat, wszelako o wyczerpanie przedmiotu bynajmniej się nie kusilem. Pragnąłem przedstawić państwu jedynie przykłady i próby; jeżeli zrozumieliście ideę podstawową mego zarysu — że starożytność powinna dla nas być nie normą, lecz nasieniem — to pojmiecie snadnie i najważniejszy jej wniosek, mianowicie, że doniosłość kulturalna świata antycznego nigdy nie wygaśnie i łączność nasza z tym światem wzmacniać się będzie z biegiem stuleci coraz bardziej. Z nasienia tego weszła nasza kultura współczesna; w kulturze tej nie mamy ani jednej względnie ważnej idei, której pochodzenia organicznego od owego ziarna antycznego nie dałoby się w sposób zupełnie pogładowy udowodnić. Ziarnem tem zapładnialiśmy wielokroć i jeszcze zapładniać będziemy rozsadniki swej kultury, ocalając je od wyczerpania i zwyrodnienia, na podobieństwo tego, jak ulegającej zwyrodnieniu łożu winnej oraz innym roślinom przychodzimy z pomocą, dowożąc oryginalne nasiona i łoży.

I rzecz szczególna! Każde takie powzięcie ziarna antycznego przez organizm kultury nowożytnej, prowadziło do jej uszlachetnienia i rodziło utwory nieśmiertelne, służące z kolei za wzór dla potomnych — gdy tymczasem przyswajanie ziarn obcych nam kultur prowadziło jedynie do mnożenia tworów poronionych, niezdolnych do dalszego rozwoju. Jeszcze w epoce Goethego

przechodziliśmy arabomanję, której i sam on też uległ w swym „Dywanie zachodnio-wschodnim“; potem nastąpiła kolej hindomanji, której rozkwitem była filozofja Schopenhauera, nie cała, na szczęście, lecz część jej najbardziej jałowa, pesymizm, nieorganicznie skojarzony ze zdrowym, płodnym platonizmem; obecnie weszła w modę japońszczyzna, niosąca nam w posagu dziwactwa sztuki dekadenckiej i skazana na zniknięcie bez śladu, jeżeli pominąć nieszkodliwe, a nieistotne nabytki, jakimi z bogaciła naszą ornamentykę. Wszystko są to zjawiska osobliwej godne uwagi, potwierdzające pogląd biologiczny na dzieje kultury: wszak i gatunki zwierzęce uszlachetnia się w drodze krzyżowania nie z innymi gatunkami, jakkolwiekby były one doskonałe,—skrzyżowania takie wydają na świat jedynie bękartów, niezdolnych do rozplodu,—ale z wybitnymi jednostkami tego samego gatunku, z temi, w których cechy znamienne najwyższego dosięgły stopnia doskonałości.

Dlatego to należy trzymać otworem drzwi ku światu starożytnemu—przydać się nam może on i w dobie obecnej, i jeszcze bardziej w dobie przyszłej. Aby się to stało, nie jest bynajmniej koniecznem, by wszyscy członkowie danego społeczeństwa przechodzili przez system wychowania klasycznego—jeżeli kto w ten sposób pojął moje wykłady pierwsze, to się pomylił. Trzeba tylko, aby w każdym społeczeństwie był pewien odsetek ludzi o wykształceniu klasycznym, wśród tych zaś nieduża gromadka ludzi, którzyby całe życie swe poświęcili badaniom antycznosci i przystosowaniu jej do wymagań doby współczesnej. Ludzie ci zajęci będą, rzekłbym, dostarczaniem nasion; spożytkowywać te nasiona będzie ów szerszy krąg klasycznie wykształconych ludzi, aby następnie wymieniać ich owoce w stosunkach z ludźmi wy-

kształcenia realnego i zawodowego—na tem polegać powinna owa wymiana dóbr kulturalnych, o której wzmiankowałem wyżej. Jak widać z tego, społeczeństwu potrzebny jest nie jeden tylko typ szkoły klasycznej, ale kilka typów szkoły średniej, odpowiednio do komplikacji organizmu społecznego i różnorodności uzdolnień ludzkich; i samo przez się rozumie się, że, jako człowiek, roszczący prawo do kulturalności, na żaden z typów owych nie zapatruję się niechętnie. Niechęć, przytem niechęć nieubłaganą, żywię do tej tylko „szkoły jedynej“, która przez pewien czas nam zagrażała, przeciw owemu martwo urodzonemu płodowi awanturnictwa pedagogicznego, które wszelkie uzdolnienia radeby podporządkować wspólnemu dla wszystkich szablonowi.

* * *

Konsekwencja wymaga, ażebym, rozwinąwszy dwie części naszego programu, a mianowicie znaczenie 1) kształcące oraz 2) kulturalne świata starożytnego, przeszedł z kolei do części trzeciej i scharakteryzował znaczenie jej *naukowe*; innemi słowy, ażebym wyjaśnił państwu, na czem polega istota nauki o świecie antycznym, czyli, jak przyjęto ją nazywać, filologii klasycznej. Na rozwinięcie tej części trzeciej, niestety, pozostało nam zbyt mało czasu; pocieszam się myślą, że ci spośród was, którzy interesują się tą gałęzią wiedzy w sposób mniej lub więcej bezpośredni, będą mieli możność przesłuchania mego kursu uniwersyteckiego encyklopedji filologicznej, poświęconego temu właśnie zagadnieniu—pozostałym, gdyby się kto przedmiotem tym interesował, polecić mogę swe studjum „Filologja“, pomieszczone w Słowniku Encyklopedycznym Brockhousa. Na tem miejscu ograniczyć się muszę do zwięzłej charakterystyki przedmiotu, poświęconej głównie rozwinięciu trzeciej z owych

antytez, jakie ustaliliśmy na początku. Antyteza ta brzmiała tak: „Ogół przyzwyczał się do myśli, że filologia klasyczna jest nauką wzdłuż i wszerz zbadaną, nie pozostawiającą już pola dla żadnych ciekawych zagadnień pracy twórczej; znawcy zaś tej sprawy powiedzą wam, że teraz przedstawia się ona ciekawiej, niż kiedykolwiek, że cały dorobek pokoleń poprzednich był tylko pracą przygotowawczą, podwaliną, na której dziś dopiero zaczynamy budować prawdziwy gmach wiedzy naszej, że zagadnienia nowe, domagające się badań i rozwiązań, następczą się na każdym kroku naszej drogi naukowej“.

Istotnie, część pierwsza tej antytezy dokładnie wyraża opinię ogółu—a nietylko tak zw. „ogółu“, ale częstokroć także ludzi, stojących bliżej sprawy. Jeden z mych słuchaczy, człowiek zdolny i żywotny, rzucony zrzędzeniem losu na Wschód, roznamiętnił się do orientalistyki i z gorliwością neofity pisał, „że dzieje Wschodu są o wiele ciekawsze, niż dzieje Grecji, gdyż o wiele mniej są zbadane.“ Słowa te dały mi do myślenia: dzieje Wschodu dlatego mają być ciekawsze, że mniej są zbadane; a więc, skoro zostaną zbadane, to — przestaną być ciekawe? a więc zadanie badacza ma polegać na tem, ażeby nauki ciekawe zmieniać na nieciekawe? Warto się nad pytaniem tem zastanowić; istotnie, czemże jest dla nas nauka, na czem zasadzamy jej wartość? — mówię, oczywiście, nie o tak zw. nauce stosowanej, ale o nauce czystej, której część stanowi też i filologia klasyczna. Czyż w nauce mamy upatrywać jedynie wielką łami-główkę, na wzór owych zabawek dla dzieci i dorosłych, których zadaniem bywa interesować nas póty, póki nie znaleźliśmy właściwego rozwiązania? Albo też zawiera ona w sobie coś innego, coś bezwzględnie wartości-

wego, my zaś, jej przedstawiciele, pracujemy nie dla samej tylko satysfakcji własnej, aby rozproszyć nudę, ale i na pożytek ludzkości?

Odpowiedź ostatnia bardziej snadź godzi się z mniemaniem powszechnem; inaczej bo pocóżby utrzymywać wszechnice, akademje, biblioteki i żywić na koszt publiczny ludzi, których jedynem jest powołaniem badanie nauki i rozwiązywanie jej zadań. Skoro zaś nauka jest, sama przez się, rzeczą wartościową i ciekawą, to, oczywista, waga jej nie zmniejsza się, ale wzrasta w miarę postępu badań na jej polu; przysługuje mi tedy zupełne prawo powiedzenia swemu słuchaczowi: mylisz się — dzieje greckie o wiele są od dziejów wschodu ciekawsze, właśnie dla tego, że są one daleko bardziej zbadane. Ta praca czarna, której wyniki nie mają wartości same przez się, ale jedynie dzięki temu, że są przygotowaniem lub narzędziem dla wyników innych, rzeczywiście wartościowych—ta praca wstępna w filologii klasycznej w znacznym stopniu jest już dokonana; to stanowiło właśnie zadanie pokoleń minionych; za sumienne i bezinteresowne jego wykonanie należy się im wdzięczna od nas pamięć.

Spytacie, cóż to za praca wstępna? Odpowiem — przede wszystkim *gromadzenie pomników*. W filologii pomnik jest pierwiastkowym pracy naukowej żywiołem, jak w arytmetyce liczba, jak w historii naturalnej—osobnik, jak w fizyce zjawisko. Pomniki filologii klasycznej bywają różnego rodzaju: pomnikiem jest, przede wszystkim, sam kraj, na którego terenie rozegrały się dzieje starożytne, kraj, ujmowany zarówno w swym wyglądzie zewnętrznym, jak i w swych warunkach geologicznych, botanicznych, meteorologicznych i innych; pomnikiem jest tradycja ustna lub obyczaj, które dzięki nieprzerwa-

nej kolei pokoleń doszły do obecnych tego kraju mieszkańców; pomnikiem bywa bezpośredni wyrób ich rąk, ocalały, choćby w stanie nadwyrężonym, do czasów obecnych, a więc zwaliska jakiegoś gmachu, bądź posąg, bądź waza, bądź napis; pomnikiem, wreszcie, jest text tego lub owego pisarza, przechowany do naszych czasów choćby w późnym, średniowiecznym rękopisie. Rozróżniamy pomniki: geograficzne, etnologiczne, archeologiczne i filologiczne — w ścisłym tego słowa znaczeniu. Gromadzenie tych właśnie pomników stanowiło i stanowi pierwszą konieczność dla płodnej pracy filologicznej, wszelako nie samo tylko gromadzenie: w ciągu owych 1½ — 2 tysiącoleci, jakie dzielą nas od świata antycznego, uległy one poważnym zmianom (profil brzegów i łożyska rzek stały się inne, baśni ludowa, przekazywana z pokolenia na pokolenie, ulegała skażeniu; posąg lub napis dochowały się w postaci ułamkowej, texty autorów ucierpiały wskutek nieuctwa lub niewczesnego dowcipu przepisywaczy)—należy tedy, ile można, przywrócić je do postaci pierwotnej, poddać je tak zwanej *krytyce filologicznej*.

Wszystko to stanowi pracę wstępną; mówiłem już, że była ona głównym zadaniem pokoleń minionych, którym zawdzięczamy istniejące doskonałe zbiory, atlasy historyczne, tak zwane *corpora* napisów, płaskorzeźb, monet i t. d. Zbiory te dają nam możliwość przyjemnej i owocnej pracy na polu nauki, badając i oświetlając najciekawsze, najskrytsze strony życia świata starożytnego; niemniej wszakże nie można powiedzieć, ażeby praca, dotycząca gromadzenia pomników, była już ukończona—starczy jej jeszcze na długo. Wykopaliska w Grecji, Italji i t. d. nie przestają zbogacać naszej skarbnicy pomnikami szczególnie archeologicznymi. Sygnaturą os-

tatnich dziesięcioleci stają się nadspodziewane i niekiedy cudowne wprost zdobycze — papirusy egipskie z tekstami autorów, których uważano za zaginionych. Tak znaleziono traktat Arystotelesa o państwie ateńskim, śliczne scenki rodzajowe Herondasa, niektóre mowy Hyperidesa, współczesnika Demostenesa, ody i ballady Bacchylidesa, współzawodnika Pindara, i niedawno jeszcze — „Nomos“ Timotheusa, jedyne dla nas przedstawiciela tego zagadkowego rodzaju poezji lirycznej. Naturalnie, nie jest to bynajmniej wszystko — wierne piaski Egiptu zawierają wiele jeszcze skarbów; z każdym dniem możemy oczekiwać nowiny, że znaleziono jakąś perłę literatury antycznej, jakieś wiersze Sappho lub komedje Menandra... Ojcowie nasi uczucia tego nie znali — za ich czasów luki literatury antycznej uważano za coś ostatecznie i bezpowrotnie przesądzonego. Powtarzam: nigdy jeszcze filologja klasyczna nie była tak ciekawa, jak teraz.

Wszelako, żywotność jej polega, rzecz jasna, nie tylko na tem, że materiał jej stale zwiększa się wskutek nowych wykopalisk; rzeczą najważniejszą jest to, że, dzięki pracy pokoleń minionych, możemy dziś zwracać się do nauki naszej z pytaniami o wiele donioślejszemi, niż nasi poprzednicy. Dzięki dorobkowi poprzednich pokoleń — tak, o dorobku tym zawsze wspominać należy z uznaniem, gdyż była to robota, wielu wymagająca trudów i poświęcenia. Nasamprzód zbadano język narodów starożytnych w jego układzie gramatycznym i słownikowym, zbadano tak starannie i dokładnie, jak żaden inny język w świecie; w wyniku prac tych powstały rozległe podręczniki oraz słowniki... nie te, oczywiście, które znacie z kursu gimnazjalnego, ale niezmiernie rozległe dzieła, których materiał zaczerpnięto z całego ob-

szaru literatur antycznych; dość powiedzieć, że *Thesaurus linguae Graecae* Stefana (t. j. Etienne'a, filologa francuskiego w. XVII) w nowem wydaniu składa się z 9 olbrzymich tomów *in folio*, odpowiadający zaś temu *Thesaurus linguae Latinae*, nad którym pracują prawie całe Niemcy filologiczne, zapowiada się jeszcze pokazniej. W taki to sposób, badając dzieje jakiegokolwiek słowa, mamy możność przeniknąć w głąb duszy świata, starożytnego—wszak pamiętacie, panowie: język jest spowiedzią narodu.

Lecz te rzeczy, pono, niezbyt wiele mają dla was uroku; bądźmy tedy radzi, że, w znacznej przynajmniej mierze, ktoś inny już je wykonał. Innego rodzaju pracą, także niezmiernie doniosłą, były komentowane wydania autorów—znowu nie te, które znacie, ale inne, których celem było powiązanie łańcuchem ideowym albo siecią wszystkich pomników literatury antycznej między sobą, tudzież z odpowiedniami pomnikami archeologicznymi i innymi; dzięki tej pracy, każdy, mając jedno świadectwo, może szybko odnaleźć wszystkie pozostałe, o ile zaś to dogodne ułatwienie w odszukiwaniu materiałów sprzyja pracy naukowej, snadnie możecie sobie wystawić. Trzecim rodzajem pracy było ułożenie suchych lecz bardzo treściwych podręczników dla różnych gałęzi wiedzy filologicznej: historii politycznej, historii piśmiennictwa, mitologii, prawa, ustrojów państwowych i t. d.—przyczem dołączono do owych podręczników wszelkie przyczynki, pochodzące zarówno z literatury, jak z napisów oraz innych pomników.

Wszystko to, pospołu wzięte, stanowi ten fundament, o którym wyżej mówiłem, i na którym teraz dopiero budować zaczynamy gmach naszej nauki. Poniekąd, i fundament niezupełnie jest gotów; nowe wykopa-

liska wzmacniają go wciąż nowemi kwadrami, i tak będzie jeszcze długo; jednakowoż dziś jest on już dostatecznie mocny, aby dźwignąć na sobie rzeczony gmach. A co to za gmach, to łącno zrozumiecie, skoro powiem, że nie mamy jeszcze historii religii antycznej, nie mamy nawet mitologii w rozwoju genetycznym; nie mamy historii etyki antycznej i koncepcji świata; nie mamy historii umysłowej, społecznej ani nawet materialnej kultury ludów antycznych; nie mamy przemyślanej historii literatur antycznych; nie mamy historii zjawisk ekonomicznych i społecznych w ich głównych choćby czynnikach (historii rolnictwa, historii kapitalizmu) — i tak dalej, skoro wam powiem, że słynny Ihering na schyłku swego życia nosił się z myślą napisania historii prawa rzymskiego, w której zamierzał dać dzieło nieodzowne nie tylko dla pracownika, ale dla każdego człowieka światłego, i zadanie to pozostało niewykonane.

Dla każdego człowieka światłego, tak; nauka nasza zwraca się, istotnie, do całego świata ukształconego, bez różnicy specjalności; pozostaje z nim w tak zwanym *mutualizmie*, zapożyczając się z całego obszaru nauki. Przeciwnicy nasi częstokroć utrzymują, że nauka nasza nie polega sama na sobie, i uważają to za jej słabą stronę; ja zaś sądzę, że w słowach tych zawiera się najwyższa pochwała. Tak, nauka nasza nie wystarcza sama sobie. Ustawicznie zwracać się ona musi po rady i wskazówki do nauk innych, nawet we względnie szczupłym zakresie szkolnej lektury autorów,—jak miałem już sposobność nadmienić w wykładzie czwartym; wynika to stąd, że nauka w świecie starożytnym jest nauką o *świecie*. Jednoczy ona wszystkie nauki na gruncie zjawisk, tak samo, jak filologja jednoczy je na gruncie zasad. Matematyk, chemik, nawet lingwista, może całe życie swe

przeżyć w zamknięciu, wewnątrz tych czterech ścian, które otaczają wybraną przezeń specjalność; filolog uczynić tego nie może, jeśli chce być uczonym, nie zaś rzemieślnikiem. Wynikiem zaś tego ustawicznego współżycia z innymi naukami bywa szeroki widnokrąg, świadomość jedności powszechnego gmachu nauki i poszanowanie jego poszczególnych części...

Wymieniłem tu cały szereg zadań, które ma podjąć i rozwiązać filologja doby obecnej i najbliższej: historję religji antycznej, kultury umysłowej i t. d. A gdy i te zadania rozwiązane zostaną—może kto spytać—co wtenczas czynić wypadnie? Sądzę, że gdy czas ten nastąpi, sam on nowe pytania wysunie, o których obecnie naprózno by myśleć; wszak te zadania, które wyliczyłem przed chwilą, nie istniały przed stu laty. Jedno atoli zadanie zawsze stać będzie przed nami, jak^o stało dotychczas: zadanie spożytkowania skarbów świata antycznego zgodnie z potrzebami doby współczesnej, zadanie pośrednictwa między społeczeństwem naszym a starożytnością. Wszak nie dla siebie pracujemy, i nie dla samej tylko nauki naszej: nauka ta, poza ludzkością, dla której istnieje, i która ją tworzy, nie ma racji bytu. Pracujemy dla was, dla waszych rówieśników i potomków, słowem — dla społeczeństwa.

Nawet w tym wypadku—spytacie—gdy społeczeństwo nie chce nic wiedzieć ani o was, ani o waszej robocie?—Tak, panowie, nawet w tym wypadku. A zresztą, czy istotnie tak jest, i, o ile jest, dlaczego tak jest i z czyjej łaski — o tem parę słów w wykładzie następnym, ostatnim.

WYKŁAD VIII.

Rozprawy nasze wróciły do swego punktu wyjścia. Zaczęliśmy od ustalenia radykalnej sprzeczności między mniemaniem ogółu a zdaniem ludzi kompetentnych co do kształcącej, kulturalnej, tudzież naukowej doniosłości świata antycznego; już wtenczas dałem państwu do zrozumienia, że owo mniemanie ogółu, o ile wyraża się w świadomem lekceważeniu starożytności, nie może co do stopnia powagi iść w porównanie z tym szacunkiem nieświadomym, jaki żywi dla niej tenże ogół; z szacunkiem, który sprawia, że wpływ starożytności na pokolenia potomne trwa ustawicznie, w ciągu tylu wieków, po upadku świata antycznego.

Niemniej przecież owo lekceważenie świadome — dajmy na to, nie całego ogółu, ale, bądź co bądź, pokazanej jego części — jest faktem, i, jako fakt, domaga się wyjaśnienia. Na jakiej drodze należy tego wyjaśnienia szukać, o tem również nadmieniałem w pierwszych zaraz słowach, z jakimi do was się zwróciłem. „Możemy — powiedziałem — poddać analizie treść niezyczliwego wobec starożytności stosunku ogółu współczesnego, wyodrębnić rolę, jaką odegrał w nim szczyry, mimowolny

błąd, od tej roli, w której uznać należy przejaw świadomego fałszu“. Jednakowoż, zacząłem nie od owej części negatywnej, ale od pozytywnej. Wskazałem, na czym polega wartość starożytności kształcąca, kulturalna i naukowa. Jeżeli *Logos* był łaskaw na mnie i na was, jeśli sprawa przekonania, która nas tutaj zgromadziła, nie doznała porażki, — to wiecie teraz, że owo zdanie ludzi kompetentnych, o którym mówiłem wyżej, jest zdaniem słusznym, że więc niezgodne z niem mniemanie przeważnej części ogółu współczesnego może być tłumaczone bądź nieporozumieniem, bądź oszustwem. Aby jednak żadnej co do tego nie było wątpliwości, powołałam się na argumenty samodzielne i niezależne również i dla tej części negatywnej mojej rozprawy; przytoczywszy je, poczytam zadanie swe za wykonane.

„Albo oszustwo, albo nieporozumienie“... W istocie, i jedno i drugie jednakowo przeciwi się temu poczuciu prawdy, które hoduja w nas badania starożytności—pamiętacie, że stawiają nam one nie jedno, lecz dwa wymagania: 1) nie kłam i 2) nie popełniaj błędów—tam, oczywiście, kędy mamy możliwość ustrzeżenia się błędów, gdzie są ludzie i dane, wskazujące drogę prawdy. Wszelako, ocena moralna dwu tych uchybień przeciwko prawdzie jest różna. Przyjemnie bywa wskazać błędzącemu drogę prawdziwą, ale nie należy do przyjemności demaskowanie oszustów. Pozwólcie mi zacząć od tej części wtórej, nieprzyjemnej naszego zadania, aby z nią prędzej się załatwić.

Przedewszystkiem, pamiętać należy, że oszustwo to nie jest przyczyną pierwiastkową owej niechęci, o której mówię—przeciwnie, opiera się na niej. Oszustwo nie znalazłoby posłuchu, a więc nie miałoby powodzenia, gdyby nie trafiło do serc, z góry usposobionych do jego

przyjęcia; to, oczywista, nietylko nic go nie usprawiedliwia, ale i nie dowodzi jego nieszkodliwości. Nieporozumienie wytwarza jedynie pewną mgłę niejasności, którą mógłby jeszcze rozproszyć kaganiec prawdy; ale dym rozmyślnego fałszu zgęszcza ową mgłę i zmienia, w końcu, w ten nieprzenikniony tuman, który dusi nas i wtrąca w rozpacz. Dzieje wszelkich ruchów masowych obfitują w tego rodzaju przykłady. Rzecz zaczyna się od tego, że ktokolwiek, osoba, instytucja lub idea, traci popularność, niekiedy słusznie, niekiedy niesłusznie—i, oto, natychmiast zjawiają się ochotnicy, którzy, ażeby podnieść wpływ swój własny, piętrzą wszelakie banialuki o tem, co społeczeństwo wzięło na żąbki; u Rzymian nazywało się to: *crescere ex aliquo*. Powodzenie obmowy takiej było pewne; wszelkie brednie znajdują wiarę, i biada temu nierozsądnemu gorliwcowi prawdy, które-muby do głowy przyszło brednie te obalać.

Lecz, spytacie, gdzie tu, w danym wypadku, są oszuści i oszustwo? Odpowiem: tam, gdzie na arenę występują samozwańczy kierownicy opinii publicznej, na łamach dzienników, na kartach czasopism, wogóle, w publicystyce współczesnej. Lecz jakże ich tam wysledzić? Zabrać wszystkie kłamstwa i oszustwa, rozpowszechnione w organach prasy? To zamało: należy je zde-maskować, należy wskazać, jak w jednym wypadku przemilcza ona fakty, w drugim—złośliwie je komentuje, w trzecim—fałszuje, przeinacza, zmyśla... ale skądże na to wszystko weźmiemy czas, panowie? A tymczasem, obowiązkiem jest moim zwrócić uwagę waszą na to oszustwo, ażeby zaszcześcić wam uzasadnioną nieufność wobec tych niesumiennych opinii waszej kierowników. Na szczęście, prowadzi ku temu inna jeszcze droga, krótsza a niemniej przekonywująca: wskażę wam oszustwo tam,

gdzie, wedle wszelkich poszlak wewnętrznych i zewnętrznych, najmniej należałoby się go spodziewać, a następnie pozostawię wam samym wysnucie właściwego wniosku: „Jeśli zdarza się to z drzewem zielonym, to cóż się stanie z uschłym?“ Zrozumiecie, że z tego stanowiska słowa moje będą w takiej samej mierze hołdem szacunku dla osoby, którą wam wymienię, w jakiej i zarzutem: wymieniając go, mianowicie, przed wszystkimi innymi, wyróżniam go, jako drzewo zielone. A teraz pozwólcie przeczytać ustęp, który mam na myśli. Brzmi on, jak następuje...*)

Rozumiecie, panowie, że przykład, przytoczony przezemnie jest tylko próbką, tylko flakonem z owej beczki oszczerstw, któremi zalewa nas publicystyka współczesna. Ciekawy jest on dzięki temu, po-pierwsze, że na etykiecie nosi dość znane i szanowne nazwisko; powtórę zaś, dzięki temu, że tutaj udało się oszczerstwo schwytać niejako na gorącym uczynku. Nie wszędzie przychodzi to z równą łatwością. Wszelako, proszę, abyście o jednej pamiętali rzeczy: gdy czytać będziecie w pismach, lub gdziekolwiek indziej, oskarżenia przeciw starożytności w jej znaczeniu kształcącem, kulturalnym albo naukowym,—bądźcie pewni, że was oszukują i należy, zwłaszcza, pamiętać o tem tam, gdzie autor nie ma nawet tyle odwagi, aby wystąpić imiennie i tchórzliwie chowa się pod anonimem lub pseudonimem.

Lecz dość już o oszustwie; przejdziemy do drugiego źródła niechęci ogółu wobec świata starożytnego, do źródła mniej nieprzyjemnego: do nieporozumienia. Tutaj rozróżnić należy świat starożytny, jako przedmiot kształ-

*) Przykład, jako pozbawiony znaczenia poza Rosją, w wydaniu polskim pomijamy.

cący, i świat starożytny, jako pierwiastek kultury—o trzecim, naukowym znaczeniu starożytności mówić tu nie mamy potrzeby. Wobec rozpowszechnionej w dzisiejszem społeczeństwie skłonności do żartów, ma ona za swoje i w tej trzeciej również postaci; mówiąc atoli poważnie, żaden człowiek myślący nie będzie kwestjonował prawa do bytu nauki o świecie antycznym, narówni z sanskrytologją, egiptologją i innemi, równie nieszkodliwemi, naukami. Zresztą, i o stronie drugiej mówić niema potrzeby; godło nasze: „nie norma lecz nasienie“ wyjaśnia dostatecznie, na czem polega w tym względzie nieporozumienie. Zatrzymamy się przeto na stronie pierwszej, a mianowicie na uprzedzeniu społeczeństwa przeciwko antyczności szkolnej. Stawia się jej zarzut, nasamprzód, że jest ona zbędna; po-wtóre że jest trudna; do tych dwu zarzutów niektórzy dołączają trzeci: antyczność, powiadają, służy prądom wstecznym. Wiązą się z tem okrzyki: obskurantyzm klasyczny, obroza klasyczna i t. d. Zostawimy je na sam koniec: naprzód praca, potem zabawa.

Charakter rzeczowy ma zarzut pierwszy: antyczność szkolna jest zbędna. Przytoczyłem go tutaj, rzecz jasna, nie po to, aby go zwalczać; do czego służy nam starożytność szkolna, to starałem się już wyjaśnić, o ile czas pozwalał, w pierwszych czterech wykładach. Tu inne mam przed sobą zadanie: poddać rozbiorowi opinię publiczną, wskazać, jak mogło i jak musiało powstać uprzedzenie przeciwko światu antycznemu. W danym wypadku sprawa przedstawia się jasno: człowiek niekompetentny, oceniając wartość wiedzy, staje zazwyczaj na stanowisku ciasno-uitylitarnym, uzależniając wartość wiedzy od bezpośredniej zastosowalności jej w życiu i w pracy; im możność zastosowania bywa pośredniejsza, tem trudniej bywa mu wartość tę ocenić. Weźmy dla

przykładu, gotowe ubranie — tu nawet dzikus zrozumie, że jest to rzecz pożyteczna, gdyż chroni od upału i chłodu. Pokażcie dzikusowi temu maszynę do szycia—rozłoży on ręce, nie rozumiejąc, do czego taka sztuka przydać się może; wszelako, można będzie pogładowo mu wykazać, jak zapomocą tej sztuki robi się ubranie, — wtenczas, nic nie rozumiejąc, uzna on pożytek maszyny. Jednakowoż owe maszyny do szycia, z kolei, musi ktoś gdzieś, wyrabiać: wyrabiają je właściwe po temu zakłady; w zakładach tych, przyogłuszającym huku maszyn, przyrządza się pręty, koła zębate, szruby, mutry i t. d.; spojrzmy na którąkolwiek z tych maszyn—tutaj już człowiek bez wykształcenia technicznego nie zdoła pojąć, co za pożytek stąd być może. To samo i tutaj. Pracę bezpośrednio dla społeczeństwa pożyteczną wykonywa umysł, ta—w naszym wypadku—maszyna do szycia. Wszelako i umysł należy jakoś wytwarzać i kształcić ku temu, aby zdolen był pożytecznie pracować; jedną z takich maszyn kształcących jest właśnie antyczność szkolna. Lecz pojąć to może jedynie człowiek, wyposażony we właściwą wiedzę techniczną; kto wiedzy tej nie posiada, ten zawsze gotów będzie orzec, że studjowanie świata starożytnego jest zbędną stratą czasu i mozołu.

I mozołu... tak, wyraz ten przypomina nam o drugim zarzucie, czynionym starożytności szkolnej. Tutaj nieporozumienie tkwi, rzecz prosta, nie w samym fakcie; starożytność szkolna jest *trudna* jeśli zgłębiać ją sumiennie, niema dwu zdań co do tego. Nieporozumienie zawiera się we wniosku, jaki z faktu tego się wysnuwa. Jest ona trudna, powiadają, a więc precz z nią! Jest ona trudna, odpowiem na to, i to jest właśnie argumentem jeszcze jednym, na korzyść jej przemawiającym. Proszę was, panowie, abyście ze szczególną uwagą punkt ten

potraktowali, tu więcej, niż gdziekolwiek indziej, zmuszony będę wspierać się na kodexie honoru myśliciela. Wypadnie mi przestrzec was przed zbytciem przejęciem się pewnem bardzo szlachetnem i miłym uczuciem—mianowicie, uczuciem humanitarności. Oddawna wyczuwam już jeden z waszej strony wyrzut przeciw temu wszystkiemu, com mówił wam w swych pierwszych wykładach, — wyrzut ten brzmi tak: „Gdy wstępowaliśmy do klasy pierwszej, było nas pięćdziesięciu, skończyło zaś tylko trzydziestu. Reszta nie mogła sprostać kursowi gimnazjalnemu, przyczem dla większości kamieniem obrazy stały się języki starożytne“. Stąd łatwo zrozumieć ich gorączkę przeciw językom starożytnym, ich, ich rodziców i blizkich, a w imię uczuć koleżeństwa, i — waszą.

Wyrzut ten mógłbym bardzo łatwo obejść. Gdy w owej komisji, powołanej do reformy szkoły średniej, o której wyżej już wzmiankowałem, omawiano sprawę „wykolejeńców“, ludzie, zbliżka tę sprawę znający, przytoczyli dane statystyczne dla obu typów naczelných szkoły średniej, przyczem odsetek wykolejeńców i w gimnazjach i w szkołach realnych okazał się równy—mianowicie wynosił 40%. Już to jedno dowodzi, że winowajcami „wykolejenia“ bywają nie języki starożytne, lecz coś innego, coś, co jest wspólne obu typom szkoły średniej; co? to mogę wam wyjawić natychmiast: *prawo doboru*. Wówczas atoli myśl komisji przybrała inny kierunek; przeważna część jej stała się organem powszechnego przeciw szkole klasycznej oburzenia; pamiętam słowa, wyrzeczone w szczytnem uniesieniu przez pewnego, znanego ze swej humanitarności, działacza na polu pedagogji: „Skoro szkoła przyjmuje stu uczniów, to obowiązana jest również stu uczniom zapewnić matury“...

Nie zamierzam pomijać zarzutu co do trudności,

stawionego nauce języków starożytnych; mówiłem już, że trudność owa stanowi dodatkową dla nich rekomendację. Proszę o skupienie uwagi na tem, co rozumiem przez *znaczenie socjologiczne szkoły*. Jak najzwężlej wyłożę tu jego schemat.

Organizacja społeczeństwa dzisiejszego jest, rzecz jasna, wysoce jeszcze niedoskonała; jedną z przyczyn głównych owej niedoskonałości polega na tem, że wciąż jeszcze zbyt wielu w niem znajduje się darmozjadów, t. j. ludzi zdolnych do pracy, ale mimo to, dążących ku temu, aby żyć cudzym kosztem. Ten typ, jednakowoż, skazujemy na zupełną zagładę i wymagamy, aby każdy grosz w kieszeni obywatela był groszem zapracowanym; ideałem naszym jest armja pracy. W każdej atoli armji mamy szeregowców i oficerów, rangi niższe i wyższe, granice między nimi nie są zbyt ostre nawet w armji wojskowej, w armji zaś pracy dobitnej granicy wogóle nie bywa, mimo to, jednak, można i należy i tutaj rozróżnić dół i górę piramidy społecznej. Kimże są tutaj ci oficerowie? Oczywiście, nie są to sami tylko urzędnicy, ale każdy, kto więcej rozkazuje, niż ulega, kto służy społeczeństwu pracą umysłową raczej, niż fizyczną, i przytem pracą umysłową o większej, nie zaś o mniejszej wartości: dyrektorzy i majstrowie zakładów fabrycznych, zarządzający przedsiębiorstw handlowych, właściciele ziemscy, lekarze, adwokaci, artyści i t. d.—w rozmaitych, zresztą, czasach rozmaicie przedstawiał się skład owej „elity“ społecznej. Członkowie elity korzystają w normalnych warunkach z większego, niż szeregowcy, dostatku; zamieszkują schludne, jasne domy, nie zaś pieczary, suteryny i przytułki noclegowe. Jakąż drogą dochodzą ludzie do owych stanowisk oficerskich? Tutaj występuje właśnie znamienna między epokami różnica. Probiierzem, wyróżniającym

kandydata do rangi oficerskiej od kandydata do szeregu, bywał stale cenzus; ale cenzus ten bywał w różnych epokach różny. Probierzem pierwotnym był prawdopodobnie cenzus grubej siły fizycznej; w epokach kulturalnych widzimy zrazu cenzus pochodzenia — stanowiska szczytowe w społeczeństwie przechodzą dziedzicznie z ojca szlchetnego ku synowi szlchetnemu. Następnie cenzus pochodzenia ustępuje pola cenzusowi majątkowemu albo też krzyżuje się z nim; w dobie obecnej znaczenie górujące zdobywa sobie cenzus wykształcenia, i do niego, zapewne, należeć będzie przyszłość. Kandydatami na oficerów w armji pracy jesteście wy, maturzyści szkoły średniej.

A teraz, panowie, chciałbym wywołać przed wami widmo—widmo groźne, narzutliwe, i, niestety, aż nazbyt rzeczywiste. Tem widmem jest młodzieniec w waszym wieku; wszelako, miast czystej bluzy, ma na sobie brudne, cuchnące łachmany, na głowie zaś, miast waszej schludnej czapki, nosi wyświchtany kapelus; na twarzy jego maluje się piętno wyrzeczeń i zdrożności, idących w parze z życiem „na dnie“ piramidy społecznej. Zapoznacie się nawzajem ze sobą: „Ja—powiadacie—jestem, z łaski bożej, kandydatem na oficera“; „a ja—odpowiada widmo—jestem, z dopustu bożego, proletariuszem“—poczem, mierząc was złośliwym spojrzeniem, pyta: „Dlaczegoż to, paniczu, ty będziesz oficerem, a ja nie?“ Na pytanie to możliwe są dwie odpowiedzi, jedna—nikczemna, druga—bardzo słuszna. Pierwsza brzmi tak: „Dlatego, że ojciec mój jest człowiekiem względnie zamożnym, który płacił za mnie w ciągu lat siedmiu czy ośmiu pod rząd czesne w szkole średniej, zapewniając mi w tymże okresie czas wolny dla zajęć szkolnych, twój zaś ojciec—jeśli masz ojca—jest człkiem ubogim, który żywił cię i wychował

za groszowe zarobki, jednocześnie wyzyskując twą pracę". Tak, w odpowiedzi tej będzie, niestety, spora doza prawdy: sądzę wszakże, że w każdym z was zadrga od niej sumienie. Odpowiedź druga, wolna od zarzutu, brzmi tak: „Dlatego, że pokonałem taki obszar pracy umysłowej, jakiej tybyś nie sprostął; pomyśl jeno: pięćdziesięciu nas wstąpiło do klasy pierwszej, a skończyło tylko trzydziestu“.

A teraz zapytuję! z którą z dwu tych odpowiedzi wiąże się idea szkoły łatwej, która tyluż uczni obdarza maturą, ilu przyjęła? Oczywiście, nie z drugą, tylko z pierwszą, t. j. z taką, której wyrzec nawet nie będziecie mieli odwagi, — przez gardłoby wam nie przeszła. Wyobraźcie sobie teraz, że owa idea szkoły łatwej stała się rzeczywistością; napis „pilność i zdolności“ ostatecznie został zerwany z drzwi szkolnych; zastąpił go napis inny: „Prosimy — matura dla wszystkich zapewniona“. Jakiż stąd skutek? Tak, prosimy! szkoła może przyjąć tylko pięćdziesięciu, a zgłaszających się jest pięciuset. Albo też myślicie, że tylu kandydatów nie będzie? Ale przecież już dzisiaj, gdy trudność szkoły nie jednego odstrasza, kandydatów bywa dwakroć lub trzykroć więcej, niż miejsc; cóż będzie wtenczas, gdy łatwość kursu i pewność matury staną się przynętą dodatkową? Wszak każdy ojciec zapragnie widzieć syna na stanowisku oficerskiem. Nie, z pewnością, kandydatów zgłosi się co najmniej pięciuset; jakże wybrać z pośród nich pięćdziesięciu szczęśliwców? Jeden chyba pozostanie środek — odpowiednio podwyższyć wpisowe... t. j. utrwalić i uprawnić cenzus majątkowy, najszkodliwszy i najnikczemniejszy ze wszystkich, zapewniwszy mu, ku uwieńczeniu nikczemności, możność maskowania się cenzusem wykształceniowym. Drugim środkiem byłyby surowy egza-

min wstępny, t j. przeniesienie walki i „wykolejenia“ z wieku szkolnego do wieku dzieciennego, przyczem wbrew przyrodzie i naprzekór rozumowi po trudnem aż do znużenia dzieciństwie następowałoby łatwe pacholeństwo. Nie, z pewnością: ani jeden ani drugi środek nie może być użyty; zastosowanie znajdzie, jeśli chodzi o stosunki rosyjskie, środek trzeci, tem bardziej, że ma on w państwie Rosyjskiem trwały fundament dziejowy: protekcja albo łapówka. Będzie to również swego rodzaju dobór, ale już nie dobór naturalny, wiodący ku udoskonaleniu, ale korupcyjny, wiodący ku degeneracji. Niedługi, zresztą, bywa okres jego panowania: koniec kładzie mu zazwyczaj owo widmo, które już wywoływałem przed wami, a o którego istnieniu nie godzi się zapominać. Przykład wieku XVIII we Francji jest niezmiernie wymowny: jeżeli klasa uprzywilejowana zechce usunąć lub pomniejszyć tę sumę pracy, która sama jedna tylko usprawiedliwić może jej przywileje, to klasa ta będzie zmieciana przez rewolucję. Na miły Bóg: nie żądajcie i nie wprowadzajcie szkoły łatwej; szkoła łatwa—to zbrodnia społeczna.

I dlatego to nie szczędziłem wam przestróg, jakkolwiek było to rzeczą bolesną, przed zbyt niemię przejmowaniem się uczuciem humanitarności i współczucia wobec kolegów-wykolejeńców; humanitarność taka jest humanitarnością krótkowzroczną, kastową, burżuazyjną. Żałujecie tych kolegów, którzy, wstąpiwszy wraz z wami do gimnazjum, wskutek braku pilności albo uzdolnień, nie kończą go wespół z wami; i ja żałuję ich także, ale jeszcze bardziej żal mi tych rówieśników waszych, którzy, mimo zamiłowania do pracy i zdolności, wskutek warunków zewnętrznych pozostali poza drzwiami szkoły. Ich klęska jest daleko bardziej przykra, niżli wykolejenie

tamtych, gdyż od niej cierpi samo społeczeństwo, gdy tymczasem wykolejenie tamtych odbija się ujemnie tylko na nich samych. Niepowodzenie zdolnych to — hamulec postępu; niepowodzenie niezdolnych to — czynnik postępu.

Idealem przeto organizacji szkolnej będzie organizacja taka, przy której niepowodzenia uczniów pracowitych i zdolnych będą wyłączone, choćby nawet wypadło w tym celu powiększyć odsetek niepowodzeń uczniów niedbałych i niezdolnych; ideał ten da się osiągnąć, jak wogóle każdy ideał, w drodze działania obu potężnych dźwigni postępu: różnicowania i całkowania. Zasada różnicowania wymaga jak największego urozmaicenia typów szkoły średniej: mamy szkoły klasyczne, realne, zawodowe różnych kategorii — i doskonale: im więcej będzie owych typów, tem więcej widoków, że każdy chłopiec zdolny znajdzie ten, który odpowie jego zdolnościom. Zasada całkowania wymaga zjednoczenia wszystkich typów szkół niższych, średnich i wyższych w jednym organizmie, w jednym drzewie majestatycznym. Korzeniami tego drzewa będą szkoły niższe, miejskie i wiejskie; głęboko sięgając w lud, powinny one wyszukiwać chłopców, zdolnych do pracy umysłowej, i doprowadzać ich, w zależności od ich uzdolnień, do pnia, do konarów i korony drzewa. Szkoła taka będzie szkołą naprawdę demokratyczną, czego o szkole dotychczasowej powiedzieć jeszcze nie można, o planowanej zaś szkole łatwej nigdyby nie można powiedzieć. Szkoła łatwa jest to szkoła dla paniczów, jakieś niedorzeczne i upokarzające odrodzenie prawa pańszczyźnianego na podłożu kapitalistycznym.

Gdy zbliżymy się do tego ideału, który wam tutaj przedstawiam, wówczas sprawa „wykolejeńców“ znajdzie właściwe, choć może i niezupełnie zadowalające nas, roz-

strzygnięcie. Nie możesz dać sobie rady w szkole klasycznej? Spróbuj szczęścia w realnej. Nie może cię zadowolić realna? Przechodź do klasycznej. Nie znajdujesz dla się miejsca ani tu, ani tam? Dobierz sobie do smaku szkołę zawodową. Zejdą ci na tych poszukiwaniach rok lub dwa lata czasu: cóż począć? Miej żal sam do siebie, albo do swych rodziców, że nie znaleźli odrazu tej szkoły, dla której jesteś odpowiedni. A może szkoły takiej wogóle nie-ema? Może niezdolny jesteś do pracy umysłowej? W takim razie imaj się rzemiosła, wstąp, jako majtek, do służby okrętowej, wracaj do roli; nie będziesz oficerem, będziesz szeregowym w armji pracy. Nie jesteś zdolny również do pracy fizycznej? Jesteś wątły, chorowity, kaleka — albo, być może, beznadziejnie gnuśny i leniwy? Wtenczas, nieboraku... boję się powiedzieć, co wtenczas, ale rozumiecie sami, jak, zamiast mnie, odpowie w tym wypadku prawo doboru: „Wtenczas—giń!..“

Czy powinniśmy, czy możemy z tem prawem się godzić?

Poruszyliśmy tutaj, panowie, pytanie wielkiej wagi, a czasu pozostało nam niewiele, mamy zaś do omówienia jeszcze jeden, czyniony światu antycznemu, zarzut, mianowicie, że studja nad nim sprzyjają wsteczniectwu. Może, jednakowoż, zwolnicie mię od omawiania tej sprawy i dowodzenia, że antyczność, to źródło wszelkich idei wyzwolęńczych, któremi żyje nasza cywilizacja, żadną miarą nie może uchodzić za reakcyjną. Sądzę, że udowodniłem to w zupełności już w wykładach poprzednich; czy dużo znaleźliście w nich pierwiastków reakcyjnych?—Ale, spytacie, skąd zrodzić się mogło podobne mniemanie? Przedewszystkiem, sądzą, jakiś urzędnik, nie widzący świata z poza swego stołu zielonego, mógł po-wziąć genialny pomysł, że za pomocą perfectów i supi-

nów można przeciwdziałać rewolucyjnym dążnościom społeczeństwa; wszak, podobnież w wiekach średnich, gdy rację bytu nauk widziano w ich oddziaływaniu religijno-moralnem, jako zasługę poczytywano arytmetyce, że odwraca umysły od pokus grzesznych. Następnie zaś armja zabiegliwych dziennikarzy, zatrwożywszy się o liberalizm swych czytelników przyszłych, jęła oskarżać o wstecznicstwo bogu ducha winną starożytność. Która z tych dwu stron była mędrsza, nie wiem; lecz słuszność, bodaj, miał Cycero, gdy w podobnym wypadku, powiedział: „Jeśli, wedle znanego przysłowia, najmędrszym człowiekiem bywa ten, kto sam potrafi wymyśleć to, co trzeba, najbliższy zaś ku niemu mądrością bywa ten, kto słucha mądrych rad innego—to z przeciwną właściwością rzecz się ma odwrotnie: mniej głupi bywa ten, kto nic mądrego wymyśleć nie potrafi, od tego, kto pochwala głupstwo, zmyślane przez innego“. Że zaś w danym wypadku, rzeczywiście, mowa jest o przymiocie przeciwnym mądrości, to możecie wywnioskować z tego, że posądzenia klasycyzmu o wstecznicstwo najczęściej słyszeć się dają w Rosji; sądzą, że gdyby perfecta i supina istotnie posiadały tę cudotwórczą moc konserwatyzmu, o której myślą owi domorośli psychologowie, to dowcipny Zachód z pewnością nie czekałby na nich z dokonaniem tego odkrycia.

A teraz pozwólcie złożyć całą tę nedorzecznosc *ad acta* i wrócić do ciekawej i ważnej kwestji, przed chwilą poruszonej.

Mówiliśmy o znaczeniu socjologicznem szkoły średniej wogóle i szkoły klasycznej w szczególności; znaczenie to polegało, jak widzieliśmy, na doborze kandydatów na oficerów armji pracy, t. j. na doborze jednostek, zdolnych do pracy umysłowej, z pośród wszystkich

powołanych lub zgłaszających się. Dlatego szkoła być musi mniej lub więcej trudna; szkoła łatwa każe domniemywać się i pracy łatwej; pracę zaś łatwą wynajdzie ten, kto przedtem wynajdzie zimny ogień lub ciepły śnieg: praca, o ile jest pracą, nigdy nie bywa łatwa. Napadano na mnie za tę rolę socjologiczną, którą, pono, szkole zarzucam: a więc, — pytano, — szkoła, wedle zdania pańskiego, powinna być sitem? Nie mam nic przeciwko temu, ażeby żartownisie przedstawiali moją szkołę pod symboliczną postacią sita: żądam, wszakże, ażeby to sito podnieśli do godności symbolów całego także życia, całej przyrody. Wszędzie, gdziekolwiek życie istnieje, toczy się o nie walka, przyczem organizmy zdolne do życia zwyciężają, niezdolne do życia — wymierają; szkoła, jeśli ma być szkołą żywą, nie może uchylać się od powszechnego prawa życia. Wszelako protestuję przeciwko myśli, abym narzucal szkole to zadanie, jako takie, które ma ona wypełniać bezpośrednio i świadomie. Nie, panowie; myśl ta wynika z niepojmowania owej *heterogenji celów*, o której mówiłem wam w pierwszym swym wykładzie i która występuje wszędzie, gdziekolwiek działa prawo doboru, a polega, jak pamiętacie, na niezgodności celu świadomego i bezpośredniego z celem nieświadomym i ubocznym. Świadomie i bezpośrednio szkoła dążyć powinna tylko do jednego — do kształcenia swych wychowañców; o innych celach nie ma potrzeby myśleć. Ale przez to samo właśnie, prowadząc wychowañców swych ku pewnemu poziomowi wykształcenia i, wyłączając tych, dla których ów poziom jest niedostępny, przez to samo, nie spostrzegając się, służy celom doboru. I biada jej, skoro, uświadomiwszy sobie to swoje mimowolne, uboczne powołanie, wpadnie na pomysł wyrzec się go i odpowiednio zmienić swój prosty cel kształ-

cały: szkoła taka będzie zmieciona z areny przez szkołę inną, poważniej traktującą swe obowiązki. Tak, mamy przed sobą ostry, niepokonany dylemat: szkoła będzie albo narzędziem doboru, albo jego ofiarą.

Ale cóż, koniec końcem, robić będziemy z naszym „wykolejencem”? Próbowaliśmy umieścić go w rozmaitych szkołach, wreszcie skierowaliśmy go do rzemiosła, wszędzie okazał się niezdolny. Czyliż podpiszemy nań surowy wyrok prawa doboru, wyrok, który głosi: „giń”?

Nie; prawo to wymaga uzupełnienia. Na całym obszarze żyjącego świata panuje walka o byt i skutek jej — zwycięstwo zdolnych do życia, dobór naturalny; wszelako, w społeczeństwie ludzkim prawo to krzyżuje się z zasadą inną, z doniosłą i potężną zasadą miłości. Nie jest to, rzecz prosta, wyjątek—wyjątku prawo doboru nie zna — ale rozwój najwyższy: miłość zstąpiła na ziemię nie po to, aby prawo nasze pogwałcić, ale po to, aby je wypełnić. Prawo doboru prowadzi ludzkość drogą udoskonalenia; udoskonalenie zaś bywa nietylko fizyczne i umysłowe, ale i moralne. Jak w drgającym ze wzmagającą się szybkością pręcie, po przekroczeniu pewnego kresu szybkości, rodzi się nowa siła, i pręt poczyna świecić,—tak również i w społeczeństwie ludzkim, z chwilą osiągnięcia pewnego stopnia postępu kulturalnego zapala się coś nowego i cudownego:—prawo moralne, nakazujące człowiekowi kochać swego bliźniego, padającego nie spychać w przepaść, aby jemu samemu było luźniej, lecz, przeciwnie, podać mu dłoń pomocy, podzielić się z nim swoim nadmiarem. W zaraniu życia kulturalnego ludzie mogli zabijać starców, do pracy fizycznej niezdolnych, widząc w nich jedynie ciężar niepotrzebny—my, ludzie kulturalni, dzielimy się ze swymi starcami chlebem, ciężko zarobionym, ponieważ ich kochamy.

I gdy nam mówią: „Poco to robicie? Co upada, to należy popchnąć w zagładę, aby osiągnąć wyższy stopień fizycznej i umysłowej doskonałości; czyniąc inaczej, skazujecie siebie na zwyrodnienie“! — odpowiadamy: „Nie! nie chcemy takiej fizycznej i umysłowej doskonałości, którą okupuje się ceną zwyrodnienia moralnego“. Tak samo postępować też będziemy z naszymi wykolejeńcami; nie będziemy ich tępili, ale zatroszczymy się o nich. Budujemy szpitale dla wykolejeńców życia fizycznego—chorych; schroniska dla wykolejeńców życia umysłowego—idiotów i obłąkanych; więzienia dla wykolejeńców, moralnych—przestępców; dbamy o to, aby tam życie płynęło im znośnie. W ten sposób wewnątrz części głównej społeczeństwa, opartego na układzie pracy, wegetuje mniej lub więcej znaczna liczba ludzi, nieuczestniczących w pracy ogólnej, ludzi, których istnienie usprawiedliwia i normuje system dobroczynności; są to—taborzy armji pracy. Dzielimy się z nimi swym nadmiarem, ale nic ponadto: niepodobna pozwolić, aby soki życiowe zdrowych, zdolnych do pracy organizmów szły na żywienie wykolejeńców—wtenczas, istotnie, nastąpiłoby to zwyrodnienie, którem nas chcą zastraszyć. Musimy mniej lub więcej zręcznie lawirować między dwoma zwyrodnieniami—zwyrodnieniem moralnem przy zbyt bezwzględnem stosowaniu prawa walki o byt i lekceważeniu prawa miłości, a zwyrodnieniem fizycznym i umysłowem przy nadmiernem hołdowaniu temu ostatniemu prawu.

Teraz odpowiedź nasza jest gotowa. Nie podpiszemy tego srogiego wyroku „giń“, który prawo doboru wydało na naszego „wykolejeńca“; powiemy mu: idź do taboru; tam otrzymasz możność mniej lub więcej znośnego wegetowania, ale, oczywiście, nic ponadto. Nie wiele jest w tem pocieszającego: cóż począć? Mimo najlepszych

chęci, nie jesteśmy w możności przemóc ciemnych stron naszego życia. Wystarczy, jeśli uda się nam w bliższej lub dalszej przyszłości urzeczywistnić ten ideał, o którym tu jest mowa, ideał rozumnej organizacji szkolnej przy konsekwentnem uwzględnieniu zarówno zasady różnicowania, jak i zasady całkowania; ideał, zapewniający wszystkim zdolnym i miłującym pracę ludziom odpowiednie ich uzdolnieniom stanowiska w armji pracy; będzie to ogromnym już postępem w porównaniu z tem, co się dzieje, i co się dzieło ongi.

Postępem, tak; słowo to stanowi prawdziwy akord końcowy w tej symfonji uczuć i myśli, jaką pragnąłem w was obudzić. Postęp jest hasłem tej kultury, która ma korzeń swój w świecie starożytnym; do niego sprowadza się cała owa gra idei, które przekazała nam starożytność, lub też które poddała nam w czasie naszego półtoratysiącioletniego z nią współżycia; postępowi służy też i szkoła, mająca za ośrodek świat antyczny, nie tylko wprost, jako rozsadnik idei postępowych, ale i ubocznie, jako narzędzie doboru socjologicznego. Długo, bardzo długo przedstawicielem idei postępowych był tylko Zachód, który sam wchłonał antyczność, jako naczelną siłę popędową swej kultury. Na Wschodzie panowało i panuje życie osob'liwe—życie także, niewątpliwie, kulturalne, ale oparte na przeświadczeniu co do konieczności podobieństwa dnia jutrzejszego z dzisiejszym i wczorajszym. Zdumiewające sprawia wrażenie w porównaniu z wiecznie niespokojną, wiecznie miotającą się myślą Zachodu, ów majestatyczny spokój ludów Wschodnich, owo założenie podświadome, że wszystko, cokolwiek było do osiągnięcia, zostało już osiągnięte, że dążyć dalej niema poco, że dążenie wszelkie jest rzeczą nierozumną, grzeszną...

Czyż mamy podejmować w tem miejscu nowy, wszechogarniający temat? Nie; trzeba umieć postawić sobie samemu kres. Myśl wszelka, aż do samego końca przemyślana, podejmuje szereg nowych myśli: jeśli to samo zajdzie i tutaj, to będzie jedynie z pożytkiem dla was. Przestrzegałem was już, panowie, abyście w świecie starożytnym nie szukali normy, ale ziarna nasiennego; rzecz prosta, że i ja sam dla wykładów swych nie mogę stawiać żądań wyższych. Niechaj i one staną się ziarnem myślowem dla was; spodziewam się, że kiedyś, jeśli nie natychmiast, ziarno to zakiełkuje, wszędzie i wyda owoce... być może, wtenczas zapomnicie już o tem, co stanowiło przedmiot naszych wykładów, będziecie cieszyć się wschodzącą runią, będziecie ją uważać za swą własność zupełną—będziecie mieli słuszność: to, co człowiek w sobie przerobił, z siebie wypracował, stanowi własność jego wyłączną, innej własności umysłowej nie bywa. A jednak nie chciałbym urywać odczytów swoich na znaku zapytania; ponieważ jednak wszyscy jesteście już znużeni, tedy pójdę za przykładem ulubieńca swego, Platona, i ubiorę myśli swe na poruszony przed chwilą temat w szatę „mitu“ t. j. przypowieści. Na pożegnanie więc i na pamiątkę przyjmijcie ode mnie tę przypowieść moją o postępie.

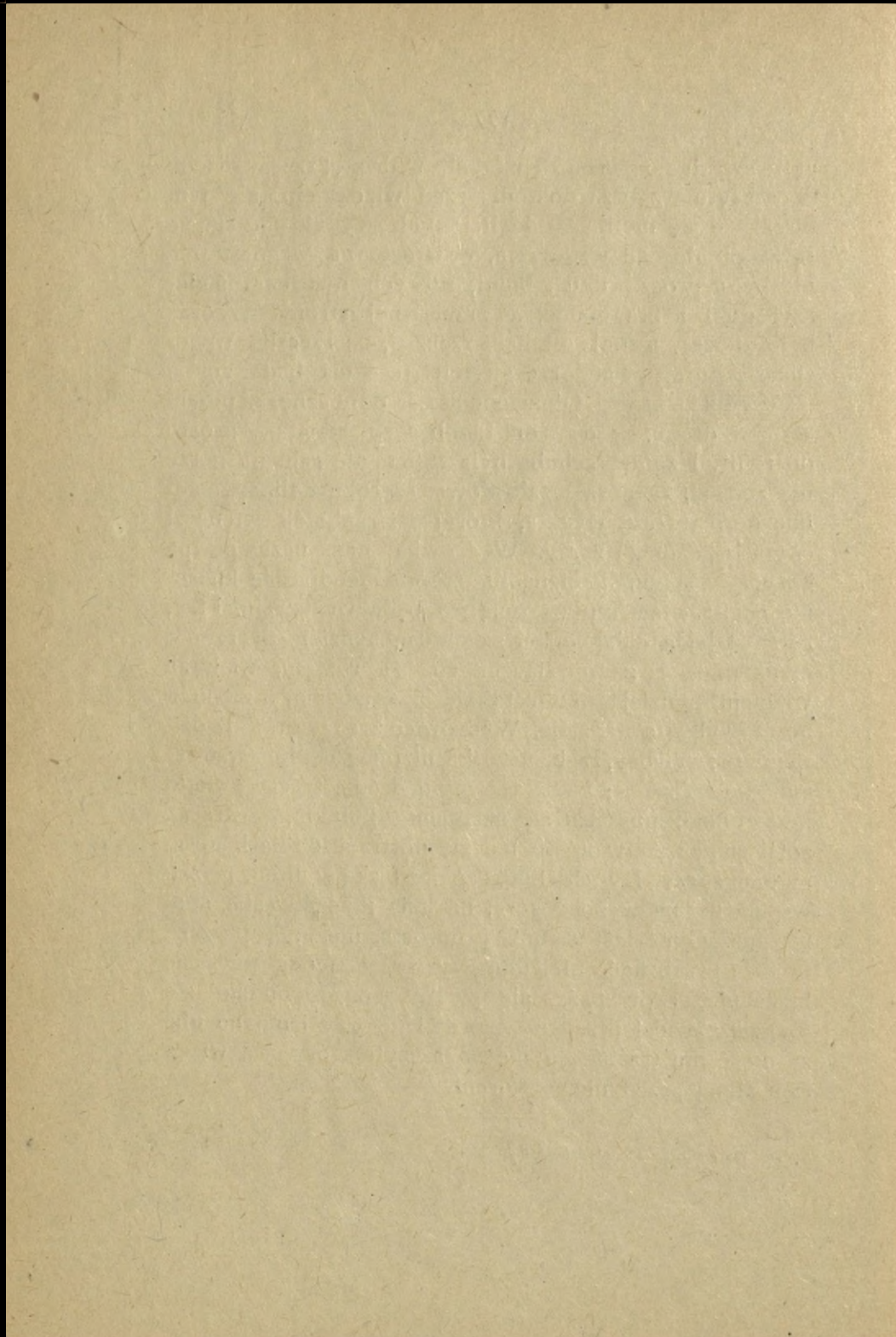
Gdy dokonał się upadek aniołów i zamysł zuchwały poniósł zasłużoną karę, dwaj aniołowie skazani — byli to Orjencjusz i Okcydencjusz—jako mniej winni, uznani zostali za godnych ulaskawienia. Nie zostali strąceni na wieki; pozwolono im grzech swój odkupić w drodze ciężkiej pokuty, a po odbyciu pokuty wrócić do królestwa niebieskiego. Pokuta zaś polegała na tem, ażeby przewędrować* pieszo, z laską pielgrzymią w rękę, drogę, wynoszącą wiele milionów mil. Gdy wyrok ten im ogło-

szono, starszy z aniołów, Orjencjusz, zwrócił się do Stwórcy z modlitwą i rzekł: „Panie, spraw mi jedną jeszcze łaskę; spraw, aby droga moja była prosta i równa; aby ani góry, ani przepaści jej nie przegradzały, i aże bym miał wciąż przed oczami metę ostateczną, do której dążę!“ — „Prośbie twej stanie się zadość“, — odrzekł Stwórca; poczem, zwracając się do drugiego anioła, spytał: „A ty, Okcydencjusz, niczego nie żądasz“? Ów zaś odpowiedział: „Niczego“. Po tych słowach zostali uwolnieni z przed oblicza Stwórcy. Ogarnął ich mrok niepamięci; gdy odzyskali samowiedzę, obaj znaleźli się na tem miejscu, z którego wypadało im rozpocząć swoją wędrówkę.

Orjencjusz wstał i spojrzął wokół siebie; tuż obok leżała laska pielgrzymia, dokoła, niby morze senne, rozpościerała się gładka, płaska, nieprzejrzana równina, nad nią wisiało niebo błękitne, niezmierne, jednostajne, bezobłoczne; w jednym tylko miejscu, na samym krańcu widnokregu, płonęła biała zorza. Zrozumiał, że jest to właśnie to miejsce, kędy należy zwrócić swoje kroki; ujął laskę, poszedł przed siebie, przewędrował dzień, dwa dni, poczem znów się obejrzał dokoła—wydało mu się, że odległość, dzieląca go od celu, nie zmniejszyła się ani na krok, że stoi wciąż na tem samym miejscu, że otacza go wciąż ta sama a nieprzejrzana równina... „Nie“— rzekł posępnie—tej przestrzeni przez wieki nie przejdę. To mówiąc, porzucił laskę, powalił się bezradnie na ziemię i zasnął. Zasnął na długo—aż po dzień dzisiejszy.

Jednocześnie ze starszym swym bratem ocknął się i Okcydencjusz. Wstał, obejrzał się—poza nim kołysało się morze, przed nim otwierał się wąwóz, za wąwozem las, za lasem wzgórze, ponad wzgórzem płonie coś jakby biała zorza poranna. „Nie dalej!“ — wykrzyknął wesoło,—„ależ dojdę tam przed wieczorem!“ Schwycił leżą-

cą u swych nóg laskę, i udał się w drogę; rzeczywiście, do szczytu wzgórze doszedł przed wieczorem, ale tam ujrzał, że się mylił. Z oddali jedynie wydało mu się, że zorza płonie nad wzgórzem, w istocie na wzgórzu nic nie było, prócz kilku jabłoni, których owocem uśmierzył głód i pragnienie; z przeciwnej strony wzgórza było zbocze, w dole płynęła rzeczka, za rzeczką wznosiła się góra, a na górze świeciła ta sama biała zorza. „Cóż robić — rzekł Okcydencjusz — odpocznę, a potem dalej w drogę; za dwa dni tam będę, a stamtąd — prosto do raju“. I znów rachuba była trafna, ale raj na górze nie znalazł; za górą leżała nowa, szeroka dolina, za doliną góra jeszcze wyższa, której wierzchołek wieńczył obrzask znajomej zorzy. Wędrowiec nasz uczuł pewną gorycz w sercu, ale nienadługo: góra nieodparcie ku sobie nęciła, — tam z pewnością już będą wrota rajy. I tak, coraz dalej a dalej, dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem, wiek za wiekiem; nadzieja przeplata się z zawodem, z zawodu nowa wykwita nadzieja. Wędrowiec kroczy do dnia dzisiejszego; wąwozy, rzeki, urwiska, nieobeszłe błota wstrzymują go w drodze; wielokroć mylił drogę, tracąc światło przewodnie, puszczał się szlakiem okólnym, powracał, cofał się, aż znów udało mu się dostrzec odblask upragnionej zorzy. I w chwili obecnej, z laską w dłoni, rzeźko wspina się na wysoką górę; na imię jej — „kwestja społeczna“. Góra jest stroma i urwista, niejedną puszcę trzeba przebrnąć, niejedną wyrwę, niejedną pokonać krzesanicę i przepaść, ale wędrowiec nie oddaje się rozpaczy: widzi przed sobą promień zorzy i mocno ufa, że dojść mu trzeba jedynie do szczytu góry — a wrota rajy staną przed nim otworem.



TREŚĆ.

WYKŁAD I.	Str. 7
WSTĘP: Sformułowanie zadania.—Trzy antytezy.—Vox populi—vox dei.—„Ja“ duże i „ja“ małe ogółu.—Opinia powszechna a dobór socjologiczny.—PIERWSZA ANTYTEZA: Wartość kształcąca świata antycznego. — Dane doświadczenia historycznego.—Punkty atakowane.—Heterogenja celów.—Ewolucja wykształcenia klasycznego. — Probierze kształcącej siły przedmiotów: psychologia i naukoznawstwo psychologiczne. Znaczenie słów: „doniosłość kształcąca“.—Zasada zawodowa i zasada wykształceniowa.—Powołanie średniej szkoły kształcącej.	
WYKŁAD II	28
PIERWSZA ANTYTEZA: Ciąg dalszy.—Treść starożytności szkolnej.—Języki starożytne, jako takie.—Metoda asocjacyjna i metoda apercepcyjna uczenia się języków.—Względna wartość języka obcego, jako uzupełnienia ojczystego — Jego wartość bezwzględna, jako strawy dla umysłu.—Przezroczystość pisowni.—Przezroczystość etymologii. — Wyjątki. — Regularność zjawisk lingwistycznych.	
WYKŁAD III	44
PIERWSZA ANTYTEZA: Ciąg dalszy. — Słownozbiór języków starożytnych. — Język, jako spowiedź narodu.—Odbicie duszy narodowej w słowach języka.—Odbicie w nich bytu ludowego. — Składnia. — Emancypacja myśli.—Wartość stylistyczna języków.—„Okres“ antyczny, jako szkoła stylu.—Niebezpieczeństwo zubożenia i walka przeciw niemu.	

	<i>Str.</i>
WYKŁAD IV	68
PIERWSZA ANTYTEZA: Dokończenie.—Czytanie poemników.—Oryginały i przekłady.—Co się da przełożyć i czego się nie da przełożyć.—Stanowisko pedagogiczno-moralne.—Przedmioty immoralne, moralne i amoralne.—Uniwersalizm.—Optymizm a poczucie prawdy.	
WYKŁAD V	90
DRUGA ANTYTEZA: Kulturalne znaczenie świata antycznego.—Nie norma, lecz nasienie.—Świat starożytny, jako wspólna ojczyzna nasza.—Religia antyczna.—Chrześcijaństwo i pogaństwo.—Mitologia.—Literatura.—Duch historjografji antycznej: „Prawda jest okiem historii“.—Prawda historyczna a hotentotyzm.	
WYKŁAD VI	111
DRUGA ANTYTEZA: Ciąg dalszy.—Literatura filozoficzna.—Kodex honoru myśliciela.—Filozofja antyczna: jej uniwersalizm.—Etyka.—Polityka.—Prawo.—Starożytność a optymizm.	
WYKŁAD VII	135
DRUGA ANTYTEZA: Dokończenie.—Klasycyzm a starożytność.—Sztuka.—Architektura a zasada prawości architektonicznej.—Rzeźba i Malarstwo.—Wolność i naturalność.—Idealizm.—Przemysł artystyczny.—Uszlachetnienie kultury nowoczesnej pod wpływem świata antycznego.—TRZECIA ANTYTEZA: Wiedza o starożytności.—Jej zadania w przeszłości, w teraźniejszości i w przyszłości.—Wzrost zaciekania ku niej w miarę postępu badań.	
WYKŁAD VIII	157
WNIOSKI. — Społeczeństwo współczesne a starożytność. — Oszustwo i nieporozumienie. — „Starożytność jest niepotrzebna“.—„Starożytność jest trudna“.—„Starożytność jest zacofana“.— Znaczenie socjologiczne szkoły średniej.—Łatwa szkoła to—zbrodnia społeczna.—Ideał organizacji szkolnej.—Starożytność, jako narzędzie postępu.—Przypowieść o postępie.	

Dr. *TADEUSZ ZIELIŃSKI.*

Profesor Uniwersytetu Warszawskiego

STAROŻYTNOŚĆ ANTYCZNA A WYKSZTAŁCENIE KLASYCZNE.

*Biblioteczka Dydaktyczna, pod redakcją
Ludwika Kobierzyckiego Nr. 4.*

WYDANIE DRUGIE.

ZAMOŚĆ 1920 r. str. 32.

Książeczka profesora Zielińskiego, skreślona w chwili dla szkolnictwa polskiego pod niejednym względem przełomowej, pojawia się istotnie w porę, jako przestroga, że nie niema łatwiejszego, jak zniszczyć istniejące czynniki wykształcenia klasycznego, nie niema jednak trudniejszego, jak stworzyć je na nowo wtedy, gdy się już je zniszczy. Wychowanie klasyczne stało się podstawą kultury europejskiej,—stąd i naród polski nie powinien pozostawać w tyle za Europą, jeśli mu jest droga jego przyszłość, jako narodu kulturalnego.

Prof. Dr. Wiktor Hahn (Słowo Polskie z 6 VIII 1921 r. № 346.)

W rozprawce zwalczą prof. Zieliński gołosłowne zarzuty przeciwników filologii klasycznej i udowadnia argumentami niezbitemi, że język łaciński jest najlepszą szkołą myślenia dla umysłowych, a bez znajomości literatury starożytnej nie można mówić o wykształceniu prawdziwym. Zdolność uszlachetnienia naszej kultury posiada przede wszystkim starożytność, z której wszyscy powstałiśmy...

Prof. Dr. Władysław Gubrynowicz (Kurjer Warszawski z 11 XI 1921 r. № 312.)

...Szkic o „starożytności antycznej“... porusza zagadnienia b. na czasie, a mianowicie rolę antyku w wychowaniu szkolnym i wartość wychowania klasycznego wogóle, uważając, że antyk był tym żywym gruntem, na którym wyrosła kultura nasza, że jak wskazuje doświadczenie — „przedmioty klasyczne, zawierają w sobie jakąś siłę, która czyni je narzędziem pedagogicznym nie do zastąpienia“—narzędziem, rozwijającym harmonijnie całą indywidualność ucznia — człowieka, autor broni energicznie szkoły klasycznej...

Dr. Julian Krzyżanowski (Rzeczpospolita z 21 VII 1921 r.)

II

...W bibliotece niejednego człowieka światlejszego znajdzie się studjum Zielińskiego p. n. „Starożytność klasyczna i wykształcenie klasyczne“, wydane już w roku 1909; broszura „Starożytność antyczna a wykształcenie klasyczne“, jest właśnie przedrukiem z tamtego wydania... Nie jest zatem reprodukcją innego dzieła tegoż autora („Świat antyczny a my“) ...Nie przeczymy że między tym dziełem, a nadmienionym szkicem polskim zachodzi b. ściśle pokrewieństwo w treści, ale chyba ...wolno jest autorowi temat, opracowany na szerszą skalę w dziele innem, podać następnie w dziele innem w postaci zwięźlejszej lub skróconej. Taki istotnie zachodzi stosunek między dziełem „Świat Antyczny a my“ a szkicem o „starożytności klasycznej“...

Wincenty Rzymowski. (Naród z 25 VII 1921 r. № 197.)

...Prof. Zieliński.. występuje jako gorący, ale nie fanatyczny obrońca wykształcenia klasycznego. Ten moment nadaje już pracy jego szczególną wartość; unikając bowiem wszelkiej namiętności, która, niestety, jest coraz częściej znamieniem sporów — zdawałoby się—nawskroś intelektualnych, wprowadza dyskusję na tory spokojne i rzeczowe. A dzieli pracę swoją autor na dwie części: w pierwszej, negatywnej, zbija poglądy przeciwników wykształcenia klasycznego, które określa „jako zapoznanie się z obydwoma językami (łacińskim i greckim), gramatykę i ćwiczenia, jak też powolne czytanie autorów starożytnych“, w drugiej zaś, pozytywnej, wykazuje na przesłankach historycznych i wychowawczych, wartość i znaczenie takiego wykształcenia...

Dr. Emanuel Łoziński (Kurjer Warszawski z 15 VIII 1921 r. № 224.)

...Ilekróć państwa nowoczesne usuwały ze szkół średnich łacinę i grekę, tylekróć po pewnym czasie wracały do wykształcenia klasycznego, jako bardziej rozwijającego umysł młodzieży. Jednakowoż szkoła klasyczna powinna istnieć dziś tylko dla wybrańców, posiadających specjalne uzdolnienie. Szkoła klasyczna, powiada znakomity autor, jest w istocie swej demokratyczną; arystokracja, którą stwarza, jest arystokracją umysłową.

Andrzej Niemojewski (Myśl Niepodległa, z 29 X 1921 r. № 576.)

...Sporowi o klasyczne czy realistyczne wykształcenie, lub, ściślej mówiąc, o gimnazjum humanistyczne oddawna ogół pilnie się przypatruje i chętnie słucho poważnych głosów. A jest takim

III

bezsprzecznie wystąpienie profesora wszechniczy. Sądy i uprzedzenia, może nieświadomione, ale mimo to czynne, szanowny profesor jasno formułuje i poddaje trafnej analizie, wykazując jednostronność lub krótkowzroczność zwolenników t. zw. praktycznego kierunku kształcenia. Jego ideałem to nie młodzieniec, przynoszący do wyższej uczelni gotową już sumę czysto fachowych wiadomości, ale człowiek, znający nieśmiertelne wartości życiowe, mający umysł zdolny do samodzielnego myślenia, a serce zdolne do wmyślenia się w drugich. A to daje właśnie wykształcenie klasyczne...

J. K. (Przegląd Powszechny z listopada 1921 r. № 455.)

Rozprawka powyższa napisana została w 1907 r. kiedy szkolnictwo polskie w zaborze rosyjskim, po kataklizmie strajkowym, stawiało pierwsze kroki. Wydana z przyczyn od autora niezależnych (zdaje się cenzuralnych) w dwa lata później w cyklu „prac metodycznych w zakresie wykształcenia średniego“,—przyczyniła się w tych pierwocinach naszego szkolnictwa niezawodnie do właściwego zorientowania sfer pedagogicznych polskich w systemach nauczania na korzyść systemu klasycznego. Istotnie gimnazja klasyczne uzyskują podówczas znakomitą przewagę nad szkołami innych typów, zarówno pod względem ilościowym jak jakościowym.

Profesor Zieliński śmiało może powiedzieć, że głos jego nie przemiął wówczas bez echa i że w okresie niemowlęctwa szkolnictwa polskiego w Królestwie, rolę swą odegrał.

Dziś, kiedy szkolnictwo to w niepodległej Polsce wkracza w wiek swój męzki, kiedy przestało być prześladowaną przez władzę placówką pracy narodowej, kiedy w szczęśliwym bycie nabiera pełnego tchu,—szkic prof. Zielińskiego pojawia się w wydaniu drugim, by rolę swą dawną spełnić ponownie.

Istotnie nie można było znaleźć sposobniejszej chwili na przypomnienie cennych tych uwag.

Typ szkoły klasycznej, tak wspaniale zapowiadający się na gruncie polskim, napotkał niezrozumiałą zgoła opozycję pewnych sfer rządowych. O ile w walce o program ze zwolennikami typów innych wychodziła zwycięsko, o tyle, natrafiwszy na opór czynników, które winne były dać jej troskliwą opiekę, przestaje być typem dominującym w naszym młodem szkolnictwie.

Profesor Zieliński używa mocnych argumentów. Nietylko naukowo uzasadnia przewagę klasycyzmu w ukształceniu umy-

75. —
244/1, 2958

IV

słowości całej ludzkości, nietylko podnosi niewątpliwe korzyści swego systemu, ale uderza w ambicje nasze, przypominając wspólnie tradycje kulturalne, tak ściśle związane z klasycyzmem, rzucając wreszcie ostrą przestrożę, z głębokiej obserwacji dziejów ludzkości wyciągniętą, że kto w starożytności nie chce uznać rodzica, temu obcy będzie panem. Z pięknym i gorącym wezwaniem zwraca się do młodzieży polskiej; lecz kiedy w 1907 r. apel ten skierowany był właściwie i bynajmniej nie poszedł na marne,—dziś należałoby może rzucić go gdzieindziej, w kierunku naszego nauczycielstwa i czynników w tej mierze decydujących.

Miejmy nadzieję, że życie polskie rozstrzygnie ten spór należycie, jak zauważa redaktor cyklu, próf. Kobierzycki, sam zresztą filolog. Należy tylko przystąpić do pracy (kończymy słowami znakomitego autora) „z dobrą wolą — homines bonae voluntatis“.

Stefan Pomarański (Tydzień Polski z 14 I 1922 r. № 3.)

Autor broni szkoły klasycznej, udowadnia, że antyk był tym żyznym gruntem, na którym wyrosła kultura europejska. W szkole zaś „przedmioty klasyczne zawierają w sobie jakąś siłę, która czyni je narzędziem pedagogicznym nie do zastąpienia“.

Prof. Dr. Jan Sajdak (Ruch filologiczny w Polsce 1919-1921.)

...Wykazując kształcące znaczenie przedmiotów klasycznych, autor zwraca uwagę na trzy czynniki, stanowiące intelektualistyczny charakter języka łacińskiego: etymologję, składnię i materiał leyczny. W Polsce bardziej, niż gdziekolwiek indziej — pisze prof. Z.—łacina stała się drugim językiem obok polskiego: nie da się wytłumaczyć przypadkiem tego, że w Polsce właśnie nowa łacina (tak ją nazywano) znalazła swego najbardziej utalentowanego poetę w osobie Sarbiewskiego. Jego cudownym łacińskim pieśniom przysłuchiwała się Europa zachodnia. Co się nie udało w wieku XIX genjuszowi Mickiewicza, tego dokonał w wieku XVII Sarbiewski: on otworzył Europie dostęp do rozumienia poezji polskiej.

Prof. Stefan Cybulski (Biblijografia Pedagogiczna Rok II zeszyt I.)



Biblioteka

30291/2

Naukowa